

MIESIĘCZNIK
SPOŁECZNO-
KULTURALNY

SLASK

CENA 7 Zł (w tym 5% VAT) ISSN: 1425-3917 NR INDEKSU 33328X www.slaskgtl.pl Nr 1 (328) • ROK XXIX • STYCZEŃ 2023



ROK
NOWYCH NADZIEI

ISSN 1425-3917



9 771425 391707

fot. Tomasz Bieniek



W okresie PRL-u w środowisku częstochowskiej przedwojennej inteligencji jedną z najbardziej zauważalnych postaci był mecenas Miron Kołakowski. Dla ówczesnych częstochowian był legendą, podobnie jak wiele barwnych postaci przewijających przez jego stolik w kawiarni częstochowskiego empiku, gdzie często przesiadywał, spędzając czas na rozmaitych dysputach. Na zdjęciu budynek przy ul. Dąbrowskiego, w którym znajdowała się ulubiona kawiarnia mecenasa.

Szczegóły str. 30

fot. Tomasz Bieniek



Światowej sławy psychiatra i neurolog, pionier psychosomatyki, odkrywca holistycznych sekretów samoregulacji procesów życiowych człowieka, autor epokowego dzieła „Der Aufbau des Organismus” (Struktura organizmu), prof. Kurt Goldstein, urodził się w Katowicach, na Załęskim Przedmieściu, a dzieciństwo i młodość spędził w mieszczańskiej rezydencji o randze pałacu. Dom z lat dziecińczych, wspomniany przez uczonego do końca jego życia, istnieje do dziś.

Szczegóły str. 48

fot. Janusz Plewniak



Haczów to mało znana miejscowość w powiecie brzozowskim na Podkarpaciu. Znajduje się tam największy gotycki drewniany kościół w Polsce, a może i w Europie. Przez wiele lat uchodził również za najstarszą w kraju drewnianą świątynię. Obiekt ten rozstawiły nieco dwu i dwudziestozłotowe monety wyemitowane w 2006 roku. Na zdjęciu tablica informacyjna na kościele.

Szczegóły str. 52

fot. Agnieszka Ziełnińska



30 listopada ubiegłego roku w Przystanku Historia – Centrum Edukacyjnym IPN im. Henryka Sławika w Katowicach odbyło się spotkanie z prof. Olgą Płaszczewską i prof. Maciejem Janem Urbanowskim, redaktorami książki Alfreda Jesionowskiego „Przymierze z książką. Krytyka literacka, publicystyka i proza z lat 1929–1945”. Spotkanie poprowadziła prof. Krystyna Heska-Kwaśniewicz. Wziął w nim też udział Bartłomiej Zbączyniak, szef komisji historycznej Hufca Lubliniec, autor strony poświęconej historii Hufca ZHP w Lublińcu, gdzie znajduje się bardzo bogaty materiał poświęcony m.in. A. Jesionowskiemu.

Szczegóły str. 79

Nr 1 (328). Rok XXIX. STYCZEŃ 2023

WYDAWCA
GÓRNOŚLĄSKIE TOWARZYSTWO
LITERACKIE W KATOWICACH

WSPÓŁWYDAWCA

MARIAN KISIEL
Redaktor naczelnyANDRZEJ JARCZEWSKI
Zastępca redaktora naczelnegoTOMASZ BIENEK
Sekretarz redakcjiMARIA KORUSIEWICZ
Kultura, sztuka

Stali współpracownicy:

EWA BARTOS
MAGDALENA DZIADEK
MARIAN G. GERLICH
PIOTR GRELLA-MOŻEJKO
JAROSŁAW KAPSA
WIEŚLAWA KONOPELSKA
WOJCIECH LIPOWSKI
ZBIGNIEW LUBOWSKI
PAWEŁ MAJERSKI
JAN MALICKI
JAN MIODEK
KATARZYNA NIESPOREK-KLANOWSKA
JERZY PASZEK
KS. HENRYK PYKA
BOGNA SKWARA
HENRYK SZCZEPAŃSKI
GRZEGORZ SZTOLER
JOANNA WARONSKA-GĘSIARZ
AGNIESZKA ZIELIŃSKAADRES REDAKCJI
40-036 Katowice, ul. J. Ligonia 7
zarzad@slaskwn.com.plDTP: Tomasz Kowalski
tomekk1959@tlen.plDruk: Zakład Poligraficzny Moś i Luczak Sp.j.
ul. Piwna 1, 61-065 Poznań tel. 61 633 71 65Materiałów niezamówionych nie zwracamy.
Redakcja zastrzega sobie prawo skrótów, poprawek i zmian
tytułów w tekstach przyjętych do druku oraz skracanie
korespondencji. Wydawca nie przewiduje honorariów
za publikowane materiały prasowe.Warunki prenumeraty:
poprzez Oddziały i Delegatury „RUCHU”
na terenie całego kraju. Bezpośrednio
w Wydawnictwie Naukowym „Śląsk”
40-036 Katowice, ul. Ligonia 7, p. 120.
Wpłaty należy dokonywać na konto:
GTL – redakcja miesięcznika „Śląsk”
Santander Bank Polska S.A.
35 1090 1186 0000 0001 3487 3929Prenumerata roczna – 84 zł, półroczna – 42 zł, kwartalna
– 21 zł. Pismo w prenumeracie jest dostarczane pod
wskazany adres bez dodatkowych opłat.Prenumerata zagraniczna: poprzez Dział RUCH SA
Infolinia 0800 120 029. Tel. +48 022 532-87-31
www.ruch.com.plCena egzemplarza – 7 zł (w tym 5% VAT)
ISSN: 1425-3917 Nr indeksu: 33328XEgzemplarze archiwalne
handel@slaskwn.com.pl; tel. 32 258-07-56Czasopismo
„Śląsk. Miesięcznik społeczno-kulturalny”
dostępne w wersji elektronicznej na www.sbc.org.pl
oraz na www.slaskgtl.pl
Nakład: 1500 egzemplarzy

W NUMERZE

PUBLICYSTYKA

- 2 *Marian Kisiel* CZWARTA NAD RANEM
4 *Tadeusz Loster* ZAGŁĘBIE DĄBROWSKIE W POWSTANIU STYCZNIOWYM
7 *Anna Gurbicz, Witold Turant* DZIENNIK ZDRUZGOTANEGO ŻYCIA (6)
10 *Wilhelm Szewczyk* PAMIĘTNIK (11) *Z rękopisu opracował Marian Kisiel*
16 *Piotr Skowronek* MOJE KSIĄŻKI I JA TO JEDNO. ROZMOWA Z PROF. KRYSZYŃĄ
HESKĄ-KWAŚNIEWICZ O ZOFII KOSSAK
20 *Ryszard Twardoń* UŚMIECH (2)
30 LISTY CZĘSTOCHOWSKIE *Jarosław Kapsa* KLERYKAŁ Z KAWIARENKI EMPIK-U
34 *Wojciech Lipowski* POROZMAWIAJ Z NIĄ
40 TADEUSZ SIERNY (1952-2022) WSPOMNIENIA PRZYJACIÓŁ
48 *Henryk Szczepański* DOM NA ZAŁĘSKIM PRZEDMIEŚCIU
52 *Janusz Plewniak* SKARB PODKARPACIA
58 PO-GWARKI PROFESORA *Jerzy Paszek* LONŻE I ALONŻE W POEZJI RÓŻEWICZA
79 *Agnieszka Zielińska* JEGO BRONIĄ BYŁO SŁOWO
80 METROPOLIA EUROPEJSKĄ STOLICĄ KULTURY 2029

PLASTYKA, MALARSTWO, FOTOGRAFIA

68 GALERIA: *Józef Ligęza* FOTOGRAFIA

POEZJA I PROZA

- 3 WIERSZ NA OTWARCIE *Adam Wiedemann* UCZ
14 *Adam Wiedemann* WIERSZE
28 *Patryk Kominek* KRÓTKA HISTORIA WZAJEMNEJ NAMIEŃTNOŚCI
46 *Jacek Okoń* STUDENT FELIŃSKI
56 *Maciej Szczawiński* WIERSZE
74 *Lew Tołstoj* O MIŁOŚCI *Wybrał i przełożył Marian Kisiel*

FELIETONY

- 37 ŚLĄSKA OJCZYZNA POLSZCZYŻNA *Jan Miodek* NASCHWOL
38 *Ryszard Jasnorzewski* DZIESIĄTY PIERŚCIEŃ
39 *Zbigniew Kadłubek* LUDZIE Z INNEJ PLANETY (1)
45 BIAŁE KRUKI *Jan Malicki* LITERACKIE INICJACJE MARKA HŁASKI
55 MIĘDZY CISZĄ A HAŁASEM *Marian Gerlich* PAWEŁ PUSTÓWKA, KTÓRY
PIEŚNIOM „CAŁE ŻYCIE ZAWDZIĘCZAŁ...”
73 JĘZYK W STRUNACH *Piotr Grella-Możejko* ODEJŚCIE PIĘKNEGO CZŁOWIEKA

KSIĄŻKI

- 25 *Anna Skotnicka* WODNA DIALEKTYKA
62 *Alicja Wosik* ŚWIATY POETYCKIE RAFAŁA WOJACZKA
64 *Jan Gutta* DEPOZYT
65 *Natalia Zientek* BUTY DLA NIEBOSZCZYKA
66 *Piotr Skowronek* BEZDENNA GŁĘBIA
67 *Weronika Górska* MELUZYNY I MELOMANI

Na okładce:

Józef Ligęza, Zdobienia kamienicy przy ulicy Stawowej. Rok 1999. Fotografia z albumu
„Katowice miasto przemian i muzyki”.

Trzecia strona okładki:

Józef Ligęza, kamienica narożna przy placu Karola Miarki oraz ulicy Kościuszki. Fotografia
z albumu „Katowice miasto przemian i muzyki”.





Czwarta nad ranem

1

Dopadli mnie. — Nigdy nie chciałem być redaktorem naczelnym jakiegokolwiek czasopisma. Nie chciałem, ale zawsze to nade mną wisiąło. Czterdzieści lat temu zakładałem pismo „Modus”, którego z jakichś względów nie umiałem poprowadzić. Młodość, ambicje rówieśnych redaktorów, obiektywność — to znamy. Wszyscy mieliśmy mleko pod wąsem. Dzisiaj umiałbym sobie z tym poradzić, ale wtedy? Kilka lat później dzisiejszy JE ambasador Piotr Wilczek przyszedł do mnie i powiedział, że wskrzeszamy „Kwartal”. „Ja będę naczelnym, a ty — wice” — powiedział. Kto pamięta, co to było za pismo? Tak się stało, byłem wice przez jeden (podwójny) numer (wcześniej redagowałem w 1983 Zeszyty Piwnicy Literackiej „Remedium”, dwa numery). Przez pół roku, zanim mnie powołano do Ludowego Wojska Polskiego, pracowałem w „Życiu Literackim”. Później, w latach 90. przeszłego wieku, współtworzyłem kontynuację — już nie pamiętam, ale chyba — kwartalnika „Studio”, którego naczelnym był Stanisław Piskor, a ja bodaj sekretarzem. Znowu wyszły dwa numery. Od 1995 redagowałem „Śląsk” jako kierownik działu, a potem od 2017 jako wice. Przy okazji, wcześniej i później, byłem pierwszym naczelnym „Rocznika Sosnowieckiego”, potem jego trzynastego zeszytu. Może też coś było po drodze (chyba „Górnośląski Informator Kulturalny”). Nie pamiętam dobrze, zresztą nie ma co pamiętać. Ale nigdy nie chciałem być naczelnym. Moją pasją jest pisanie, doradzanie, budowanie zamków na piasku, czyli rzucanie pomysłów, tworzenie projektów często iluzorycznych. I działanie, spór, bo bez tego nic nie ma. Kiedy więc, rezygnując z kierowania „Śląskiem”, Tade-

usz Kijonka poprosił mnie, żebym przejął po nim pismo — odmówiłem. Wiem, że sprawiłem mu przykrość (wiele razy mi o tym mówił). Potem nastał czas — nazwijmy go tak — wywrotek. Szybko zmieniali się kolejni naczelni „Śląska”: Krystian Gałuszka, Witold Turant, Dariusz Rott, Wiesława Konopelska. Wreszcie nastał Tadeusz Sierny, który kierował pismem do swojej śmierci. Wcześniej (w chorobie) namawiał mnie, żebym objął po nim pismo. I znowu odmówiłem. A teraz na mnie spadło to zadanie, jakby dwaj Tadeusze umówili się w niebie, że jednak można mnie dopaść. I dopadli.

2

Niewiedza. Nie wiem, jak o tym powiedzieć. W grudniu 2022 odeszło tak wiele znanych i bliskich mi osób, że zacząłem się zastanawiać, czy to nie jest może zaproszenie do wieczności, które z racji mojego wieku już zostało mi wysłane, albo też przypomnienie, że bardziej powinienem skupić się na kręgu znanych mi postaci, bo *vita brevis*. Nie wiem, naprawdę. Ilekroć „ta sroga szampierza”, jak pisał o niej Mikołaj Sęp Szarzyński, zbliża się do nas, czyli „przymierza [...] / Któremu do szyje”, tracimy język. Pamiętamy: „Strzeż się: oto bije!”. A my — tracimy język.

3

Jak przeczytać śmierć? — Nie chodzi o to, jak przeczytać śmierć. Chodzi o to, jak zbliżyć się pamięcią do tych, których się znało, z którymi się przyjaźniło, albo — po prostu — których się mijają, a potem dziwiwo, że nie miało się chwili na przystanie, pogadanie, zwykłe ludzkie pogadanie, bo pędziło się gdzieś, bez sensu, bez celu, tracąc czas na oczekiwanie kogoś, kto obiecał przyjść, lecz się spóźnił.

4

Profesor Czesław Głombik (1935–2022). — Dla mnie był zawsze Panem Rektorem. I tak od niepamiętnych czasów do niego się zwracałem. Kiedy przyszedłem na studia polonistyczne w „roku owym” 1981, prorektorem do spraw nauczania była prof. Irena Bajerowa — wielka polonistka, językoznawczyni, której wykładów słuchałem, dwukrotnie byłem przez nią egzaminowany z gramatyki historycznej i historii języka polskiego (zawsze w pierwszym terminie, zawsze na 3+, co dla mnie było apogeum dobroci Pani Rektora), a w stanie wojennym internowana i pozbawiona funkcji. Zastąpił ją prof. Ireneusz Opacki, równie wielki polonista, z którym los związał mnie nie tylko egzaminami, ale także później — dyrektorstwem Instytutu Nauk o Literaturze Polskiej (byłem jego zastępcą, a potem następcą). W stanie wojennym czas biegł szybko, szybko też opróżniały się ważne stanowiska, zwłaszcza z tych

ludzi, którzy stali murem za studentami. Pan Rektor Czesław Głombik został prorektorem do spraw nauczania w roku akademickim 1982/83. Nie wiem, jak się uchował przez wszystkie te lata (pełnił funkcję do roku 1990), ale tłumaczę sobie to tym, że emanowało od niego „dostojeństwo uniwersytetu”, o którym tak pięknie mówił prof. Kazimierz Twardowski, twórca lwowsko-warszawskiej szkoły filozofii. Później przez dwa lub trzy miesiące pełnił obowiązki rektora Uniwersytetu Śląskiego (po prof. Sędziimirze Macieju Klimaszewskim, a przed prof. Maksymilianem Pazdanem). Zawsze się dziwię, że do dzisiaj w auli Senatu nie ma jego portretu.

5

Ćwiczenia z pamięci. — „Ćwiczenie” jest specjalnym gatunkiem. Nie chodzi w nim o zwykłą czynność mnemotechniczną, zadanie do rozwiązania, zajęcie akademickie, czy też nabranie wprawy w jakiejś dziedzinie. Ćwiczenie jest lekturą, sposobem czytania, a więc także odczytywania. Jak jednak czytać, odczytywać osoby umarłe, ich biografie, ich dzieła? W słowie „ćwiczenie” kryje się jakaś niezgrabność.

6

Lektura. — Wprowadza w krąg odniesień, a jednocześnie czyni z nas kogoś, kto musi podporządkować się cudzej erudycji. Prowadzeni cudzym głosem, stajemy się uczestnikami wymiany myśli, a przecież kimś niepokornym.

7

Pospiesznosc. — Coraz więcej ludzi pisze, coraz mniej czyta. Osobliwie widać to w naszej krytyce, która tak dalece odeszła od lektur wcześniejszych, a skoncentrowała się na nowinkach, że czasami żalować ujmuje, kiedy czyta się mądrości napisane przez mądrych, gdyż co jedna to nienowa. Tak rodzi się dyletantyzm ubrany w kostium uczoneści. Więc psom na budę są już dawne monografie, szkice starsze, bo dziesięcioletnie, myśli wykuwane autentycznie i nieprzypominające zdrapki?

8

Myśl miesiąca. — „Kto mówi, nie wie nic. Ten, który wie, milczy. Kto tłumaczy uczucia, ten zamyka im drzwi. Kto łamie barierę, ten odrzuca więzy. Kto ucisza pychę, ten zna wartość prochu i wie, czym jest wartość mistycznej jedności. Nic go nie zachwyca, ani nie niesmaczy. Nie pragnie korzyści, więc nie będzie biedny. Nie szuka wspańiały, niktzemnych omija. Dlatego go cenią w królestwie niebieskim”. — Laozi, *Daodejing*, w moim spolszczeniu przez rosyjski.

Marian Kisiel

Ucz

ostatnio badam nicość
kładę się i następuje

dość szybko leci
z głośników Ósma

Brucknera zwykle
pod koniec scherza

ryczy od razu
finał ta przerwa

to była nicość myślę
po przebudzeniu

nicość jest rzeczywiście
przyjemna chłodna

nic mnie w niej
nie trapi dopiero

wczoraj zamiast nicości
pojawił się stary już

Kuczok jako autor powieści
„Ucz” dopiero ocknąwszy się

zrozumiałem że to
kawałek jego nazwiska

Warszawa, 5.8.22



Matisse, rys. Bogna Skwara



Zagłębie Dąbrowskie w Powstaniu Styczniowym

TADEUSZ LOSTER

Pisząc o Powstaniu Styczniowym, mało kto wspomina, że od 7 lutego do 1 marca 1863 roku największy okręg przemysłowy w Kongresówce – Zagłębie Dąbrowskie było zdobyte i zarządzane przez polskie siły powstańcze.

W połowie grudnia 1862 społeczeństwo Królestwa Polskiego czuło, że powstanie przeciwko Rosji stało się nieuniknioną koniecznością. Spiskowa organizacja, jaką był Komitet Centralny, przystąpiła do opracowania zbrojnego wystąpienia. Wybuch powstania zaplanowano na wiosnę 1863 r. Aby temu przeszkodzić i pokrzyżować plany spiskowców, władze Kongresówki na czele z margrabią Aleksandrem Wielopolskim zarządziły brankę rekruta. W nocy z 15 na 16 stycznia 1863 dokonano poboru popisowych w Warszawie. Fakt ten spowodował, że Komitet Centralny wyznaczył wybuch powstania na dzień 22 stycznia 1863. Siły powstańcze były bardzo słabe. W oznaczonym terminie do boju przystąpiło około 5 tysięcy powstańców źle odzianych i uzbrojonych, bez zapasów broni i amunicji, niemających przygotowania i doświadczenia wojskowego.

Występowanie w południowo-zachodniej części Królestwa Polskiego złóż węgla, rudy, żelaza, cynku i ołowiu sprawiło, że na obszarze tym od kilkudziesię-

ciu lat rozwijał się przemysł. W przededniu powstania rządowe kopalnie węgla kamiennego znajdowały się w Dąbrowie Górniczej, pod Będzinem, pod Psarami i Strzyżowicami. Większe kopalnie rudy żelaza były w Mierzęcicach, galmanu pod Olkuszem, Bukownem, Starczynowem, Żychciami i Strzemieszycami, a rudy ołowiu i glinki ogniotrwałej w Mierzęcicach.

Obok zakładów rządowych istniały kopalnie prywatne, które zakładane były w pobliżu istniejących kopalń rządowych. Takie kopalnie istniały w Rogoźniku, w Milanowicach, w Grodźcu, Łagiszy, Gzichowie, Zagórzcu, Milowicach, Klimontowie i Porąbce. Ich właścicielami byli przeważnie obszarnicy ziemscy.

W roku 1853 zapotrzebowanie na węgiel w Kongresówce gwałtownie wzrosło dzięki uruchomieniu Drogi Żelaznej Warszawsko-Wiedeńskiej. Węgiel „robił karierę”, będąc głównym paliwem maszyn parowych. Używany był również w dużych ilościach jako wielkopieczowy wsad w rozwijającym się przemyśle hutniczym. Mimo sprzyjającej koniunktury, ceny węgla zagłębiowskiego były wyższe w porównaniu z węglem ze Śląska. Wpływał na to słaby rozwój i zaniedbania techniczne miejscowych kopalń.

Na początku lat sześćdziesiątych XIX wieku na terenie zagłębia górniczego za-



Apolinary Kurowski, naczelnik wojenny woj. krakowskiego

trudnionych było około 1850 robotników. Ten najbardziej uprzemysłowiony obszar Królestwa Polskiego w planach Powstańczego Komitetu Centralnego miał odegrać duże znaczenie. Geopolityczne położenie trójkąta Częstochowa-Sosnowiec-Olkusz z przylegającymi granicami: pruską i austriacką oraz leżącymi w pobliżu miastami (Katowice i Kraków) miało być pomocne przy przerzucie broni i ludzi przez „zieloną granicę”.

Pobliska Galicja miała dostarczyć powstańczego ochotnika, a uprzemysłowiony teren Zagłębia o dużym zaludnieniu miał dostarczyć żołnierza i pomóc w produkcji broni. Liczono również na nowoczesną kolej parową, która mogła zapewnić szybkie poruszanie się sił powstańczych. Wybuch powstania styczniowego zaskoczył okupacyjne władze rządowe, jak i władze powstańcze na terenie Zagłębia. W pierwszych dniach na terenie tym panował względny spokój. Naczelnik Górniczego Okręgu Zachodniego otrzymał polecenie od władz rosyjskich, aby w razie ataku powstańców zatopić proch do robót strzałowych zgromadzony w kopalniach (około 900 funtów).

Władzom rządowym meldowano, że mimo niepokojących wieści z okolicy „robotnicy przysięgli” są spokojni. Na terenie zagłębia górniczego siły powstańcze zaczęły grupować się w obozie ojcowskim. Pierwszymi żołnierzami ojcowskiego obozu byli mieszkańcy okolicznych miast, miasteczek i wiosek, hut, kopalń i fabryk. Między 25 a 26 stycznia do obozu przybył pułkownik Apolinary Kurowski, naczelnik cywilny i wojskowy województwa krakowskiego, który objął dowództwo nad całym grupowaniem.

Od 1 lutego niewielkie oddziały zaczęły wychodzić z obozu ojcowskiego.

fol. Dariusz Jurek



Tablica pamiątkowa przed dworcem kolejowym w Sosnowcu-Maczkach

Zajęły Skałę, Wolbrom, Słomniki i Pilić. Oddziały partyzanckie, w celu konfiskowania pieniędzy rządowych oraz zdobycia broni, dotarły do Siewierza, Żarek, Proszowic, Michałowic, Szyca i Maczek. Wszystkie te wyprawy zakończyły się powodzeniem. Powodzeniom powstańców ojcowskich sprzyjały rozporządzenia rządowe, nakazujące gromadzenie się rosyjskim wojskom w najważniejszych punktach przygranicznego regionu.

Faktyczne działania wojenne Kurowski zamierzał rozpocząć od ataków na Maczki, gdzie znajdował się punkt graniczny. Dnia 6 lutego powstańcy przemaszrowali w kierunku Sławkowa. Tutaj otrzymali wiadomość, że nieprzyjaciel opuścił Maczki i udał się w kierunku Modrzejowa. Maczki zostały zajęte przez oddziały Kurowskiego bez walki. Tutaj zrodził się plan zaatakowania Sosnowca.

7 lutego, o drugiej w nocy, pod dworzec sosnowiecki dotarł pociąg wypełniony powstańcami. Zaatakowano dworzec. Środek grupy uderzeniowej stanowią oddział kosynierów Teodora Cieszkowskiego, a na prawym i lewym skrzydle rozmieszczono strzelców. Kawaleria, aby odciąć odwrót nieprzyjaciela, obsadziła linię kolejową od strony Katowic.

O godzinie 2.30 nastąpił atak powstańcy. Głównym punktem oporu stał się budynek stacyjny. Po trzykrotnym ataku kosynierów, osobiście prowadzonym przez Teodora Cieszkowskiego, a wspartym w ostatniej chwili przez strzelców, dworzec został zdobyty. Ścigani przez kawalerię żołnierze rosyjscy przekroczyli granicę pruską, gdzie zostali otoczeni życzliwą opieką przez pruski posterunek graniczny.

Około godziny 7.00 walka została zakończona. Po stronie powstańczej poległo 3 powstańców a 17 było rannych, w tym dowódca kosynierów Teodor Cieszkowski. Straty nieprzyjaciela nie były mniejsze, miały sięgać 3 – 5 zabitych oraz kilkudziesięciu rannych. Do niewoli dostało się 30 żołnierzy, wśród nich kapitan żandarmerii. Powstańcy zdobyli 40 karabinów, 40 koni, 100 cetnarów ołowiu oraz 600 tys. zł znajdujących się w kasie rządowej. Ranny Teodor Cieszkowski za swoje bohaterstwo został mianowany pułkownikiem.

7 lutego po południu oddział rosyjski, stacjonujący w Modrzejowie w sile 160 żołnierzy piechoty oraz 200 jazdy, przeszedł przez granicę, uciekając do Mysłowic. W trzy godziny po zakończeniu bitwy sosnowieckiej oddziały Kurowskiego wyruszyły do Dąbrowy Górniczej, która została zajęta bez walki. W swoich pamiętnikach kapelan oddziału Teodora Cieszkowskiego ks. Serafin Szulc napisał: (...)w tej górniczej osadzie zajął naczelnik (A. Kurowski, przypisek autora) kwaterę wraz ze sztabem u człowieka pełnego zasług dla kraju. Człowiekiem tym



Ks. kapelan Serafin Wojciech Szulc, fot. ze zbiorów Dariusza Jurka

był Józef Cieszkowski, były wieloletni naczelnik kopalń w Dąbrowie Górniczej.

W Dąbrowie do oddziałów powstańczych zaczęli napływać nowi ochotnicy, przeważnie zatrudnieni w okolicznym górnictwie i hutnictwie. Po dwóch dniach odpoczynku, 9 lutego 1863, oddział Kurowskiego, wzmocniony liczebnie, odprowadzony przez orkiestrę górniczą, wyruszył w powrotną drogę do obozu ojcowskiego. W Dąbrowie pozostał pułkownik Teodor Cieszkowski, który został mianowany komendantem placu. Zdobycie Sosnowca i zajęcie Dąbrowy zakończyło plan opanowania trójkąta granicznego.

Podczas marszu wojsk Kurowskiego na trasie Ojców-Olkusz-Sławków-Maczki-Sosnowice i do Dąbrowy (5-7 lutego) oraz w drodze powrotnej z Dąbrowy do Ojcowca (9-11 lutego), we wszystkich mijanych miejscowościach zostały powołane władze powstańcze. Tam, gdzie oddziały nie dotarły, władze na-

rodowe wysyłały emisariuszy. Jednym z nich był sztygar dąbrowskiej kopalni – oficer (nazwisko nieznane), który 11 lutego w Modrzejowie powołał władzę narodową. W Dąbrowie Górniczej proklamowanie władzy narodowej odbyło się bardzo uroczystie. Zorganizowano uroczystą, patriotyczną mszę świętą, odebrano przysięgę od mieszkańców, na gmachu rządowym zawieszono godło Polski oraz napis „Rząd Narodowy”.

W świetle zachowanych źródeł można dużo powiedzieć o działalności komendanta placu w Dąbrowie Teodora Cieszkowskiego, który przypuszczalnie był powiązany rodzinnie z inż. Józefem Cieszkowskim, emerytowanym naczelnikiem kopalń zagłębiowskich. W okresie tym jego bliskim współpracownikiem był naczelny mechanik z zakładów górniczych, Bolesław Holz. Współpraca ta zaowocowała możliwością produkcji 100 kos oraz odlaniem 6 dział. Pomimo, że próbę ostrego strzelania wytrzymały tylko 2 działa, wieść ta zaniepokoiła nawet cara Rosji, Aleksandra II.

Teodor Cieszkowski nie miał trudności z werbowaniem ochotników w okolicach Dąbrowy. Do 12 lutego było ich 40, a 14 lutego liczba wzrosła do 75. W dniu tym przybyło do Dąbrowy dodatkowych 30 ochotników, przyprowadzonych przez warszawskiego lekarza, A. Kuleszę.

Z zakupionego w Bytomiu sukna zaczęto dla powstańców szyć mundury, a pomieszczenia huty cynku zamienione zostały na koszary, mogące pomieścić 250 żołnierzy. Ważną, a zarazem strategiczną sprawą było utrzymanie ruchu kolejowego na odcinku Warszawsko-Wiedeńskiej Drogi Żelaznej, opanowanej przez powstańców. Odcinek od Poraju tuż za Częstochową do samej granicy obsługiwany był przez zaprzysiężonych powstańców. Tego typu sytuację tolerowały władze rządu zaborczego, pragnące



Pomnik w Mrzygłodzie upamiętniający bitwę powstańczą 1 marca 1863

fot. Dariusz Jurka



Tablica pamiątkowa na budynku dworca kolejowego w Sosnowcu

utrzymać nieprzerwany ruch kolejowy na odcinku od Warszawy aż poza granice Królestwa.

12 lutego 1863 pułkownik Teodor Cieszkowski zwołał w Dąbrowie zgromadzenie starszych urzędników górniczych, którym ogłosił administracyjne przejście Górnictwa we władanie Rządu Narodowego. Sytuacja w trójkącie granicznym zaniepokoiła władze rosyjskie. Przeciwno Kurowskiemu wysłano dwie kolumny wojska, jedną z Częstochowy a drugą z Miechowa. Zadaniem wojska było odciąć powstańców od granicy, okrążyć i zlikwidować. Kurowski, wiedząc o tym, że wojsko rosyjskie opuściło Miechów, podjął plan zaatakowania i opanowania miasta. Nie wiedział, że część załogi pozostała na miejscu.

17 lutego Kurowski zaatakował Miechów wszystkimi swoimi siłami. Z uwagi na nieprzemyślaną strategię opanowania miasta doszło do tragicznej klęski powstańców. Rozbite oddziały uległy rozproszeniu, cofając się w stronę granicy galicyjskiej. Trzysuosobowy oddział Teodora Cieszkowskiego, stacjonujący w Dąbrowie nie wziął udziału w bitwie miechowskiej. Ten nowo utworzony oddział składał się przede wszystkim z powstańców pochodzenia górniczego i rzemieślniczego.

16 lutego dąbrowscy górnicy i hutnicy nie poszli do pracy. Miejscowa ludność towarzyszyła w przygotowaniu oddziału do wymarszu. Rano 16 lutego oddział podzielony na sekcje i plutony, ze sztan-

darem powstańczym wyruszył z Dąbrowy w stronę Miechowa. W Będzinie oddział zatrzymał się na krótki odpoczynek, a w Olkuziu stanął na noc. Tutaj dotarła do powstańców wiadomość o klęsce Kurowskiego oraz o zbliżaniu się kolumny wojsk rosyjskich. Oddział po opuszczeniu miasta uległ częściowemu rozproszeniu.

Około 150 powstańców wraz z rannymi powstańcami, którzy dołączyli do oddziału po klęsce miechowskiej powróciło do Dąbrowy. Z Dąbrowy oddział przemaszerował do Siewierza, gdzie powstańcy przebywali przez 3 dni. Z Siewierza oddział w sile 200 powstańców pomaszerował w stronę Częstochowy.

26 lutego w Pankach doszło do utarczki oddziału z wojskami rosyjskimi. Pomiędzy liczebnej przewagi wroga, po krótkiej walce partyzantom udało się wycofać bez strat w stronę pobliskich lasów. Cofając się z Panek przez Koziegłowy, powstańcy dotarli do Mrzygłodu, gdzie zatrzymali się na noc. Około północy, z 28 lutego na 1 marca, oddział rosyjski dowodzony przez kapitana Alenicza zaskoczył powstańców. Losy bitwy na korzyść sił polskich przeważał przypadek. Cieszkowski, przed wkroczeniem do Mrzygłodu, wysłał do Myszkowa część oddziału powstańczego w celu zburzenia mostu kolejowego. Oddział ten, wracając do Mrzygłodu zaatakował wroga od tyłu. Zaskoczeni Rosjanie wycofali się tracąc kilku zabitych, w tym dwóch oficerów. Straty polskie wynosiły 7 zabitych i 2 ciężko rannych. Nad ranem oddział Cieszkowskiego udał się do Pieskowej Skąły, gdzie połączył się z oddziałami pod wodzą generała Langiewicza.

Bitwa mrzygłódzka, a przede wszystkim klęska miechowska kończy krótki okres opanowania przez siły powstańcze trójkąta przemysłowego w Kongresówce. O tym okresie w swoich pamiętnikach trafnie napisze kapelan oddziału Cieszkowskiego, ks. Serafin Schulz: *mieliśmy wówczas jeden powiat w swej władzy i to największy w Królestwie, zu-*



Pułkownik Teodor Cieszkowski

pełnie wolny [...] łatwy do utrzymania przez nowe zwycięstwo, mieliśmy Dąbrowę, tak ważny punkt z zakładami górniczymi, gdzie można było fabrykę broni urządzić. Oddział Teodora Cieszkowskiego był ostatnim oddziałem powstańczym, który w swoich szeregach skupiał w większości robotników przemysłu zagłębiowskiego, w tym górników.

Na początku powstania styczniowego, po opanowaniu obszarów górniczych przez powstańcze władze narodowe, naczelnik Zachodniego Okręgu Górniczego – Jan Hampel wraz z wyższymi urzędnikami i najlepszymi fachowcami wyjechał z Dąbrowy do Mysłowic. Mimo przychylnego stosunku władz powstańczych i propozycji podjęcia stanowiska naczelnika Zakładów Górniczych, Hampel nie tylko nie przyjął propozycji współpracy, ale i szkodził powstaniu. Funkcję naczelnika pełnił jego zastępca – Ignacy Liszka, niechętnie nastawiony do powstania, ale tolerowany przez władze powstańcze.

W okresie rządów powstańczych składy zarządów zakładów górniczych w zasadzie nie uległy zmianom, a niżsi urzędnicy uczciwie działali na rzecz powstania. Z dokumentów znajdujących się w archiwum katowickim wynika, że zakłady górnicze jak i hutnicze funkcjonowały normalnie. Normalnie funkcjonowały nawet kasy górnicze, znajdujące się w rękach dawnych urzędników, którzy złożyli przysięgę lojalności władzom powstańczym.

Po opanowaniu Zagłębia przez wojska rosyjskie, do Dąbrowy powrócił Jan Hampel. Z jego polecenia zaczęto obliczać straty poniesione przez górnictwo i hutnictwo rządowe w okresie sprawowania władzy przez powstańców. Okazało się, że większych strat nie doliczono się, gdyż władze powstańcze traktowały zakłady i urzędy górniczo-hutnicze jak i kasy rządowe, jako nietykalną własność narodową.



Grupa weteranów Powstania Styczniowego, Sosnowiec, 3 Maja 1916

Dziennik zdruzgotanego życia (6)

ANNA GURBICZ, WITOLD TURANT

Wszelka propaganda to kłamstwa, nawet gdy mówi się prawdę. Myślę jednak, że to nie ma żadnego znaczenia, dopóki człowiek jest świadom tego, co robi i dlaczego to robi.

George Orwell, *Dziennik wojenny*
Tłum. Bartłomiej Zborski

Powtarzalność wojennych koszmarów niesie ze sobą strasliwą, wręcz upiorną monotonię. Codzienny ostrzał i ataki raketowe, za którymi kryją się jednak za każdym razem nowe zniszczenia i nowe ofiary. To jednocześnie pułapka, jaką wojna zastawia na naszą historię. Kto chciałby czytać powtarzane niemal codziennie te same zdania? Wojna jest perfidna i perfidni są jej orędownicy; liczą na to, że straszne wieści tak światu spowszednieją, że dla opinii publicznej staną się czymś zwyczajnym, codziennym.

O, niedoczekanie, chciałoby się powiedzieć. Takie rzeczy nie mogą stawać się normalnością, nawet jeśli nas bezpośrednio nie dotyczą. Czy jednak nie przeszliśmy w jakiejś mierze do porządku dziennego nad aneksją Krymu? Czy przeżywalimy powstanie separatystycznych pseudorepublik w Donbasie i Ługańsku? Prawda, teraz sytuacja jest inna. Ta wojna stała nam się bliższa m.in. dzięki uchodźcom, inflacji, problemom z węglem, a przede wszystkim tragedii, jaka wydarzyła się w Przewodowie. Uświadamiamy sobie, że Ukraina takich zdarzeń ma u siebie każdego dnia dziesiątki. Co stałoby się z Anną i jej bliskimi, gdyby uległa, ona i inni ludzie w podobnej sytuacji, zubożeniu?

Ostatnie wydarzenia sprawiły, że nasze rozmowy stały się nieco rzadsze, a smsy bywają lakoniczne. Ostrzały, brak prądu, zimno, dotkliwość codziennego życia. Przerażająca w obliczu postępującej zimy jest także powtarzalność bolączek i zagrożeń, o jakich Anna pisze. Ciemność i zimno wysuwają się na plan pierwszy. Kiedy się na tym zastanowić, można dojść do wniosku, że Rosja ma bogate tradycje w udręczaniu i zamęczaniu ogromnych rzesz ludzkich. Na Ukrainie bynajmniej nie zapomniano o Hołodomorze, kiedy na skutek ludobójczej polityki bolszewików zagłodzono

na Ukrainie na śmierć miliony ludzi. Być może mniej oczywista, ale także wynikająca z tej samej politycznej doktryny była zbyteczna śmierć setek tysięcy mieszkańców Leningradu podczas blokady tego miasta. Otumaniony propagandą Rosjanin mówił wtedy *takąjā sudba*, ale Ukraińcy nie są fatalistami.

15.11. *Dzień dobry, mój drogi. U mnie wszystko dobrze, a noc minęła podejrzenie spokojnie. Wieczorem przyłożyłam głowę do poduszki i natychmiast zasnęłam. To prawda, miałam do ciebie napisać, ale cóż... nie wyszło. Byłam bardzo, ale to bardzo zmęczona.*

No i masz! Wiedziałam, że coś się wydarzy. Skurwysyny ostrzeliwują raketami środkową Ukrainę. I to jak! To powtórka tego, co zrobili 10 października! Wystrzelili dziś ponad setkę rakiet.

Media informują o kolejnych trafieniach w energetyczną infrastrukturę i budynki mieszkalne. W Kijowie i wielu innych miejscowościach, także we Lwowie. Na pocieszenie wysyłam Annie zdjęcia dwóch najnowszych prac mojego znajomego, Jacka Lipowczana: „Wojennyj Vania” i „Jego Natasza” – bardzo ostra, wręcz złośliwa satyra, ale cóż, czy nie zasłużona? Wania taszczy sedes, a do paska przytroczył naczynia kuchenne różnego kalibru i kroczy po stosie czaszek. A Natasza? Czeka i tęskni, nie całkiem na trzeźwo, ale stakan dla Wani jest. Za Wanią tęskni, czy za jego wojennymi trofeami? Oto pytanie.

Mój drogi, dotarła do nas wiadomość, że jedna czy dwie rakiety spadły na terytorium Polski i dwie osoby zginęły. To prawda? Aż serce mnie rozboleło. Co się dzieje? U nas znowu wybuchy.

Od tamtej pory cisza. Anna nie odbiera moich smsów, nie odzywa się. Tymczasem, nie tylko w Polsce, prawdziwa burza medialna. A politycy także nie przyczyniają się do rozjaśnienia obrazu sytuacji w Przewodowie. Krzyżują się oskarżenia i opinie. Eksperti śladem polityków nawołują, by nie spekulować, i spekulują ile się da. Żal niewinnych ludzi, którzy zginęli. Najbardziej absurdalna opinia pojawia w rosyjskich mediach: polska prowokacja w celu... odzyskania Lwowa.

16.11. *Byliśmy do tej pory bez prądu. Ze mną wszystko w porządku. Możesz być spokojny.*

17.11. *Boże drogi! Wreszcie włączono prąd i mamy światło. Rano było słychać wiele wybuchów i wiadomo już, że są ofiary. Kiedy to się skończy?*

18.11. *Witaj, mój drogi. Niemal cała noc bezsenna. Staram się dotrzeć do pracy. Może znów włączą prąd. Ze mną niby wszystko dobrze, ale czuję, że jestem na granicy głębokiej depresji.*

Odpisuję na każdą jej lakoniczną wiadomość i staram się odgadnąć jej stan umysłu. To naprawdę trudne. Nie mam pojęcia, jak mogę jej pomóc. To już po raz kolejny. Pod wieczór Anna się jednak odzywa.

Wyobraź sobie, że dosyć byle jak, ale wciąż żyję. Odcinają nam prąd czasem na 10, czasem na 12 godzin. Kiedy jest



zasilanie, staram się gotować posiłki na dwa dni, bo kuchenkę mam także elektryczną. Burmistrz obiecał nam, że ten koszmar potrwa najwyżej jeszcze kilka dni. Żeby było weselej ogrzewanie mam także elektryczne. Krótko mówiąc, kiedy brakuje prądu, jestem w epoce kamiennej. Zimno, ciemno, brak ciepłej wody, o internecie nawet nie wspominam. I jak tu coś ugotować? Nie wiesz. Ja także nie, a przecież muszę.

18.11. Co jeszcze? Nasz przyjaciel Aleksiej jest znowu na froncie, tym razem w Donbasie. Wyobraź sobie, że dziś został ranny, tym razem w głowę. Jakaś zabłąkana kula. Żyje, ale miał niesłychane szczęście. To tylko draśnięcie. Najwidoczniej Bóg go sobie upodobał. To już drugie nadprogramowe narodziny Aleksieja.

20.11. Dziś od rana syreny w całej Ukrainie. Nic nowego, prawda? Nie masz jednak pojęcia, jak uciążliwy jest brak prądu i ogrzewania przy wciąż spadającej temperaturze, no i brak internetu i – okresowo – połączeń telefonicznych. Nie miej żalu, że piszę rzadziej i mniej; o czym tu pisać, wciąż o tym samym? Obiecano nam, że od jutra ma się to zmienić, ale czy to się uda? Jednego dnia naprawią sieć, a w nocy „pозdrowienia z Rosji” i znowu to samo. Ale trzeba mieć nadzieję. Jutro napiszę ci długi list i wyślę e-mailem.

21.11. No niestety, mój drogi, chyba się nie uda. Dziś mają znowu wyłączyć prąd. Podobno po raz ostatni. No cóż, miejmy nadzieję. A poza tym wszystko w porządku.

Czytam dziś, że Ukraina nie ma już ani jednej nieuszkodzonej elektrowni wodnej czy ciepłej. Wieczorami króluje tam okrutna para – ciemność i chłód. Sądzę zatem, że przez dłuższy czas zamiar Anny znajdzie się w przegródce opatrzonej napisem „pobożne życzenia”. Trudno. Tu niebędna jest duża doza cierpliwości. W każdym razie za nami milczący dzień.

23.11. Dziś ostrzeliwano cały kraj, także nasze miasto. Byliśmy bez prądu. Teraz jest, ale nie mam pojęcia, jak długo będzie. Do diabła z tymi terrorystami. Ten dzisiejszy ostrzał pozbawił także elektryczności część Mołdawii. Zastanawiam się, na co oni jeszcze się odważą, zanim ktoś ich powstrzyma.

Wysłałam Annie link do wiadomości, jakie pojawiły się w naszych mediach. Anna wszystko potwierdza i pisze:

Mój drogi, byłabym ci nieskończenie wdzięczna, gdybyś mógł mi znowu przysłać trochę świec.

Dziś kolejny poranek bez smsowego pozdrowienia „witaj, mój drogi, co u ciebie?”. Znajduję w mediach żart czeskiego artysty w postaci gołego Putina na złotym sedesie. Robię zrzut z ekranu i wysyłam Annie. Jeśli ten dzień jest dla niej straszny, a relacje z Ukrainy każą podejrzewać, że taki może być, to mam nadzieję, że na widok tego zdjęcia nawet w środku swojego codziennego koszmaru choć na moment uśmiechnie się. Oczywiście o świecach pamiętam. Rozumiem, że teraz na Ukrainie to jeden z artykułów pierwszej potrzeby. Wieczorem:

24.11. Mój drogi, tu jest teraz jak na filmie o apokalipsie. Boże drogi, prąd w 20% domów w mieście. Większość sklepów zamknięta. W ogóle nie ma chleba. Na szczęście mam urządzenie do pieczenia chleba i mąkę. To cud jakiś. I dzięki Bogu mamy elektryczność!!!

Po chwili od znajomego z innej części Dnipro przychodzi sms:

Co za pizdzie! Nie ma światła w całej dzielnicy.

Anna pisze:

Takie szaleństwo i panikę, jak dziś, oglądałam na początku wojny. Ludzie znów są przerażeni. W ogóle nie ma wody. Na szczęście udało mi się zgromadzić pewien zapas. Nasz mer wczoraj napisał: „I bez światła widzimy, jak wy wszystko p....cie. Jeśli sądzicie, że nas w ten sposób złamiecie, to bardzo się mylicie. Wiemy, że nasi chłopcy na zimnie brodzą w okopach po kolana w wodzie, ale jesteśmy pewni, że nas obrońnią. Te ataki tylko nas umacniają w naszej furii. Trójkolorowa szmata nigdy nie będzie powiewać nad naszym miastem!”.

Czy wiesz, że rodziny poległych rosyjskich żołnierzy otrzymują jako rekompensatę za ich śmierć Ładę Kalinę, wyjątkowo gówniany samochód? Ale mniejsza o to. Ratusz ogłosił, że połowa miasta ma już prąd. I to jest dla mnie ważne.

25.11. Na razie cisza. Syreny nie zawyły dziś ani razu. Jestem w pracy i długo będę, bo muszę odpracować te wymuszone wolne dni. U was w mediach mówią o Polakach na froncie? To dobrze, bo – podobnie jak wszyscy inni cudzoziemcy – są dla nas bohaterami. To przecież nie ich wojna, a jednak przyjechali, żeby nam pomagać. Tak sobie dziś rano pomyślałam po przebudzeniu: za miesiąc mam urodziny, skończę 39 lat i czuję się staro, jakbym wszystko co dobre w życiu miała już za sobą.

A ja sobie pomyślałam, że kobiety często bajdurzą na temat swojego wieku; są na tym tle przewrażliwione. Co ja miałbym w takim razie powiedzieć? Wciąż uważam, że jeszcze sporo dobrego przede mną, a Annę, o wiele młodszą, czeka po wojnie wspaniała przyszłość. Tak mniej więcej jej odpisałam. Zareagowała emotką z uśmiechem.

Jestem spod znaku Koziorożca i nie wierzę w horoskopy. A do tego jestem uparta jak Baran. Aha, to ty jesteś spod znaku Barana. I w ogóle nie jesteś uparty, tylko czasami, trochę? Może lepiej byłoby powiedzieć – wytrwały? No, jeśli tak wolisz, niech ci będzie.

Dziś początek dnia dramatyczny. Anna przysłała zrobiony przez siebie filmik: widok z okna, słup dymu i płomień. Następnie pisze:

26.11. Wybuch w pobliżu. Po chwili kolejny. Bardzo blisko. Huk okropny. Jestem w pracy. Siedzimy z koleżankami na korytarzu. Spokojnie, nic mi nie jest. A teraz cholerne skurwysyny ostrzeliwiają pobliskie osiedle mieszkaniowe.

27.11. Miłego dnia, mój drogi. U mnie wszystko dziś w porządku. Co prawda rano rozdarły się syreny w całym regionie, ale tym razem oberwał Krzywy Róg.



Jestem w domu. Internet nie działał dziś, jak należy. Były z tego powodu problemy w pracy. Cóż ci jeszcze mogą powiedzieć? Mer naszego miasta odwiedził dzielnice, które wczoraj były ostrzeliwane. Rozmawiał z ludźmi, pocieszał ich, dochodziło do wzruszających scen; jedną z nich widzisz na zdjęciu, które ci przysłałam – przytula zrozpaczoną staruszkę. Przewiduje się, że w przyszłym tygodniu Rosjanie będą próbowali całkiem wykończyć naszą sieć energetyczną, zanosi się na kompletny black-out. Ja także mam nadzieję, że do tego nie dojdzie, ale w ich kurzych mózdkach powstał taki pomysł, że kiedy pożyjemy w ciemnościach i chłodzie, zbuntujemy się i zaniechamy oporu... Jakżeż oni są słabi na umyśle. Już kiedyś rozmawialiśmy na ten temat, to wiesz, co tym myślę.

28.11. *Dziś ciężki dzień – 15 godzin bez prądu. Właśnie włączyli, dlatego piszę. Nie masz pojęcia, ile radości mogą człowiekowi sprawić takie niby drobne rzeczy.*

Przy okazji, z tego co mówią niektórzy „geniusze” propagandy w rosyjskiej telewizji wynika, że twój kraj będzie następnym celem „operacji specjalnej”.

Media nazywają ostrzały urządzeń energetycznych na Ukrainie „nową bronią” Putina. Pojawiają się nawet skrajnie ponure prognozy, wedle których tegoroczna zima może zebrać wysokie śmiertelne żniwo. Wyższe niż kiedykolwiek, i to nie tylko na Ukrainie. Niedobór surowców energetycznych, a co za tym idzie kłopoty z ogrzewaniem wielu domostw, mógłby się do tego przyczynić. Kiedy pytam Annę, czy odczuwa w związku z tym niepokój, odpowiada: *It's a splash for the sailor.* (Korespondujemy w języku angielskim – to coś jak plusk wody dla marynarza, innymi słowy nie ma się czym przejmować). Myślę, że w tym momencie górę bierze jej przekora i wrodzony optymizm.

Cholera jasna! Znowu wybuch. Jak długo przyjdzie nam to znosić i nie zwariować!? Wygląda na to, że z jakiegoś powodu nie zadziałała nasza obrona przeciwlotnicza. Mam tego dość. Niech mnie w dupę pocałują, skurwiele. Następny wybuch. No nie mogę. Co? Że nie zasługują na taki przywilej? Sprawdź w lustrze.

Dramatyczny wieczór kończy się emotką z uśmiechem i serduszkami. Chyba o to mi chodziło.

30.11. *Spokojnie. Wszystko w porządku. Po prostu przez cały wczorajszy dzień byłam bez telefonu. W ogóle jestem wkurzona. Jak nie telefon, to klawiatura w komputerze, jak nie klawiatura, to mysz. A kiedy wszystko działa, pada internet. Być może też to znasz. Co? Że wszystko będzie dobrze, prędzej czy później? A niech cię... Ale masz rację.*

2.12. *Musisz mi wybaczyć, że piszę rządziej, ale nawet jeśli jest spokojniejszy dzień, to bardzo nam przeszkadzają wyłączenia prądu. Nie ma telefonu, internetu i jest zimno. Na zewnątrz od kilku dni minusowe temperatury. Czym się teraz zajmujesz; piszesz szkic o sir Francisie Drake'u? Dlaczego akurat o nim?*

Wyjaśniam Annie źródła mojego zainteresowania epoką elżbietańską i postacią Drake'a, człowieka niemieszczącego się w żadnym schemacie – ani dworzanina, ani dowódcy królewskiej floty, nawet drapieźnego pirata. Nie wiem, czy ją to rzeczywiście zainteresuje, ale może pozwoli jej oderwać się choć na chwilę od bardzo w gruncie rzeczy schematycznej, wojennej codzienności. Jest jednak coś, co łączy tę, zdawałoby się, nieskończenie odległą postać i epokę. Po pierwsze niekonwencjonalność i skuteczność działań ukraińskich dowódców, po drugie coś, co można by nazwać putinizmem królowej. Kiedy zobaczyłem replikę „Golden Hind” w londyńskich dokach, oniemiałem. Ja bym czymś takim chy-

ba nie odważył się nawet pozełgować przez kanał La Manche, a ów człowiek opłynął glob w tej łupinie i dokonywał śmiałych, by nie powiedzieć beczelnych, rajdów na hiszpańskie i portugalskie porty w Nowym Świecie. Kiedy przyszło zmagać się z hiszpańską Armadą, wykazał się nie mniejszą pomysłowością i odwagą. Teraz pora na putinizm królowej: otóż gdy przyszło do rozliczania zasług i wynagradzania obrońców kraju, nieliczni otrzymali niewiele, a większość nie tylko nic nie otrzymała, ale rannym i chorym pozwolono umierać z ran i od szalejącej zarazy w imię konieczności oszczędzania. Najbardziej zasłużeni marynarze otrzymali ograniczony czasowo przywilej zebrania w wyznaczonych miejscach. Zgadza się, Aniu droga, nie tylko Putin jest bezwzględny dla swoich. Taki był i Stalin, i Elżbieta, i zapewne wielu innych władców o imperialnych ambicjach. A poddani? Mimo wszystko byli lojalni. Znasz to skądś? Oczywiście.

3.12. *Cholera jasna, znowu wybuch i znowu skurwiele trafili w pobliską elektrownię. No, nie aż tak bardzo blisko. Pracujemy nadal.*

4.12. *Cieszymy się dziś wszyscy. Ukraińska flaga na wielkim maszcie na lewym brzegu Dniepru i pierwsza miejscowość w tamtej okolicy wyzwolona. Sam rozumiesz, że jest się z czego cieszyć. Mnie dodatkowo cieszy twoja spostrzegawczość; wychwyciłeś tę wiadomość w wszystkich mediach. Pytasz, co u mnie? Często bez prądu, ale już wiesz, z czym to się wiąże. Ponadto transport publiczny, ten napędzany elektrycznością, właściwie przestał istnieć. No i jeszcze wielkie centra handlowe też są pozbawione prądu, więc tak jakby ich nie było.*

Ja na Śląsku Cieszyńskim, w niewielkiej wsi, Anna w Dnipro, wielkiej kilkumilionowej aglomeracji. Oba regiony gęsto zaludnione i mocno przemysłowe. Poziom życia zapewne odbiegający od średniej krajowej. U mnie właściwie nic się nie zmieniło, choć inflacja trochę duka. Annie jeszcze do lutego żyło się całkiem przyzwoicie, ale teraz? Z dnia na dzień jest trudniej, wojna powoduje wręcz rozpad infrastruktury, bez której trudno wyobrazić sobie funkcjonowanie ludzkiej wspólnoty w cywilizowanym świecie. Swoją drogą przerażenie ogarnia, kiedy człowiek uświadamia sobie, że budowa takich sfer życia, umożliwiających nam przyzwoitą egzystencję, trwa czasem dziesiątki lat, a zniszczyć je można w ciągu jednej nocy. Zdziały, jak szybko możemy powrócić do epoki kamiennej. Siedząc przy biurku w ogrzonym pokoju, z kubkiem gorącej herbaty w rękę i przeklinając źle dziś działający internet, staram się o tym nie zapominać. Wszystko jest bowiem względne. Anna z pewnością przeżyłaby brak internetu, ale temperatura w pokoju, działające wszystkie urządzenia elektryczne łącznie z kuchenką, pralką i żelazkiem – to sprawy dziś wagi szczególnej. No i może jeszcze coś w tv. Do diabła z moim internetem. Jakoś przeżyję. ■



Pamiętnik (11)

Z RĘKOPISU OPRACOWAŁ MARIAN KISIEL

Niedziela, 22 listop[ada] [1936].

Przynajmniej jedna godziwa rozrywka. Teatr z Katowic przyjechał dać u Budnego^[1] *Manewry jesienne*^[2]. Władek kupił bilet w przedsprzedaży na kopalni. Nie miał jednak ochoty pójść na przedstawienie. Dał mi więc bilet (za 2 zł) z prośbą, abym poszedł, nie marnując w ten sposób biletu. Zgromadziła się prawie cała inteligencja czerwienińska. Inżynierzy, urzędnicy i inni. – Orkiestra była jakaś wojskowa – rzeczywiście doborowa. Grała przeważnie muzykę poważną. Operetka była prześliczna. Aktorzy grali możliwie, średnio – aktorzy lepiej. Pięknością wyróżniali się tylko trzy. Teksty piosenek banalne. Ładniejsze melodie. Grunt, że przyjemnie spędziłem wieczór.

Poniedziałek, 23 listopada.

Wtorek, 24 listopada.

Nie zawsze ma się ochotę do poważnych rozmyślań na temat Stefy. Dotychczas traktowałem ten temat powierzchownie, płytko, frazesowo. Coś podobnego jak lektura małowartościowej ale interesującej sensoryjnej powieści. Jednakowoż dzisiaj (psiakrew! cholera! pierona! kurwa mać!!! – niech się raz wyklnę) musiałem o tym pomyśleć.

1–o:

Nie mogę na nasz stosunek zapatrywać się poważnie. Przecież jestem od niej młodszy. Nie mam posady. Nie mam skończonych studiów. Są różnice pogładowe; [nie mógłbym przy niej kochać się w książkach]. Musiałbym jej asystować na wszystkich zabawach. Musiałbym zezwalać jej na towarzystwo innych, żeby się nie nudziła. – Zresztą całe to „primo” jest śmieszne. Czy ja w ogóle kiedy byłem taki naiwny i myślałem o naszym stosunku poważnie? Chyba nie. Albo – jeżeli naprawdę – to pod wpływem chwilowego zauroczenia.

I w ogóle... w ogóle... –

– postępuję względem niej jak baba i jak głupiec. A przecież jestem mężczyzną!

Wreszcie: 2–o:

Chwyciliśmy Rysia na przechadzce (dziad mimo mrozu spacerował bez czapki i bez płaszcza). Wzięliśmy go pod pachę i zaprowadziliśmy na górę do „naszego biura”, tzn. do Władka. Miał dla mnie nowiny.

A więc:

– Stefa stąd odjechała w sobotę o ½ ósmej.

– Tak.

– Bo mówił mi Zaiczek, że skoro przyjechała od ciebie, czekała na dworcu na przyjazd z wojska swego praprakawalera Roja^[3]. I w ogóle z nim teraz dużo spaceruje. A i przedtem miała strasznie dużo towarzystwa i niezbyt wybrednego.

Władek na to wszystko powiedział, że gdyby miał w tej chwili Stęfę pod ręką, spralby ją porządnie po pysku. Ja postanowiłem z decyzją zaczekać do jutra. Jutro – Stefa kazała Rysiowi mnie o tym poinformować – przyjedzie do Czerwionki znowu do jakiegoś szewca po jakieś buty. A więc do jutra.

Ryś również zdobywa coraz więcej dowodów świadczących przeciw Marysi. W każdym razie u niego jasność sprawy, jasność i logikę ewentualnego zerwania komplikuje fakt, że jest on w Marysi naprawdę zakochany, czego absolutnie nie można powiedzieć o mnie.

Stefa w świetle tych różnych opinii, które usłyszałem, wygląda przede wszystkim na histeryczkę, wyrafinowaną kokietkę i samiczkę, a potem dopiero na średnią taką „niczego sobie” dziewczynę. Płacz, jaki bardzo udatnie mi zareprezentowała, może niestety śmiało potwierdzać fakt hysterii. – Od razu się na niej nie mogłem

połapać, gdyż z dziewczyną takiego pokroju mam do czynienia dopiero po raz pierwszy.

Najlepiej to żyć bez kobiet. Gdyby mieć posadę i małeńki tylko z niej dochód, pozwalający mi na ciągle kupno nowych, ciekawych książek i czasopism – mógłbym się oddać cichej pracy naukowej i ew.[entalnie] literackiej. Na pewno nie marzyła[by] mi się wtedy żadna kobieta. Życie takie, warunki takie, choć skromne, ale zawsze umożliwiające mi wymarzoną pracę, stanowiłyby dla mnie coś naprawdę większego od dziesięciu Stefanii.

— — — — —

Kiepskie dni. Trochę gołoledzi, trochę błota. Władek wieczorami wyciąga mnie na spacer. Potem czytam u niego I.K.C., którego niestety z powodu wysokiej prenumeraty nie możemy zaabonować. Chodzę do Szymurów. Dziś również byłem. Ten chłop nie zna gramatyki i nie umie czytać. Co znaczy niemieckie wychowanie od dziecka. Jest repetentem w II klasie i za wszelką cenę musi się z niej wy dostać. – Kuchenna atmosfera, w jakiej udzielam korepetycji, działa na mnie deprymująco. Brrr, jak ja tam nie lubię chodzić!...

Kiepskie dni. Ale są dwa słoneczne promyki, dwa pachnące pąki kwiatów – słów. Więc: dwie odpowiedzi.

Folmer Wisti – –

– Uprzejmość podziwu godna. Odpowiedział mi na wszystkie pytania, dotyczące jego przekładu *Pana Tadeusza* na jęz.[yk] duński. Ogromnie się ucieszyłem. Przed Bożym Narodzeniem będzie mówił w radiu. Muszę go słuchać.

Morcinek – –

– Spojrzała na mnie zamyślona głowa Twórcy. Spojrzał na mnie człowiek, który jest dobry. Przysłał mi swoją fotografię z autografem. Dziękuję, najserdeczniej dziękuję. Kochany, najlepszy, nasz śląski Morcinku. Fotografię oglądali wszyscy. Matka, ojciec, brat... Władek nawet mi trochę zazdrościł. Zwyzywałem go porządnie, że dotychczas nie czytał ani jednej książki Morcinka. Postanowił to naprawić.

A więc i radość mnie odwiedza. Odwiedza mnie jak najlepsza, najszczęśliwsza dziewczyna.

Środa, 25 listopada.

Właśnie przed chwilą – jest teraz godzina 13 – przyszedł do nas jakiś łazik. Bezrobotny na pewno. Byliśmy wszyscy zgromadzeni przy obiedzie. Najpierw podejrzliwie pooglądał się po pokoju. Potem zapytał się cicho:

– Czy nie mieszka na tej ulicy jakiś policjant albo tajny?

Od razu zrozumiałem, że to szmugler.

– Policjanta tu nigdzie nie ma – odpowiedział ojciec. – Ale jest tajny. Zdaje się, że Szopa.

Za pierwszym wtoczył się drugi łazik. Obdartus skończony. Z twarzą typowego zbrodniarza. Podobny zresztą do van der Lubbeego, rzeźkomego podpalacza Reichstagu w Berlinie w r. 1932 (?)^[4]. Ten sły szał słowa ojca i zamruczał niewyraźnie:

– A jeszcze takiemu żoden krzyżów nie połomoł? To bardzo łatwo. Zawachować^[5] na niego.

Poderwało mnie. Krew nabiegła mi do głowy. Zacząłem wyrzucać z siebie słowa jak ostre, kanciaste głązy.

– Za co? Każdy was powinien od razu donieść policji. Okradacie skarb państwa. To jest kradzież! Jeżeli nie macie pracy, to marsz do ochotniczych drużyn roboczych.

Mówiłem jeszcze coś. Ale dużo nie mogłem. Załamał mi się głos z tego nerwowego podniecenia.

Ten z twarzą zbrodniarza patrzył się na mnie spod oka niby strasznie. Oczywiście, że od razu spostrzegłem, iż stara się mnie zapamiętać. Nie szkodzi.

Wszystko byłoby dobrze, gdyby rodzice podzielili moje zdanie. Niestety. Ojciec zaczął mnie przekonywać przed tymi chacharami, że nie mam racji. Że dobrze mi gadać, gdy nie odczuwam biedy. Że rząd również wszystkich okrada. Że jeżeli będę bez pracy, zmienię swe zdanie na te sprawy. Matka również zaczęła mi przymawiać. Pomyśleć: ojciec – zamiast mnie – przyznał rację takim chacharom. I w dodatku mówił głosem podniesionym, niedopuszczającym do dalszej dyskusji. Wyobrażam sobie, jak ci złodzieje musieli triumfować, skoro rodzony ojciec zamiast synowi, którego z własnej woli pokierował do polskiego gimnazjum, przyznał rację im. Och, jak mi było przykro. A i matka!...

Po wyjściu szmuglerzy musiałem wysłuchać znowu głupiej przemowy na ten temat. Więc rząd niby nie ma litości dla górnika, nakładając nań coraz nowe podatki. Dalej: dygnitarze wysocy szmuglują, a czemu nie ma tego czynić dla chleba ten biedny parias, bezrobotny. Ojciec miał tylko pewną rację. Ale i ta była oparta na kruchych podstawach. Na podstawach całkiem nieetycznych. Powiedziałem więc jeszcze parę cierpkich słów i zamilkłem. Bo ojciec stawał się coraz bardziej skory do rękoczynów. – A matka powiedziała, że postąpiłem jak „soron”^[6] i że ją to mocno „zamierza”^[7]. A tym rzekła:

– Kieby tu syn był sam, to by was na pewno meldował. Ale co do nas możecie być spokojni.

Przepaść między mną a ojcem pogłębia się coraz więcej. Często kłócimy się na tematy polityczne. Sympatie jego niedwuznacznie są po tamtej stronie. A ja jestem Polakiem!!!

Polsko! Dużo trzeba dla Ciebie wycierpieć. Ale Ty zawsze będziesz dla mnie świętą. Jak najmocniej wonny kwiat. Jak dzikość puszczy białowieskiej. Jak dusza dziewczycy. Jak pierwszy pocałunek. Jak Twoje największe wartości kulturalne. Kocham Cię!

Nie spodziewałem się mimo wszystko po ojcu takiego świństwa.

Jestem pewny, że jutro usłyszę od Władka i Rysia porządne kazanie. Bo przyrzekłem im, że będę Stefie „zalewał” pospółu z nimi, że będę się starał doprowadzić ja do wściekłości. A tymczasem stało się inaczej. No, mój Boże, cóż ja winien, że mam takie miękkie^[8] serce?

Przyjechała, jak zapowiedziała. O wpół do trzeciej. Tylko te buty to był taki prosty wybieg dla Rysia. Właściwie to przyjechała specjalnie dla mnie. Świat się przewraca. Dziewczyny przyjeżdżają na randki. Odmieniają się role.

A potem dużo spacerowaliśmy. Na mrozie. Na zimnie. Tam i z powrotem ciemnymi ulicami, leśnymi alejami...

Wyróżnałem jej „kazanko”. Wszystko to, co ją obciążało w oczach innych i moich, wylało się w mojej filipinie. Gadałem coś okrągłą godzinę. Więc, iż głównie nie podoba mi się, że urządza sobie tyle różnych spacerów z różnymi chłopcami.

Zaraz, zaraz. Po co ja to piszę? Jestem babą i koniec. Nie mam odwagi zerwać oficjalnie, powiedzieć jej po chamsku coś „na rozum”. Wzrusza mnie jej płacz (dziś znowu), miesza mnie jej wzrok. A zresztą, zresztą choćbym nawet zerwał, to nie uwolnię siebie od niej. Powiedziała mi przecież, że już beze mnie nie może urządzić sobie życia. Że choćbym z nią zerwał, to ona nie da mi spokoju. I na stepie ze mną musi być. A Stefa jest szalona, co pomyśli, to wykona.

Władek jej powiedział dużo brzydkich słów. Ryś też cośkolwiek. A ja stchórzyłem. Więc Władek zadał jej najpierw pytanie:

– Po coś tu przyjechała?

Myślała, że to żarty. Chwyliła go pod ramię i również żartowała. – Odczep się ode mnie – usłyszała zamiast odpowiedzi.

Obraziła się. Było mi jej żal. Władek postąpił nieładnie. Nie po rycersku. Oczywiście, że ona się śmieje z mojej rycerskości względem kobiet.

Potem spacerowaliśmy sami. Władek poszedł na lekcję śpiewu, a Ryś uczyć się. Stefa prędko przeszła w serdeczny ton. Postanowiła więc również unikać męskiego towarzystwa. W myśl moich życzeń.

W stosunku do Władka kierowała się przyjaźnią. A zawiedziona przyjaźń bardziej szarpie sercem niż zawiedziona miłość. Dlatego też potem na środku nawet jasnej ulicy nastawiła mi usta do pocałunku. I przytuliła się do mnie całym ciałem. Niby z powodu mrozu.

Biedna Stefa. Biedna? No chyba. Bo tzw. lepsza sfera^[9] traktuje ją z ironią, a tzw. niższa^[10] po chamsku, po świńsku, hipermaterialnie.

A ja w niej jednak widzę zadatek na dobrą kobietę. Chociaż mnie się nie uda doprowadzić jej do właściwej mety. Brak mi do tego sił. I energii. Przed kobietą staję się niestety małym, nieporadnym dzieckiem. [A tym bardziej jeśli zachodzi wypadek miłości.

Odprowadziłem, a raczej „odwiozłem” ją do Jaśkowic. Tam w wyjątkowo opalanej poczekalni dworcowej spotkałem się z matką. Była u Marty, która się dziś wyprowadziła do Jaśkowic. Mąż jej dostał na mieszkanie budkę kolejową.

Dla tych, którzy mnie widzieli spacerować ze Stefą^[11] „pod ramię”, musiałem stanowić niewątpliwą sensację. Przecież jestem znany jako antyfeminista. Żadna z czerwieńskich dziewcząt nie może się pochwalić faktem towarzystwa tego „filozofa w okularach, podobnego do Żydka” – jak o mnie mówią.

Czwartek, 26 listopada.

Wspomniała mi się jakaś sentencja i chcę ją od razu zapisać. Szukam więc ołówka. Nie mogę znaleźć. Krzyczę więc na brata^[12]:

– Ołówek! Prędko!

Matka się dziwi. Nie wiem, czemu.

– Ołówek! – krzyczę dalej.

Wreszcie matka mówi powoli, jak ze sceny:

– Chyba zgłupiał. Przecież ma ołówek za uchem. A szuka go gdzieś po całym pokoju.

To samo zdarza się z okularami, które mam spokojnie... na oczach.

Jestem więc cholernie roztargniony. Od wczoraj mi się to roztargnienie wzmogło. Podniosło się jak gorączka. Rozsadza mnie po prostu. Płata mi ustalony porządek rzeczy. Czytam Balzaka, a myślę o Stefie. Kleję książki, a myślę o Balzaku. Piszę dzienniczek, a zaśmiewam się w dalszym ciągu z dopiero co czytanego Nowakowskiego. I w ogóle.

Jak to powiedział Remarque? Acha!... „Miłość – to pochodnia, padająca w otchłań i wskazująca istotną jej głębię”.

Więc cóż więcej chcę?...

Piątek, 27 listopada.

Matka pojechała do Marty. Ojciec śpi. Przykazano mi, abym pilnował brata. Więc, żeby nie jadł chleba, bo go ledwo starczy ojcu na szychę. Żeby nie wychodził na dwór, żebym go napędzał do książki, żeby, żeby...

Dwa razy odpędziłem go od kredensu. Ale potem musiałem gdzieś wyjść. Przysłuchiwał się radośnie, gdy ubierałem płaszcz. Powoli wkładałem rękawice na palce. Wystawiałem jego smarkatą cierpliwość na wielką próbę.

Wreszcie wychodzę:

– A nie ruszaj się chleba – rzucam.

Wiem, że było to powiedziane zupełnie niepotrzebnie. I głupio. Głód nie liczy się z niczym. Głód jest marszałkiem, który przywieździe armię zmysłów przez największe przeszkody. Wiem, że od razu po moim wyjściu brat rzucił się na chleb i na garnek z omastą. Nie dziwię się temu.

Lekcja – –

Pod oknem szeroki, wielki stół. Przy nim – ja. I on – mój uczeń. Patrzę się na dwór. Białe pudry śniegu niebieszczyje^[13]. Powleka banalne dachy stłoczonych byle jak domów cienką warstwą. Jak prześcieradło. W dali drga złota kula jakiejś latarni kolejowej.

Zmuszam się do powtarzania różnych gramatycznych reguł. Jak śmiesznie i nieżywotnie brzmią celowniki niektórych słów. Więc: domowi, miastu, lasowi. Gdyby nie powaga korepetytora, mógłbym wybuchnąć śmiechem. Takie te słowa nienaturalne, takie komiczne, gdy są skrupowane jakąś tam regułą jak kaftanem bezpieczeństwa. Nie ma w nich życia. Wolę je więc omijać. Zamiast: „przypatrzyć się domowi”, wolę mówić: „oglądam dom”. Zresztą jak kto woli. Ale mnie doprawdy cała gramatyka wydaje się śmieszna. Tak samo

jakieś tam prawo z kodeksu, jakiś paragraf z prawa orzekający, że za to a za to grozi kara tyłu lat więzienia. Po co takie banały pisać? Powiedzieć oskarżonemu najpierw czy jest człowiekiem (tak!). Jeżeli potwierdzi, powiedzieć mu dalej:

– Więc proszę przytknąć rękę pod serce. Czujecie pan co?

Jeżeli jest człowiekiem, ale tym prawdziwym człowiekiem, stworzonym na obraz i podobieństwo Boga, sam uzna wielkość swej winy i wymierzy sobie sam odpowiednią karę. Po co się pytać papierów? Są uczucia, których żaden papier nie wyrazi, a tym bardziej nie skłasyfikuje. Są uczucia, które przelatują w sercu jak wiosenna burza i te trzeba nam podsłuchać. One nam dają odpowiedź na wiele kwestii. Bo pochodzą z głębi serca. A w głębi serca nie jest absolutyzm anarchii, nie wszystko jest dozwolone. Tam musi być wzorowy porządek, bo przecież wszystko, co na świecie jest pięknego, podyktowało i stworzyło serce.

Lekcja zresztą kończy się szybko. Jem doskonały chleb z masłem, popijam przesłodzone kakao. Gadam trochę. Czasem o Reinhardzie, który w Poznaniu jest czołowym endekiem. Ostatnio biją Żydów. Dobrze.

Za oknem przewala się gęsta ciecz ciemności. Jest to prawie namacalne. Za chwilę wsiąknę w czarny kwadrat podwórza, a potem ciemnym, wąskim tunelem wypłynę na ośnieżony i jasny chodnik.

Idę sobie spokojnie ulicą. Powoli. Nagle jakiś bąk przelatuje koło mnie i krzyczy mi w oczy:

– Żyd!...

Niby jestem podobny do Żyda. I za to tym bardziej Żydów nie nawidzę.

Mam wrażenie, że Władek tak samo nie chce się ze mną spotkać, jak ja z nim. Z powodu środy, naturalnie. Wiem, że otrzymam od niego burę. A on uważa mnie za „babę” i dlatego woli mnie omijać. Przedtem spotykaliśmy się co dzień.

Pisze wreszcie od dłuższego czasu. Skończyłem już pierwszy rozdział. Zaczyna się w Afryce, w Liberii. Tytuł: *Murzyn z saksofonem*. Piszę to dla pieniędzy. Egzotyka i sensacja są dziś poszukiwane. Oczywiście, że temat mój tak przeprowadzę przez dżunglę sensacji, że będzie zdrowy i nieskazony. Zahaczam tu o stosunek Murzynów do białych. Gromię białych. Bronię Murzynów. Ostatecznie *finale* będzie miało w sobie coś bolesnego, coś skarzającego jak wysokie tony niskiego saksofonu, na którym Murzyn wygrywa afrykańskie, płacziwe melodie na scenach Paryża i Warszawy.

Sobota, 28 listopada.

Życie człowieka, ustawiczna pogoń za szczęściem, to jest nic innego jak wieczna tęsknota za Bogiem. Bo wszyscy tam dążymy. On jest naszym celem. To nie ulega najmniejszej wątpliwości. Odzwierciedleniem tej tęsknoty powinna być poezja. I wtedy dopiero można ją nazwać dobrą. U nas nie wszyscy poeci wzniesli się na te wyżyny pobratymstwa z Bogiem. Mickiewicz i Słowacki. Pierwszy jest prostodusznym, szczerym człowiekiem. Drugi – wytwornym dworakiem. Ale obaj w swych utworach tęsknią. Najmocniej tęsknią za Bogiem, który jest im bliski. Bo im bardziej się za czymś tęskni, tym bliższym się to „coś” staje. Te więc narody, które są naprawdę religijne, najwięcej geniuszów mogą wydać. I odwrotnie. – Te narody, które mają boskich geniuszów, stają się również bardziej religijne. Jest to stała zależność religii z poezją i odwrotnie. Zresztą powiedział Maeterlinck, że religie są poetycznym odzwierciedleniem temperamentów.

Poezja, w której się ta tęsknota za Bogiem nie objawia, nie jest prawdziwą poezją. Jest to jedynie namiastka ślepych wrażeń i uczuć.

Ojciec majstruje coś z zegarami. Lampę powiesił nad stołem. W reszcie pokoju jest ciemność. Co chwilę jakoś zegar terkoce nachalnie jak karabin maszynowy. Stół jest zawalony złotym balastem kółek, kółczek, sprężyn, zębatych wałków i różnych innych części zegarowych.

Ojciec naturalnie nie domyśla się, o czym ja codziennie piszę w tym zeszytcie. Dawniej znał każdy mój list, każdy papierek. Wszystko gdzie wynalazł, choćbym to nie wiem gdzie ukrył. Teraz jest mu obojętne co piszę i jakie otrzymuję listy. Skoro przychodzi – oddaje mi je zalepione. Też korespondencyjna jest otwarta i jestem pewny, że w nią jeszcze nie wglądał (i bardzo dobrze). Tak jest więc i z dzienniczkiem. Na pewno nawet nie wie, że ja coś podobnego prowadzę. – Ma na oczach moje stare okulary. Przykłada zegarek do ucha i wsłuchuje się weń jak w bicie serca. Porusza w nim kółeczka długim, cienkim drutem.

Światło kwitnie nisko nad stołem. Co chwilę ojciec prostuje się i uderza czołem w żarówkę. Wtedy po kątach kołyszą się długie cienie.

Przed chwilą myślałem o poezji. Teraz mógłbym myśleć o czymś krańcowo innym.

Jakoś przepływa dzień. Powoli jak barka naładowana (– mną? –).

Wieczorem nie chce mi się oczyścić butów. Chociaż właściwie wiem, że jutro będę miał na to bardzo mało czasu, bo do kościoła idę już w pół do siódmej.

Niedziela, 29 listopada.

Cały dzień siedzę nad Murzynem. Nie chce mi się odejść od tej roboty. Taka to miła praca.

A poza tym Władek wpadł do mnie z Rysiem. Pojechali do Rybnika. Może do kina.

I... jestem wściekły. Ale czemu, tego już naprawdę nie mogę powiedzieć.

Poniedziałek, 30 listopada.

Nawiało góry śniegu. Dachy zostały nim przysypane jak mchem. Od drzwi sieni trzeba mi było brodzić w białej zawierusze. Dalej już wydeptali chodnik robotnicy wracający z pracy.

W kościele zaczęły się rotaty.

(Muszę notować sucho. Nie umiem w tej chwili się skupić. Zresztą najlepiej w ogóle dać całemu dzienniczekowi spokój).

Ogłaszam przerwę. Na jak długo? Nie wiem. Może na kilka godzin, a może na kilka dni. Zaczekam, aż przejdzie mi ta chandra, która właściwie nie jest chandrą. Zaczekam, aż się jakiś dzień do mnie uśmiechnie. Bo tak – cóż pisać? Dni są takie same aż do szaleństwa. Godziny przechodzą koło mnie ciężko jak bryki pełne cegły. Pax!...

Czas stąpa za mną jak detektyw. Pax!... Matka wyjątkowo nie narzeka, choć ojciec przyniósł jej 80 zł. Chwała Bogu!... I w ogóle. Chce mi się jeść. Chciałbym coś czytać, a jutro dopiero urzędują w bibliotece. I w ogóle, w ogóle...

Rija nie pisuje. Nie wiem czemu. A tak pragnę jej listu. Nie wiem, jak to milczenie zrozumieć. Chyba ja je przerwę i napiszę do niej jak zwykle pierwszy. Tak. Tak będzie najlepiej. Jeszcze dziś zasiądę do listu.

Wiatr za oknem rozsiewa śnieg jak ziarno. W pokoju potykają się zegary. Potykają się o swoje własne ja (filozoficzne powiedzenie!... owszem!...). Babcia patrzy się w okno.

Siedzę pochylony nad zeszytem i piszę.

Piszę – – –

Najlepiej wziąć urlop od dzienniczka, od filozofii, od Murzyna i w ogóle od wszystkiego. Najlepiej poczekać, aż przyjdzie ktoś nieznamy, ośnieżony, z daleka, wieczorem, cicho, cicho jak zjawą, zapuka, wejdzie, otrzepie z ośnieżonego kołnierza śnieg i powie serdecznie:

– Pax. Jestem twój przyjaciel.

Przyjaciel. Ciężkostrawne pojęcie. Kto jest moim przyjacielem? Wiatr, śnieg, dzienniczek (głupio powiedziane), ktoś czy ja? Ja – chyba.

Kończę. Mógłbym się jeszcze zdobyć na głupsze myśli, ale te, które wypisałem, wystarczą do stwierdzenia nienormalnego mego stanu, stanu... no? stanu – cywilnego. (Oho! umiem być nawet dowcipny)!!!

– Śmieszne to. Prawda, panie Szewczyk?

– No chyba, chyba panie wariat!

W południe powypisywałem głupstwa, które teraz powinienem właściwie odwołać. Bo przecież zawsze będę miał coś do pisania w dzienniczku mimo pozornie jednakowe oblicze dni. Przecież mimo wszystko każdy dzień ma inne podejście do życia tym ciekawsze, im bliżej ku śmierci. A codziennie zbliżam się do niej o jeden dzień. No, to jest chyba jasne. Jak słońce.

Ojciec oddał matce cały zarobek. Mimo to jednak przyszedł wieczorem pijany jak bela. Może mu dali koledzy popić. A może jednak zdobył skądś parę złotych.

Więc przyszedł pijany. A wtedy dopiero zaczyna być natrętny jak bąk. Wszystko go interesuje, wszystko chce wiedzieć. O byle jaką drobnostkę od razu się złości. A najgorsze to, że nie chce iść do łóżka. W ten sposób, niewyspany, nie chce również potem iść na nocną szychę. Ostatecznie jednak uchwyciliśmy go z matką za ręce, choć się mocno opierał i wydierał, zaprowadziliśmy go do łóżka. Ledwo się ułożył – zaczął chrapać. Tylko znowu trudno go będzie „zbudzić”, jak mówi matka, do pracy.

Przeczytałem w gazecie, że na wczorajszym posiedzeniu Akademii Literatury w Katowicach, najzdolniejsi w jęz. polskim uczniowie szkół średnich zostali obdarowani książkami z dedykacjami. – Zatargał mną żal. I zazdrość. Jaka szkoda, że już nie jestem właściwym uczniem gimnazjum. Na pewno byłbym celujący w jęz. polskim. Musiałbym takim być. Do tego pchałaby mnie moja ambicja. Przecież w szóstej klasie będąc, miałem opinie celującego w całym gimnazjum. I chyba Pyzik tylko był ode mnie cośkolwiek lepszy.

Och, kochani pisarze. Gdybyście mnie znali, gdybyście byli świadomymi moich myśli, bez wszelkich korowodów przysłałibyście mi książki swoje, których nie mogę nabyć, a o których po nocach marzę. Małeńkie robaczki literek uśmiechnęłyby się do mnie. Duże, żywe rozdziały odegrałyby przede mną swoje najlepsze przedstawienie. O, ja je umiem rozumieć.

Żal mi, że nie mogłem być w szeregu tych paru szczęśliwców. A za służylem na to rzetelnie.

Wtorek, 1 grudnia.

Naturalnie, spodziewałem się. P. Szymurowa ani nie wspomniała o zapłacie. A przecież dzisiaj pierwszego. Należy uregulować wszystkie długi. Chyba powinna się wstydić. Ma kamienicę potężną, lokatorów huk, a te parę marnych groszy mi nie może dać. Przecież je zarobiłem. Uczciwie. Ileż to zdrowia popsułem sobie na tych paru lekcjach. A pracę swoją ocenię bardzo tanio. Najwyżej siedemdziesiąt groszy od lekcji. Bogiem się świadczę, mniej nie mogę. Dawniej brałem więcej.

No, ale nie uprzedzajmy wypadków. Zobaczymy, czy da w piętek. Przecież nie będę udzielał lekcji za smaczne kanapki i za przesłodzone kakao.

Uporałem się z lekcją wyjątkowo szybko. Zresztą nie mógłbym być dziś wysiedzieć długo w parnej kuchni. Po prostu nie miałem ochoty. Chłopiec również nie miał ochoty. Wolał czytać *Krzyżaków*.

W domu jest wariacka atmosfera. Ojciec na pół pijany. Śmieje się z byle czego. Wczoraj był wściekły – dziś w najlepszym, pijackim humorze. Matka zadąsana jak czapla. Babcia to płacze to śmieje się – na przemian – raz to, raz tamto – dla odmiany. Ona to umie. Szczególnie płakać umie na zamówienie. Śmieszna jest, gdy płacząc jej wykrzywi twarz, a brzuch znacznie prędko, równo podnosić się jak w oddechu. Całość podobna do domu wariatów. Jak zwykle po pierwszym.

Nie wiem, co robić. Mówiłem dziś z Krupą. Prosił mnie, bym koniecznie napisał program Mikołajowy i żebym sam był Mikołajem. Że niby mam odpowiednią wymowę, a dalej inteligencję. Naczelnik

gminy powiedział mu zresztą, żeby miał na pewno Mikołaja inteligentnego! Trzeba więc będzie napisać coś. Może jutro, w każdym razie dziś już nie...

Dzisiaj flaczki. Tzn. flaczki nie w znaczeniu kulinarnym, ale w znaczeniu anatomicznym. Bolał mnie flaczki. Może to trochę za ordynarnie powiedziane, trudno. Bolał mnie flaki i koniec. Wytrząsałem je sobie na spacerze po okropnie zablokowanych ulicach (śnieg stał i utworzył ogromne bajora! psiakrew!). Mam smak na coś specyficznie dobrego. Od tego smaku dostałem skrętu kiszek. Czyli flaków. Nie wiem, co tam będzie na kolację. Może kielbasa! Przecież jest po pierwszym. Zdaje się, że coś w tym sensie będzie, bo matka daje bratu jakieś konspiracyjne rozkazy. Słyszysz słowo: „masarz” i... hip! hip! hurra!!! – kielbasa. Świetnie!

Piękną, poetyczną komedią jest *Ptak Szaniawskiego*^[14]. Czy to jest w ogóle komedia? Chyba sam motyw wypuszczenia złocistego ptaka w powietrze po to, żeby było wesoło, żeby było ładnie, ma w sobie coś śmiesznego. Ale tenże sam motyw jest równocześnie tak poetyczny, że zapominamy o jego śmieszności i jesteśmy tak samo względem niego poważni jak student. Złocisty ptak... Burmistrzanka go nie widziała. Ale wystarczył jej zapal studenta, jego silna wiara i prawdziwa radość z wykonanego marzenia, aby stwierdzić, że ptak był rzeczywiście złocisty, śliczny!... Akcja miłosna między studentem jest przeprowadzona subtelnie, poetycznie, a nawet trochę naiwnie. Ale miło. On, nieprawy syn chińskiego konsula, zapatrzony w swoje marzenie, w swojego złocistego ptaka. To jest cel jego tymczasowego życia. Wypuścić ptaka wysoko, ku błękitnemu niebu, żeby było wesoło!... Ona, córka burmistrza, sentymalna, chce w nim widzieć bohatera. Ostatecznie widzi w nim kochane dziecko, któremu się oddaje.

Burmistrz i wszyscy radni widzą w zapowiedzi coś niezwykłego, jakieś hasło, coś co ma obalić ustalony porządek rzeczy. A tymczasem jest zwykły, złocisty ptak. Prawda, że każdy go widział inaczej. Każdy go widział cudowniejszym. Ale zawsze to tylko ptak. Taki sobie ptak z piórami i ogonem.

Marysia – zawsze czekająca, sekretarz – tęskniący do szerokiego świata, wynalazca – któremu nawet jego śpiew łabędzi się nie udał – wszystko to są figury żywe, plastyczne, śliczne, poetyczne.

Atmosfera staroswieckości rozplywa się w atmosferze młodości i życia. A wszystko zrobił ptak, niesłychane w tym mieście zjawisko, którego student wypuścił tylko po to, żeby było wesoło i ładnie. I rzeczywiście. W starym, zacołanym mieście staje się ładnie i wesoło. Ptak przewrócił ludziom w głowie. Cieszą się. Iluminują domy. Bo wiedzą, jaką wartość ma wesołość. I radość. Pokazał im to widok złocistego ptaka, wypuszczonego z dachu pokoiku studenta ku błękitnym lazurom po to, żeby było wesoło, ładnie!...

Przypisy

- [1] Chodzi zapewne o restauratora Ignacego Budnego.
- [2] *Manewry jesienne* (węg. *Tatárjárás*; niem. *Herbstmanöver*) – operetka Imre Kálmána w trzech aktach z 1907 roku.
- [3] Stefa była postrzegana jako zalotna dziewczyna, o którą starało się wielu chłopców, stąd i ta informacja/plotka.
- [4] Marinus (Rinus) van der Lubbe (1909–1934) – holenderski komunista, oskarżony i stracony za podpalenie gmachu Reichstagu w 1933.
- [5] (gwar.) zacząć się
- [6] (gwar.) gbur, człowiek źle wychowany.
- [7] (gwar.) rozdrażniło
- [8] Skreślono: *czule dla kobiet*, napisano: *miękkie*.
- [9] Skreślono: *lepsza sfera*, napisano: *koleżanki nauczycielki*.
- [10] Skreślono *nizsza* [sfera], napisano: *nauczyciele*.
- [11] (gwar.) 'widzieli, jak spacerowałem'
- [12] Chodzi o brata Jerzego.
- [13] (neolog.) 'nabiera niebieskiego koloru.'
- [14] *Ptak* Jerzego Szaniawskiego, sztuka z 1923 roku, która miała swoją premierę w warszawskim Teatrze Rozmaitości, w reżyserii Juliusza Osterwy. Drukiem rzecz ukazała się w książce *Adwokat i różę. Żeglarz. Ptak*. Dom Książki Polskiej, Warszawa 1930. Najpewniej z tego wydania Szewczyk znał tę sztukę.

Fanta

Justynie Kulikowskiej

Wczoraj, gdy wyszli goście,
przez chwilę chyba spałem,
lecz obudziłem się, była druga
czterdzieści, co za moment,
by żyć! Czułem się zarówno
pijany, jak i niedopity, zajrzałem
do lodówki, cały alkohol zszedł.
Wysłuchałem trzech sonat
w trzech różnych wykonaniach,
wziąłem tabletkę, lecz sen
wciąż nie nadchodził, zaczęło się
robić strasznie, sonaty już
przestały mnie interesować,
usiadłem na krawędzi łóżka,
Irina zaraz przyszła i siadła
koło mnie, jak sfinks. Była to
piękna chwila, lecz po jakimś czasie
zbrzydła. Wstałem, ubrałem się
i wyszedłem na miasto, do sklepu.
Noc była piękna, ciepła, nie wiem,
czy księżycowa, bo szedłem
w świetle latarni, cisza panowała
absolutna, w niej tylko dźwięk
moich kroków, mojego oddechu.
Szedłem ulicą Bytomską,
pierwszy raz w życiu, przed oczami
wyrastały mi coraz to nowe wille,
z jednej dolatywała cicha
piosenka w nieznanym języku.
Wreszcie sklep, w nim dwaj chłopcy
mówiący w nieznanym języku,
sprzedawca ich nie rozumiał, trochę
trwało, nim zgromadzili swój zakup.
Obaj byli wysocy, bardzo ładni,
wybierali te wina, te papierosy,
a ja patrzyłem sobie na nich,
na ich nogi, ramiona, włosy
pod pachami, miałem ich
na wyciągnięcie ręki, czemu ta
ręka się nie poruszy, by ich dotknąć?
Ich język był na pewno jednym
z języków bałkańskich, ale go
nie znałem, przyszło mi tylko
do głowy słowo *fanta*, dwaj
chłopcy, definicja. Kupili, poszli,
ten ładniejszy uśmiechnął się do mnie.
Teraz usiądą gdzieś i będą pić
to wino, palić te papierosy, gadać
w swoim nieznanym języku.

Warszawa, 20.8.22

Mobbing w Zachęcie

1.
Ładujcie kolubrynę, arkabuzerowie, hej!
Lancknechty ciągną! — baczę. Mam już

wszystko, czego bym chciał, ale mam to
źle. Miejsce komórek wypieranych zajmują

komórki nowe, niezbyt mi znane, niby
do wykorzystania, choć chyba przecież

może nie chceć mi się korzystać, stoją
więc beczynnie, wręcz leżą. Gdzie mi

do faktów, do ich przyczyn? Wisiały już
nad nami nie takie landary. Lot musi

skończyć się płaczem, wypłakaniem
Marioli na zewnątrz. Bez małpich min,

z całą powagą ratujemy rusałkę
z objęć szalonej (*resp.* spalonej) krowy.
2.
Sytuacja bankietu, sytuacja koncertu.
Wychodzę z tych sytuacji i wchodzę
do siebie, jak chciałem, całym ciałem.

Warszawa, 18.9.22



Pagody realizmu

Ameryka jest krewetką podaną z rutynowym ogonkiem, las nie odmawia środka, choć go nie posiada. Ameryko, dałaś wszystko poetom śląskim i słoweńskim, a teraz już się zamknij na takich, jak my, imigrantów. Niewiele będę jęczał, bo muszę bić się dalej, i oczywiście przegram, jako Polak w amerykańskim filmie, który się nawet nie bije, bo jest na trzecim planie, podaje krewetki żonie bohatera, który jest może Włochem, ale na pewno nie Serbem ani też Japończykiem, gdyż wtedy byłaby to komedia, a chodzi nam tu przecież o mięsne, krwiste kino akcji, gdzie główna postać może być nawet Afroamerykaninem, o ile urodził się w Saint Louis, Missouri albo w Hailey, Idaho. Zmieńmy więc temat i rzućmy się na głęboką wodę realizmu, wsiądźmy do samochodu, pojedźmy nim na zakupy, do pracy, gdzie czeka nas zwiędły sukces w postaci odłożenia krewetek na półkę.

Warszawa, 3.10.22

Po wieczorku

wychodzę
tam czekają
po drodze
rękopisy
Białoszewskiego
wypada
pochylić się
spojrzeć
ale tam
czekają
więc idę
tam znów
rękopisy
Białoszewskiego
omiątam
wzrokiem
wychodzę
a tam
tylko Ania
i Wojtek

Warszawa, 13.10.22

Gradobicie

Powiedzmy sobie: człowiek składa się ze zbyt wielu elementów, by był do przyjęcia w całości. Zatrzymane kadry,

wysokie stanowiska, słabe wyrwy i mocne uzupełnienia. Nic spoza.

Pozostaje wapienna konstrukcja, rok w rok malejąca. Uderza w nią każdy pająk i mrok

wali w nią jak oszalały, a ona się trzyma, trochę śmierdzi, ale się trzyma.

Warszawa, 17.11.22

Kim była Zofia Kossak? Czy na tak postawione pytanie próbuje odpowiedzieć książka autorstwa prof. Zdzisławy Mokranowskiej i prof. Krystyny Heskiej-Kwaśniewicz?

To nie jest proste pytanie, ponieważ nie da się na nie odpowiedzieć jednym zdaniem. Pisarka była osobowością artystyczną, z rodziny utalentowanej malarsko od pokoleń; miała zdolności plastyczne i literackie; wybrała pisanie i już to budzi zastanowienie. Sama w sobie była postacią bardzo złożoną, także przez ilość ról życiowych: córka, matka, żona, publicystka, działaczka Polski Podziemnej, gdy trzeba było farmerka wyrzucająca obornik. W dwudziestoleciu mistrzyni narciarska – druga po Goetlu wśród pisarzy! Nie da się na to odpowiedzieć jednym zdaniem, trzeba o tym napisać artykuł lub przynajmniej książkę (śmiech), bo każda próba zaszufladkowania tej postaci spłyci ją. Właśnie z prof. Mokranowską taką książkę napisaliśmy. Za jakiś czas oceni ją Czytelnik.

Co w takim razie czytelnik znajdzie w książce?

W tej książce czytelnik znajdzie rozwinięcie przede wszystkim tytułu *Moje książki i ja to jedno*, książka nie ma kształtu klasycznej monografii i podziału na życie (bios) i twórczość (logos), lecz życie wpisane jest w twórczość lub odwrotnie – twórczość wpisana w życie w zależności od tego, co pisarka przeżywała, jakie wyzwania rzucała jej i Polsce historia, jakie koleje losu przechodziła jej rodzina. To wszystko ewokuje kolejne wyzwania i tematy. Na szczęście z Miłką świetnie się dopełnialiśmy i zachowując zasadę dwugłosu właściwie mówiliśmy jednym głosem. Czytelnik znajdzie więc rozważania o ideach, ludziach, tematach, gatunkach związanych z wyzwaniami, jakie niosło bogate życie Zofii Kossak.

Pamięta Pani, kiedy z osobą (twórczością) Zofii Kossak spotkała się po raz pierwszy? Jakie były to książki? Jakie wrażenia z ich lektury?

Tak, oczywiście. To była *Laska Jakubowa*. Dwa duże reportaże harcerskie: *Szukajcie przyjaciół* i *Laska Jakubowa* wydane wtedy w jednym tomie przez Wydawnictwo „Śląsk” w Katowicach. Moja młodość harcerska spowiodowała, że od razu po tę książkę sięgnęłam, ponieważ tam były korzenie, harcerstwo dwudziestolecia, skauting, Baden Powell. Wówczas o tym nie wolno było mówić, ponieważ Związek Harcerstwa Polskiego zaraz po wojnie wystąpił ze Światowego Biura Skautingu (brzydki Zachód i zgnily kapitalizm). Zofia Kossak była głęboko związana z harcerstwem, ponieważ uznawała je za najlepszy system wychowawczy, w Górkach Wielkich były szkoły instruktorskie. Przede wszystkim męska, prowadzona przez Aleksandra Kamiń-



Prof. Krystyna Heska-Kwaśniewicz

Moje książki i ja to jedno

O Zofii Kossak z prof. KRYSZTYNĄ HESKĄ-KWAŚNIEWICZ
rozmawia PIOTR SKOWRONEK

skiego, z którym pisarkę połączyła głęboka przyjaźń i żeńska prowadzona na Buczu, przez Józefinę Łapińską („żelazna, mądra baba” – pisała o niej w liście do bratowej Marychny). Książka w PRL-u ukazała się tylko jeden raz! Był do niej znakomity wstęp Józefa Kreta. Miałam 17 lat, przeczytałam *Laskę Jakubową* i pomyślałam, że chciałabym kiedyś do tego napisać wstęp. A w ogóle jesz-

cze nie wiedziałam (śmiech) o tym, jak się buduje reportaż i tak naprawdę niewiele o Zofii Kossak. Dosłownie parę tytułów, o których się w domu rodzinnym mówiło i niewiele o samym harcerstwie, bo to były moje początki. Ale „słowo”, tam było tak urzekające, „słowo”, z tym hasłem: „Szukajcie przyjaciół!”, które prowadzi harcerzy przez życie. Tak to się wszystko zaczęło. Zreali-

zowałam moje marzenie dopiero w 2020 roku, kiedy Servire Veritati Instytut Edukacji Narodowej w Lublinie wznowił reportaże harcerskie i zwrócił się do mnie z prośbą o napisanie nie wstępu, a posłowania. Warto marzyć w młodości, bo to potem, w późniejszym okresie życia, może się spełnić. Moją pierwszą lekturą nie była więc ani powieść historyczna, ani wspomnieniowa *Pożoga*, ale po prostu dobre reportaże harcerskie, pisane z pasją, zawierające wielką pochwałę „spotkania” tak, jak to potem opisywał ks. prof. Józef Tischner twierdząc, że: „Kto nie spotkał na swojej drodze człowieka, ten, można powiedzieć, zmarnował swoje życie”. Zofia Kossak pisze w harcerskich reportażach, jak życia nie marnować, jak się spotykać z ludźmi ponad wszelkimi podziałami, bo one tak naprawdę nie mają żadnego znaczenia – kolor skóry czy narodowość, nawet wyznanie. Liczy się człowiek, który spotyka się z drugim człowiekiem. I tak się kiedyś spotkaliśmy, Panie Piotrze i to jest piękne! Urzekł mnie też *Topsy i Lupus*, bo psy są od urodzenia obecne w moim życiu. Proszę sobie wyobrazić, że gdy kupiłam na Allegro tę książkę (wyd. 1959), znalazłam w niej dedykację „Przyjacielowi zwierząt – Zofia Kossak (psia matka) 14/15 – 59”. To było przesłanie dla mnie!

Czyli od początku Zofia Kossak ścisnęła Panią za serce i wpłynęła na Pani życie?

Może nie tak emocjonalnie. Po prostu znalazłam coś, czego zawsze szukałam i potem zaczęłam szukać dalej. Wciąż szukam i stale coś w jej książkach odnajduję.

Jednak zrodziło się z tego prawdziwe zainteresowanie, skoro poświęciła pani Profesor twórczości autor-ki Pożogi kilkanaście artykułów naukowych i popularnonaukowych?

Tak, w jakimś momencie, pisarka już nie żyła, pojechałam do Górek Wielkich i spotkałam się z panem majorem Szatkowskim. Serce mi się ścisnęło, gdy zobaczyłam jego biedną samotność. Była zima, wysoki śnieg. Stary człowiek, źle widzący. Sam walczący o zachowanie spuścizny żony i stworzenie w Górkach muzeum. Z pobliskiego prewentyrium przynieśli mu jakieś wodniste fłaczki na obiad, które zjadłam tylko z grzeczności razem z nim. Wtedy pokazał mi dużo rękopisów, m.in. *Dziedzictwa*. To było bardzo interesujące i tak powstał reportaż

ogłoszony wiele lat temu w „Poglądach”. Były też letnie wizyty, kiedy poznałam bratową pisarki „Marychnę” Kossakową. Wtedy uszczęśliwiony pan major chciał naszej córce podarować kolejne szczeniaki jamników! Zostało wielkie ciepło tamtych wspomnień, ale potem jakoś szło życie różnymi kolejami. Najpierw było pisanie o Przybosiu, potem o Morcinku, o Aleksandrze Kamińskim. Oprócz oczywiście takich rzeczy, które wyskakiwały zniemacka, które chciałam napisać; albo coś sama odkryłam, znalazłam. Zresztą nigdy nie pisałam „na awans”, a zawsze dlatego, że mnie coś zainteresowało. Kiedyś ceniony przeze mnie prof. Zbigniew Jerzy Nowak, po-

grode ministra za ten doktorat. To jest dopiero satysfakcja dla promotora! Była jeszcze znakomita praca doktorska, niestety niewydana, Beaty Gdak o okupacyjnej twórczości Zofii Kossak. Mądra, głęboka. Beata jeździła do Warszawy i w archiwach sprawdzała dokumenty. Właściwie przez te doktorantki, przez dyskusję na naszych seminariach, pan też kiedyś w nich uczestniczył, coraz bardziej we mnie ta postać rosła. Czasem chciało mi się powiedzieć: „Nie, ja tego nie rozumiem!”, ale to zarazem prowokowało mnie do wejścia jeszcze głębiej. Wiele zawdzięczam moim doktorantom. Zawsze to mówię.

Pisarka mocno zaangażowała się w sprawy społeczne i narodowe. Współtworzyła „Żegotę”, działała w Polsce Walczącej. Wspierała pionierów walczących. Cechuje ją postawa miłości ojczyzny i gorliwej katoliczki. Zawsze była gorąca, nigdy letnia. Nawet motto na jej nagrobku brzmi: „Mowa wasza niech będzie: tak-tak nie-nie”. Dlaczego?

Myszę, że ważny tutaj był temperament Kossakowski, bo wszystko mamy w genach. Zwrócili zresztą na to uwagę i Aleksander Kamiński i Jan Izidor Sztudynger, że właśnie ten temperament, nieustannie, pchał ją w świat, wskazywał wyzwania. Przecież kochała Górkę, to było jej miejsce na ziemi i stałe tam wracała. Jednak zanim zaczęła pisać *Krzyżowców* pojechała do Ziemi Świętej. Cztery lata chyba zbierała materiały, konfrontując wszystko w źródłach i na miejscu. Jest taka bardzo dobra jej książka, mało znana *Pątniczym szlakiem*. Opisuje w niej pielgrzymkę narodową do Ziemi Świętej. Jadą tam wybitni kapłani, działacze śląscy, jedzie i Zofia Kos-



Zofia Kossak, Dania 1946

wiedział „Pani Krystyno, pisarstwo Zofii Kossak, to jest wielka satysfakcja czytelnicza”! I tak było; przeczytana *Błogosławiona wina* zaskoczyła oksymoronem w tytule, *Złota Wolność* urzekła opisem Dunajca i moich Pienin, *Nieznany kraj* uczył Śląska. Jednak poważnie drgnęło, gdy przyszła do mnie śliczna młoda dziewczyna ze łzami w oczach, Cieszynianka, pytając, czy mogłaby u mnie pisać doktorat o Zofii Kossak. Napisała i dziś jest wybitną biografką pisarki. A potem była doskonała praca doktorska Barbary Pytlos o recepcji twórczości Zofii Kossak. Prof. Jacek Kolbuszewski, który był recenzentem, postulował na-

sak. Sprawdza punkt po punkcie. Kiedy się potem przeczyta książki z cyklu *Krzyżowców* to spotyka się obserwacje, które poczyniła w czasie tej pielgrzymki (potwierdza to w pełni prof. Mokranowska). Widać, jak te miejsca zaczynają funkcjonować w książkach, jak zaczynają pulsować nowym życiem. Gorąca? No tak. Była bardzo wierna swoim wyborom, swoim wartościom. Pierwszą była Polska, bo należała do osób chorych na Polskę tak, jak zresztą wielu wybitnych polskich pisarzy. A osobą wierzącą była z głęboko przemyślanego wyboru. W Szwajcarii wysłuchała wykładu francuskiego filozofa i teologa Georga Goyau i wtedy zro-

zumiała, że chrześcijaństwo to nie jest tylko nabożeństwo majowe, kolorowe pisaniki i sianko w żłobku. Tam ją – jak sama napisała – owionął potężny duch chrześcijaństwa rzeczywistego, przeżywanego w sposób poważny i zobowiązujący. Dostrzegła w tym najwspanialszy system filozoficzny i wybrawszy raz była wierna tak, jak w wierszu *Jeździec* Jerzego Lieberta: „Uczyniwszy na wieki wybór, w każdej chwili wybierać muszę”.

Czasem jej wybory były heroiczne. Często o tym mówię, bo to jest coś, co mi trudno pojąć. Władysław Bartoszewski pisze, że poszukiwana przez gestapo pojechała do Krakowa po żydowskie dziecko, którym się nie miał kto opiekować. Przywiozła je do Warszawy, do jakiejś umówionej wcześniej rodziny. Dobrze. Ale ona angażowała w to swoje dzieci i patrzyła ze ściśniętym sercem jak wędrują: i córka Anna, i syn Witold ulicami Warszawy prowadząc ślaniających się ze strachu Żydów. Pisała jak się bała, ale gdzie indziej napisała też, że nie wolno oszczędzać własnych dzieci, gdy inne matki przeżywają codziennie największą tragedię. To jest pewna bezkompromisowość, która wstrząsa. Sama jestem matką i nie naraziłabym tak swoich dzieci, raczej siebie.

Odwaga granicząca z brawurą?

Nie, to jest najwyższy heroizm! Taki o jakim pisał ks. Konstanty Michalski, heroiczne męstwo, „które działa w człowieku w związku z wyższym bożym motorem, gdzie nie ma już żadnej bojaźni, jakkolwiek wielkim byłoby niebezpieczeństwo i nawet wobec niebezpieczeństwa, daje ono człowiekowi odwagę do działania”.

Który potem dał także o sobie znać w obozie koncentracyjnym, czy na Pawiaku?

Tak. Zresztą prof. Bartoszewski, którego dobrze znałam i mam jego listy, pisze o tym, że ona specjalnie nie była dobrą konspiratorką. Miała złe ufarbowane włosy. W czasie okupacji wszyscy wyglądali biednie, ale ona wyglądała wręcz nędznie. Powiedziała do Jana Karskiego – powtarzam to za Bartoszewskim – że, jeśli Pan Bóg będzie chciał ją ocalić, to ocali, a jeśli nie, to ją gestapo złapie. Taka filozofia towarzyszyła jej przez całą okupację. Przeszła Pawiak i Montelupich, Auschwitz i ze wszystkiego wyszła była cała. Sama twierdziła, że obóz koncentracyjny był dla niej najwyższą próbą człowieczeństwa.

Niezachwiana wiara w Opatrzność?

Taka jak w *Przymierzu*, najwyższej próby. Jaką spotykamy u Abrahama w powieści Zofii Kossak.

Wśród różnorodnych tematów podejmowanych w jej twórczości, jednym z najważniejszych była historia. Jako

pisarka pretenduje do miana twórczyni nowoczesnej powieści historycznej? Czy rzeczywiście tak jest?

Teodor Parnicki twierdzi, że tak, prof. Mokranowska – też. Odświeżyła ten gatunek, który wydawałoby się, że u Sienkiewicza już osiągnął swoje apogeum. O tym samym pisał też profesor Janusz Tazbir, uważając, że ona po prostu znakomicie pisała i to są książki, które są czytelniczko wciąż atrakcyjne. Zofia Kossak bardzo zwracała uwagę na nowoczesną historiografię. Do każdej książki tworzyła tysiące notatek. Jej mąż, major Szatkowski, był historykiem wojskowości i on przygotowywał szkice, mapy, opracowywał strategię bitew. Bardzo dobrze to widać w *Trembowli*, ale jeszcze lepiej w *Krzyżowcach* i w *Złotej Wolności*. Bitwa pod Kircholmem, jakże ona jest rozpisana na działania. Pisarka zresztą tego nie skrywała i nieustannie mówiła, ile zawdzięcza mężowi. Szatkowski był człowiekiem świetnie wykształconym. Znał biegle niemiecki, biegle czytał mapy, a to jest duża umiejętność. Wydaje się, że to jest napisane tak płynnie, lekko, a pracę pisarską poprzedzały całe lata studiów, prób, szkiców. Na tę nowoczesną historiografię, tak bardzo widoczną w książkach Zofii Kossak, zwracali uwagę historycy, ale przede wszystkim Teodor Parnicki. Ona starała się nie tyle opisać fakty, ile je objaśnić dzięki tym dokumentom, które wcześniej знаła. Parnicki jednak oprócz komplementów zarzucał jej zbytnią typizację postaci. To nie jest do końca prawda, bo przy kolejnej lekturze odkrywa się w nich głębie. Chciałabym tylko zwrócić uwagę na postać Anny Doroty Chrzanowskiej z *Trembowli*. Dzisiaj byśmy ją nazwali feministką, ale jakaż to była mądra feministka. Podporządkowała sobie mężczyzn nie dlatego, że im groziła, że się jej bali. Dlatego, że świetnie pannaowała nad wszystkim. Była genialnym strategiem, więc ją szanowali, uznawali jej wyższość. Jest to zresztą postać historyczna, bo faktycznie taka była, ale ile ona ma życia w tej powieści. Nikt na to nie zwrócił uwagi. Dopiero przy kolejnej lekturze widać, jak kreowane postaci wyłaniają się z tł. W *Złotej wolności* tak dzieje się z ks. Piotrem Skargą. Zofia Kossak była nim zafascynowana i wielokrotnie o nim pisała i tam już przydała mu splendoru świętości, ale też jest w nim wiele barw i życia. W tym były jej własne emocje.

Czyli bohaterowie powieści historycznych po prostu żyją. To ludzie z krwi i kości.

Tak żyją, aczkolwiek jest tych postaci bardzo dużo i niektóre są istotnie schematyczne, bo to nie jest powieść psychologiczna, która zresztą też ma bohatera głównego i postaci poboczne, słabiej zarysowane. Pisarka stara się pokazać sposób myślenia tamtych ludzi i to jest niezmiernie interesujące.

Zofia Kossak a Śląsk to sprawa osobna. Osiadła w Górkach Wielkich w 1922 roku i zakochała się w Beskidach. Jak autorka *Nieznanego kraju* kochała go?

Urzekł ją przede wszystkim krajobraz. Zofia Kossak głosiła, i tu się zupełnie z nią zgadzam, że najpiękniejszym pejzażem są góry. Beskidy mają swój swoisty urok. „Beskidy to barok” – pisał Morcinek. Mienią się barwami o różnych porach roku, ich łagodne kopuły mają gęstą zieleń, ale jesienią są czerwone i złote. Ona miała oko malarzki kolorystki i łagodność tych wzgórz, wtopionych w błękit nieba, ją urzekła. Dalej urzekli pisarkę ludzie. Na Śląsku Cieszyńskim był zawsze bardzo wysoki poziom cywilizacji oraz dobra organizacja życia, to był wymarzony teren dla dobrej pracy społecznej – jak pisał Józef Kret. Pisarka zaczęła się z tymi ludźmi spotykać. Oni ją prowadzili w głąb historii, zaczęła też wędrować po górach, ale i zwiedzać miasta, oglądać miejsca. Zaczęła też przyjeżdżać do Katowic i zobaczyła uderzający kontrast między krajobrazem naturalnym, górskim a industrialnym. Zobaczyła straszliwą opozycję tych przestrzeni, która sama w sobie prowokowała do wzięcia za pióro. Urzekła ją też uparta, nieustępliwa polskość, która tu, nawet w Bytomiu wyłaniała się spod pokostu niemieckości. To było wyzwanie dla pisarza. Ciekawe, że o Śląsku, choć tyle minęło dziesiątków lat, wciąż się mówi „nieznany kraj” i wciąż, ktoś go odkrywa w kolejnej powieści, książce, zbiorze esejów. Mnie to bardzo bawi, kiedy czytam te różne nowe rzeczy, bo w nich wszędzie widzę kalki Zofii Kossak. Może dlatego, że przyjechała z Kresów, synonimu bogactwa i urody pejzażu, i zobaczyła tutaj drugie Kresy, też bogate w piękny pejzaż i wartościowych, nieustępliwych ludzi – poczuła się tutaj dobrze. Ale równocześnie to było zobowiązanie wobec miejsca, które ją przyjęło. W Górkach bardzo dobrze Kossaków przyjęto. To nie była „wielka pani”, to była nasza pani! Kiedy po latach dr Edyta Korepta pojechała ze studentami z Cieszyna do Górek i zaprowadziła ich na cmentarz, podeszła do nich jakaś starsza kobieta i spytała się: „Czy wy wiecie, kto to był? To była nasza pani. Bez niej nie było wesela ani pogrzebu. Bez niej się krowa w Górkach nie ocielila”. Powstała więc taka piękna wspólnota.

Bardzo lubię *Nieznany kraj* i bardzo boleję nad tym, że przez cały czas powojenny do chwili obecnej wznawia się go w postaci okrojonej przez cenzurę. W książce naszej w aneksie zamieściliśmy jedno opowiadanie *Wigilia w Nawsiu*, będące najpiękniejszą pochwałą polskich protestantów. Jest to opowieść o wigilii u pastora Michejdy, na którą przyjeżdża Józef Piłsudski z legionistami. To takie piękne opowiadanie, zresztą oparte na mało zna-



Z. Kossak i G. Morcinek, 1932, wł. rodziny Rosset

nych faktach! Kiedy wznawiano w PAX-się *Nieznany kraj* (pisałam tam po słowie), prosiłam by podstawą edycji uczynić wydanie przedwojenne, bez ingerencji cenzury (nie wolno było pisać o polskim Zaolziu), nie udało się. Ciągłe czytamy książki Zofii Kossak w wersji okrojonej przez cenzurę, jak bardzo okaleczony jest *Rok polski!* Tylko Lublin wydał *Topsego i Lupusa* w postaci przedwojennej. Ale wracając do *Nieznanego kraju*. To jest książka, która w jakiś sposób powinna wejść do kanonu. Jeżeli nie w całości, to należałoby dać młodzieży do przeczytania jeden tekst *Pod Górą Świętej Anny* albo *Nad Odrą w 1921 roku*. Nikt tak nie opisał powstań śląskich, ich dramatyzmu i piękna. Może nie ma takiej świadomości?

Miłość do Śląska widać także w literaturze dla dzieci i młodzieży zwłaszcza w Przygodach Kacperka górceckiego skrzata.

Tak, tu pisarka „zbudowała” kolejny dom, który miał niezwykłą aurę. Całe życie domy budowała i traciła, ale w Górkach było jej najlepiej. Gdy się wchodzi do górceckiego Muzeum jest taki napis, głoszący, że w „Górkach zawsze czuliśmy się najlepiej i nie wrócilibyśmy do Polski z emigracji, gdyby nie Górki”. Każdy człowiek musi mieć swoje miejsce na ziemi. Zofia Kossak je znalazła tam i gdziekolwiek by nie była, to marzyła o Górkach i myślała o powrocie do nich. *Przygody Kacperka* są jedną z najpiękniejszych polskich baśni. Jej akcję umieściła pisarka właśnie w Górkach. Jest cudowna baśniowa aura; wszystkie kryteria formalne baśni zostały spełnione ale akcja osadzona jest w realnym krajobrazie, sprawdzalnym. Punkty topograficzne wszystkie można znaleźć na mapie. Dwa opozycyjne wzgórza: Bucze jasne, zielone i Rzubrzyczka lub Zebrydzka, ciemna powulkaniczna góra, są

dokładnie takie, jak zostały opisane, nawet czas im nie zaszkodził.

Jan Paweł II nazwał Zofię Kossak „świetną pisarką”, ale jej twórczość wydaje się obecnie nieco zapomniana. IPN postanowił we współpracy z TVP nakręcić film o jej życiu i twórczości. Jest Pani jego naukową konsultantką. To kolejny kamień milowy w przywracaniu pamięci o niej?

Może najpierw o Janie Pawle II. Wszystko to wiem od pani Wandy Półtawskiej, która Papieżowi te książki przywoziła i czytała. Gdy on pisał jakieś ważne dokumenty, to lubił, jak ktoś mu czytał jednocześnie. Miał taką podzielność uwagi. Jakies trzy tygodnie temu zadzwoniła do mnie Pani Wanda, przed którą czuję ogromny respekt i powiedziała tak: „...i niech pani pisze o tej Zofii Kossak. Niech pani pisze, bo papież ją cenil bardzo wysoko”. Mój Boże, jak się dostaje takie polecenie, to trzeba siadać i pisać. W czasach PRL-u tylko Pax mógł wznawiać Zofię Kossak i były to wznowienia powiedzmy sobie dość siermiężne. W tej chwili nie wpadałabym tutaj w czarnowidztwo. Są dwa duże wydawnictwa, które cały czas wydają książki tej pisarki. To Instytut Wydawniczy PAX w Warszawie i Instytut Edukacji Narodowej w Lublinie. Ten drugi wydaje je na bardzo wysokim poziomie edytorskim, z komentarzami, z posłowiem, pisanym zresztą przez różne osoby, nie tylko przeze mnie. Chętnie wchodzę na vortal *Lubimy czytać* i sprawdzam opinie czytelników. Jakie tam się toczą dyskusje o książkach Zofii Kossak? Jakich ma zwolenników, ale i przeciwników. Powiedzmy sobie, że ci drudzy mnie bardziej interesują, bo oni piszą, co im się nie podoba, dlaczego ich irytuje, co w niej ich drażni. Jeżeli coś drażni, to znaczy, że jest żywe. Pisarz nieobecny w odbiorze czytelnicy nie drażni. Jest tam dużo różnych opinii i one świadczą o tym, że pi-

sarka żyje. Oczywiście to jest twórczość dla ludzi bardziej czytelnicy wyrobionych. To nie jest lekka i łatwa literatura. Urzeka ludzi, którzy jednak mają pewne doświadczenie i obycie czytelnicy i lubią głębszą lekturę, ale tak wcale nie jest źle, żeby Zofia Kossak była nieczytana i zapomniana.

A sam film czy prace nad nim już trwają?

Prace nad filmem zostały ukończone. Drugą konsultantką jest doktor Joanna Jurgała-Jureczka, najlepsza biografka Zofii Kossak, jaką można by sobie było wymarzyć. To jest film pana redaktora Adama Kraśnickiego. Długo nad tym pracował i, prawdę mówiąc, byłam zaskoczona, jak jest świetnie przygotowany. Spędziliśmy jakiś upojny dzień w ruinach dworu Kossaków, w piekielnym zimnie i widziałam tę czułość operatora i zasłuchany zespół. Redaktor był tak przygotowany, jakby miał prowadzić ambitny wykład o Zofii Kossak. W tej chwili jest czas ciszy i trwają prace nad ostateczną wersją. Słyszałam od pani Diany Pieczonki-Giec, kierownika Muzeum w Górkach Wielkich, że w grudniu ma być premiera. Opowiadała mi pani Anna Fenby-Taylor, wnuczka pisarki, że kiedy reżyser przyjechał do Anglii pokazać Trossell posadził ją na klifie, wiatr wiał od oceanu (wnuczka jest bardzo podobna do babci), włosy jej poleciały zasłaniając trochę twarz, a on ją filmował. I tak nakręcono relację o angielskim wygnaniu. Pan Kraśnicki z kolei mówił, jak z drona robiono zdjęcie Wieprza rzeki, która się tragicznie zapisała w życiu pisarki, bo w niej utopił się przecież jej brat Witold. Jaka to jest rzeka niesamowita. Jak widać jej zakola, jeszcze takie dzikie, nieuregulowane. To jest krajobraz z pierwszych lat życia Zofii Kossak, która na świat przyszła w Kośminie, który jej pokazał niszczącą siłę przyrody. Sama jestem bardzo ciekawa tego filmu. Reżyser zaprosił do niego dużo ważnych osób. Na pewno będzie to dobry film, bo trochę znam warsztat pana Kraśnickiego.

A kiedy odbędzie się premiera książki *Moje książki i ja to jedno*? W którym wydawnictwie się ona ukáže?

Książkę, jak wspominałam, pisałyśmy wspólnie z profesorem Zdzisławą Mokranowską, specjalistką od powieści historycznej i wybitną sienkiewiczologką, zresztą sekretarzem Towarzystwa Sienkiewiczowskiego, w pośpiechu, do serii *Literatura i pamięć*, która ma przywrócić pisarzy źle czytanych. Serią kierują profesorowie: Krzysztof Dybciak i Janusz S. Gruchała z Uniwersytetu Jagiellońskiego, a kiedy się ukáže – to słodka tajemnica wydawcy.

Gratuluję książki i bardzo serdecznie dziękuję za rozmowę.

Ja również bardzo dziękuję.

Uśmiech (2)

RYSZARD TWARDOŃ

Do każdej i skądkolwiek by przybył, uśmiech wyłania się powoli, z ociąganiem rozprzestrzeniając się po twarzy. Rozpływając się po jej powierzchniach, nieodwołalnie zagarnia całe oblicze, rozjaśniając oczne zakola i cienie, skórne zakamarki i zmarszczki, odbarwienia i pogrubienia. Uśmiech, który przenika twarz i panuje nad nią przez chwilę, wyłania się jak żywioł z nieprzekładalnej na szerokość i długość cielesnej głębi, która zachowując swoją intencjonalną nieokreśloność, ukazuje światu swoją wykraczającą poza ontologię ekspresywną wartość. Pozostaje tam na tyle długo, aż dobędzie pewność, że został dostrzeżony. Opuszczając kąćki ust i dookolnie zmarszczki oka zabiera z tajemniczą nieodwołalnością i powolnością powody swego zjawienia.

Uśmiech jako zewnętrżność jawiącej się twarzy, zjawiając się, emanuje jakiś nieredukowalny do przedmiotu poznania aksjologiczno-afektywny naddatek, sens; jakies trudne do zakwestionowania, pomimo doświadczanej niejasności jego intencji i semantycznej niewyrazistości przesłanie mające metafizyczny sens. Czy jest to wrodzone pragnienie bycia zauważonym i zaakceptowanym? Myślę, że w głównej części – co poświadczyają badania nauki – tak. Ja-uśmiechnięte, zjawiając się, powiada światu: oto jestem, które pociąga za sobą wyrażające się w pierwszej osobie i niekwestionowalne w swym bytowym zjawieniu konkretne osobowe Ja. Ja-uśmiechnięte nie oznacza (w źródłowym znaczeniu) jednej z postaci podzielonego na przedmiot i podmiot bycia, zwykłej pojedynczości odmiany bytu, lecz całą jego treść – pobudzoną do życia wewnętrzność, która jako pierwsza, choć jeszcze bez właściwego rodzaju i rozumienia – wkracza w świat jako łągodność uniesionych do góry kąćków ust i roziskrzonych oczu, poszukujących ciepła, światła i wsparcia. Mamy do czynienia z ustanawianiem podmiotowej ekspresji z pomocą instancji uśmiechania, poprzez którą Ja konkretnie się światu odsłania i przedstawia. Ekspresja ta jeszcze nie nazywa i nie wyznacza referencji, choć wskazuje już na samo ludzkie bycie jako bytujące-w-sytuacji-świata. Trzeba rzecz, że w swej ekspresywniej istocie uśmiech jest sposobem naszego źródłowego przejawiania się i pierwszego artykułowania: jest samouzewnętrżniającą się ekspresywnością mojego ciała, pojmowaną jako nieodróżnicowana bytowa całość, której świadomość jest intencjonalnością oderwaną jeszcze od poznającej świadomości. Parafrazując myśl Levinasa, możemy powiedzieć, że prostota i obnażenie oraz ekspresywne umiarkowanie, z jaką ujawnia się światu uśmiech, jest podniosłością, jaką ży-

jemy, gdy przychodzimy na świat, podniosłością bycia, która znajduje się ponad samym byciem, w jakim pogrążone są już rzeczy i egzystencja, świadomość, prawo i obowiązek. To, co przebija się na czoło w uśmiechu i co trzeba podkreślić, to rysująca się w nim możliwość wyjścia Ja z neutralności bytu i wyrażanie się w świecie jako rozpodgodzona, wyrażająca zdystansowanie do siebie i świata mimiczna ekspresja.

Uśmiech początkowo znaczy samego siebie, a nie przedstawienie czegoś. W uśmiechu najpierw jestem bezwarunkowo sam dla siebie i bezpieczny. Jestem sobą i jestem uśmiechem. Uśmiechając się, może jestem sam i daleki od świata i ludzi, ale nie jestem już samotny. W świecie utkanym z sieci relacji, gdzie wszystko jest w jakimś stosunku przyporządkowane do czegoś innego, jest uprzedmiotowione i wymienne, właśnie ekspresja uśmiechu wymyka się w sobie tylko znany sposób przed ostatecznym podporządkowaniem i przedmiotowym zagarnięciem przez poznającą myśl. To ona odsłania – z jednej strony – pierwszą wrażliwość i wyrażeniową wcieloną strukturę, która ukazuje człowiecze istnienie jeszcze przed mową i poznaniem, przed podziałem na Ja i nie-Ja, przed określeniem zewnętrznej rzeczywistości jako obszaru miłości czy niebezpieczeństwa. Inauguracja uśmiechu w twarzy, niepoddanego jeszcze interaktywnej regulacji czy wolicjonalnej i społecznej kontroli, to wypogodzone, wnoszące w interpersonalną przestrzeń mimiczne odprężenie, jest somatyczną mocą rozbrajającą napięcie pierwotnych instynktów: ekspresywną siłą rozjaśniającą czy też rozbrajającą grozę tego, co nieznanne i dalekie – oznaką braku zagrożenia i wrogości. Uśmiech świadczy o odprężeniu, którego zwierzę nigdy nie może osiągnąć z powodu braku dystansu w stosunku do własnego ciała i odpowiedniego dla siebie środowiska. Wbrew powszechnemu mniemaniu, że jedynie płacz i śmiech oczyszczają duszę i przynoszą życiu spokój i utracone człowieczeństwo człowiekowi, powiem, że to właśnie uśmiech przywdziewa dopiero twarz człowiekowi. Wyrażając ją we właściwym, pozytywnym sensie, wprowadza w intercielesną komunikację ciepło, empatię i społecznie pożądane afekty. Twarz, która tak rzadko może być sobą. Tak często zniekształcana przez uczucie agresji, skrajne emocje niezgody i wzdargy. Nadużywana jako instrument panowa-

nia bądź okazywania niezadowolenia stawała się dość często w życiu wcielonych istot czystym nośnikiem negatywności *par excellence*.

Uśmiechanie się – bezwarunkowy sposób naszego przejawiania i uzewnętrżniania – uobecnia na pierwszym planie samoistną i nieredukowalną szczegółowość wcielonego bytu, którego mowa świadczy o nim samym i jest dowodem realności jego bycia. Będąc bliżej ducha przeżycia niż poznania, pozostaje w swej najgłębszej warstwie emanacją sekretnego przejawiania, które żarzy się w przecuciach i przedsiönku podmiotowego wyrażania, nie zapalając się jeszcze „zimnym” i „zracjonalizowanym” płomieniem przedmiotowego istnienia. Albo inaczej to jeszcze ujmując, człowiek uśmiechając się manifestuje coś, co przejawiając się jako odprężone rozluźnienie mimicznych mięśni twarzy, z ustanowionym tam dyskretnym, odróżniającym nas już od zwierząt dystansem, uwalnia po raz pierwszy ludzkie bycie od przymusu bepośredniej reakcji, od sytuacyjnych więzi i kontekstowych przynależności i uzależnień. Ponad reprezentującą pierwotne cele i pragnienia życia wewnętrznością, unosi się uśmiech, który chwytą i używa życie dla siebie, jeszcze przed językiem, poznaniem i racjonalnym przedstawianiem.

Ekspresywnym podmiotem uśmiech staje się w tej perspektywie nie dlatego, że rozumie to bycie i że stawia przed nami rozwiązane zagadki bytu, ale dlatego, że radując się sobą w używaniu życia, przeraża się w beztróską mimiczną grę własną twarzą, której przedmiotem jest – jak to zauważył Plessner – jej wyraz. Uśmiechanie się, gdy intencja rozpływa się jeszcze w samym mimicznym wrażliwości, zaprasza do dawania i odbierania radości mimiką twarzy. Jest wyrazem twarzy, który będąc sam dla siebie, jako zmysłowa aktywność przezwycięża troskę o własne bycie. Albowiem Ja uśmiechające nie tyle i nie tylko żyje z potrzeby reagowania na bodźce i pełnienia roli środka komunikacji, lecz żyjąc, przekształca siebie w beztróską grę min – radującą się lub zasmucającą, powściągniętą lub drwiącą z czegoś – w czystą ekspresję. Parafrazując Levinasa, dopowiemy myśl: ludzie żyją z uśmiechu, który daje im siłę i urodę, pozycję i przetrwanie, ale i żyją uśmiechem, który radującą bądź zasmucającą wypełnia ich egzystencje i plany, sytuacje i losy. Uśmiech, odwiedzając ludzką twarz, zawiera od

zawsze ów element pierwszej gry, która uśmiechającą zachęca do grania uśmiechem, do gry min, przemieniającej niemą łączność tego, co przeżywane i odczuwane „w sobie” w żywy i dający światu do myślenia wyrażeniowy i interaktywny byt.

Ekspresja uśmiechu nie czerpie zatem swojego sensu z filozofii celów i praktyk, które wyznacza i realizuje rozumowa egzystencja. W swej najgłębszej warstwie jest emanacją sekretnego wyrażenia, gdzie treść przedstawieniowa rozpuszcza się jeszcze w treści uczuciowej. Ja, żyjąc uśmiechem i prowokując bliskość, przyjmując zainteresowanie i bliskość ciepła, odsłania ludzkie istnienie i życie, gdzie stosunek uśmiechu do siebie i własnych warunków, czyli twarzy, znaczeń i otoczenia staje się jego naturalnym i niezależnym pokarmem i własną treścią, środkiem i wyrazem, przyczyną zastępującą skutek i skutek wstępujący w roli przyczyny. Można rzec, że każde zaistnienie uśmiechu, każda w nim myśl kryje w sobie to źródłowe rozkoszowanie się życia sobą samym – jako spontaniczną grą i wyrazem twarzy nieredukowanym do przedstawiających się tam treści. Ja, grając własną twarzą i wyrastając z mimicznej komunikacyjnej zależności, staje się niezależnością używania własnych min ponad powołującą go do życia sytuacją, z jej prawami i konsekwencjami. Idea rozkoszowania się, przedstawiająca wedle Levinasa istotę zmysłowości, nie wiąże uśmiechu ze światem epistemologii, obowiązku, pracy i troski w Heideggerowskim sensie, lecz ze światem przeżywania, zabawy i cieszenia się życiem. To w uśmiechu odsłania się światu wyrażeniowa w istotowym sensie struktura, która jest „nieredukowalnym do myśli przekształceniem przedstawienia w życie, obróceniem przedstawiającej subiektywności w ekspresywne bycie, które wspiera się na tych przedstawieniach i które nimi żyje” – posługując

się trafnym sformułowaniem Levinasa (Levinas 1998, s. 141–142).

Z drugiej strony – ekspresja uśmiechu obrazuje przejście człowieka od podmiotowej zjawiskowości do upodmiotowionej cielesności, od egzystencji wewnętrznej do zewnętrzności uśmiechniętej twarzy. Uśmiech łączy w sobie zoomorficzne i antropocentryczne cechy; jest formą różnicującą się świadomości, która opuszczając świat zwierzęcy, wkracza w świat kultury i społecznej symboliki i moralności, uosabiającej sobą w zewnętrzności jawiącej się twarzy – społecznie akceptowalne przejawy, zachowania i cechy. Albo powiedzmy tak: uśmiechanie ustanawia ludzkie bycie w jego źródle, czyli bycie takie, które już „świeci” i które – „bardziej jako jasność niż jako wyrazistość” (Levinas 1998, s. 101) – zawiera w sobie pobudzony wewnętrznym odruchem pierwiastek transcendentalnego przekraczania Ja w stronę świata i drugiego, któremu trudno się – jakby powiedział Levinas – oprzeć. Jest uśmiech źródłową możliwością i pierwszym ustosunkowaniem się osobowego Ja, które umożliwia zakomunikowanie pozytywnej bądź negatywnej, dyskretnej bądź niedyskretnej, szlachetnej bądź brutalnej, ludzkiej bądź zwierzęcej strony egzystencji. W swoim zaistnieniu jako jedno z najwcześniejszych mimicznych wydarzeń twarzy – wskazuje na podstawową ludzką możliwość, wyrażającą się w pierwszym – mimowolnie czy własnowolnie – ekspresywnym „strojeniu” min, dających sobą już coś – choć jeszcze powściągliwe i delikatnie – do zrozumienia. Można więc zdefiniować uśmiechanie się jako ekspresywny byt rozdzielający się w samym sercu ucieleśnionej egzystencji. Rozdzielenie to, mając charakter kolisty, sprawdza zawsze ekspresję uśmiechu na powrót do samej siebie. Bo nie uśmiecham się inaczej, jak od razu znajdując się w samym źródle odorzającego i zagarniającego mnie odzwajemnienia

uśmiechających się twarzy. U podstaw tych słów leży przekonanie, że uśmiechanie się ma charakter interaktywny, co oznacza, że nie jest „właściwością” jednej osoby, lecz (co najmniej) dwóch osób. Jest wytworem relacji i więzi międzyludzkich, nie zaś efektem zachowania poszczególnych jednostek. (Patterson 2016, s. 152).

Z badań nad uśmiechem okazało się, że uśmiechanie się jest tym najprostszym, ale i najefektywniejszym sposobem na tworzenie międzyludzkich relacji i zadowalających więzi, jakie posiada wcielone życie. Wedle niektórych badaczy (Fridlund) uśmiechanie się odzwierciedla nie tylko uczucia radości czy gniewu, lecz wyraża wolę nawiązania stosunku czy gotowość do współdziałania. Uśmiech komunikuje jakąś intencję, która wydaje się być istotniejsza, ponieważ dotyczy spraw związanych z egzystencjalnym przetrwaniem, z właściwym zrozumieniem czyjejś wypowiedzi czy odpowiednim reagowaniem na – patrząc z perspektywy ewolucji – postępowania innych ludzi. Uśmiech w swym niewymuszonym i umiarkowanym wyrażaniu przychylności i spontaniczności staje się centrum podmiotowych działań, które uczą – choć bezgłośnie i delikatnie – ostrożności, wzywają do zabawy, zapraszają do negocjacji, jak i zaakceptowania innego. Choć uśmiech wyewoluował, jak się uważa, z mimiki naczelnych, u których przeważnie wyrażał znak uległości i podporządkowania, dopiero homo sapiens podzielił i przekształcił tę mimikę w pełnowartościowy emocjonalny przejaw i intencjonalny wyraz. Ujmując sprawę uśmiechu w formułę: w swojej suwerennej i podstawowej formie uśmiechanie jawi się jako ekspresja powściągliwości i wyrazu dyskretnych i stłumionych uczuć. To z niej – podkreślmy – emanuje pełna ciepła gnieźdząca się „w oczach” pierwsza łagodność i życzliwość, która zapraszając „do siebie” inne Ja, czyni to

od zawsze z tym eminentnym dystansem do swojego zaproszenia i otwarcia się na drugiego.

Prawda uśmiechu jest prawdą jego otwartości, spontaniczności oraz autentyczności. Twarz mająca własny uśmiech – to oznacza odnosić się już do świata, w nim się przedstawiać, mieć tam swoje cele, potrzeby i pragnienia, i wcieloną kryjówkę z ciała. Ta możliwość rozładowywania napięć i sygnalizowania przyjaznych zamiarów ukonstytuowała podstawową funkcję uśmiechu, która wskazuje na sam korzeń jego psychologicznej, społecznej oraz ewolucyjnej roli. Specyfika uśmiechu polega na tym, patrząc z perspektywy społecznej historii, że ucieleśnione życie, aby przetrwać, musiało obcować wcześniej z uśmiechniętą twarzą. „Zmarszczenie brwi wyrażające troskę jest uznawane za sygnał czytelny na całym świecie, ale to właśnie uśmiech – pisze Szarota – uważa się za pierwszoplanowy element całego obrazu. Ludzie potrafią rozpoznać uśmiech z odległości dwukrotnie większej niż inne ekspresje mimiczne. Może on wywołać dobry nastrój u osoby, która go widzi, ale także u tej, która się uśmiecha. Co więcej, zazwyczaj darzymy większym zaufaniem ludzi, którzy się uśmiechają, niż ponuraków” (Szarota 2012, s. 23). Pozytywne uczucia wywołują na twarzy uśmiech swobody, życzliwości i zadowolenia, lecz także odwrotnie: uśmiechając się bez szczególnego powodu, aktywizujemy w mózgu „sfery szczęścia” wyzwalające w umyśle nacechowanym emocjonalnym spontanicznym odzwierciedleniem i wzajemnością aprioryczne poczucie dobrośliwości i błogości u siebie i u innych. Wychoząc od łatwości, z jaką możemy wywołać ustępujące napięciu mięśni rozluźnienie twarzy, od wrażenia, jakie pozostawia rozpogodzony wyraz uśmiechu na uśmiechającym i na najbliższym otoczeniu – możemy zaryzykować twierdzenie, że odkryliśmy jedno ze źródeł powstawania uśmiechu, zachodzącego w sprzężeniu zwrotnym pomiędzy otoczeniem i znajdującymi się tam osobami, które stymuluje wytwarzanie hormonów endorfinowych nazywanych popularnie „molekułami emocji”.

Użyję metafory, która pozwoli jeszcze lepiej oddać moją myśl: błogostan, jaki odczuwamy w spotkaniu z uśmiechem drugiego, można przyrównać do sytuacji wokół nocnego, zapraszającego ciepłem do siebie ogniska, przy którego żarze ogrzewamy twarze, obojętnego na pojęcia, podziały narodowe, losy, kolor skóry i religijne różnice. To właśnie spotkanie „wokół” emanującego ciepło i jasność oraz bezpieczeństwo ogniska ujawnia pierwotną umiejętność i wartość uśmiechu odsłaniają-

cego relację pokrewieństwa z wszystkimi żywymi i ucieleśnionymi istotami – poza wszelką biologią i wbrew etnicznej czy gatunkowej logice. Każdorazowo przechodząc przed uśmiechniętym drugim Ja, wygładzamy rysy, „rozjaśniamy” zmarszczki i podnosimy kąciaki ust, prezentując życzliwość i łagodność oraz gotowość do kooperacji. *Mówimy często o zawahaniu się na widok drugiego uśmiechniętego Ja albo o chęci uniknięcia spotkania z nim.* To być może tłumaczy, dlaczego na twarzach spotkanych niespodziewanie i w nieoczekiwanych okolicznościach, np. w lesie, osób pojawia się ten sam odwieczny „uśmiechowy” wyraz twarzy przepraszaający i dopraszający się przyjaznego potraktowania. Kiedy nie jesteśmy zdolni określić intencji uśmiechu „z naprzeciwnika”, przybieramy ów „uprzejmo-ośmielający” (jak to ujął Szarota) uśmiech twarzy, ukradkiem i niezauważalnie przy tym spoglądając i pochylając głowę – jakby w przecuciu zbliżania się wywabczego sacrum i s-pokoju. Twarz rozjaśniona uśmiechem oddaje bezwarunkowo jasność temu, kto ją spotyka. Za jej sprawą rzeczywistość traci na chwilę swoje groźne kontury, niejasność i obojętność. Uśmiechanie się ze skierowanymi ku górze kącikami ust jako automatycznie odwzajemniany ekspresywny wyraz i uczuciowy stan wysyła w dramatycznych i lękowych sytuacjach, podobnie jak u innych naczelnych, „somatyczny znak” z zawartą w nim odwieczną prośbą o akceptację „na poziomie osobistym” (Pease 2011, s. 94.). Zapraszając i przekazując coś sobą, nasz uśmiech mówi zawsze więcej, nie mówiąc tego. Gdy zjawia się przede mną drugi, w uśmiechu, wszystko rozpoczyna się jakby od początku w tajemniczej bezpośredniości i jasności przekazywania światła uśmiechu jednej twarzy przez drugą, co wiąże się z zanikiem tego, co niepokoi i zagraża. Uśmiech okrywając swoje intencje milczeniem już zawsze „zobowiązuje niezobowiązująco” – jak to wyraził Plessner.

Oczywiście spotkanie z innym uśmiechniętym Ja nie gwarantuje automatycznie łagodności, życzliwości i bezinteresowności intersubiektywnego bycia i pokojowego obcowania. Nie obiecuje życia bez gwałtu, niepokoju, nie przynosi bezwarunkowej miłości i bezkonfliktowego świata. Poza tym tylko, że każdorazowe objawienie się uśmiechu w rzeczywistości międzyludzkiego spotkania przywołuje ten pierwotny moment spotkania człowieka z drugim uśmiechniętym człowiekiem, które jest warunkiem możliwości życia w zgodzie, harmonii i pokoju – zaproszeniem do bezwarunkowego czynienia dobra. Idący z uśmiechniętej twarzy nakaz nakazuje nie tylko zaakcep-

townie drugiego jako Innego, ale też „niepozostawianie drugiego – sięgając jeszcze raz do rozmyślań Levinasa – samego nawet w obliczu nieuchronności” (Levinas 1985, s. 50). Konstatywnie mówiąc: **wartość społeczna uśmiechania się jako „naturalnego” budowniczego międzyludzkich więzi i strażnika ludzkich stosunków** tworzy grunt pod człowieczą solidarność, równość i bezinteresowność. **Uśmiechanie się zaliczyć możemy** do najbardziej „dyplomatycznych” min. Gdy uśmiech przerywa potok interaktywnych działań czy słów rozdyktowanych umysłów, czyni to z owym dyskretnym a wysoce cenionym w kołach społeczno-kulturowo-politycznych „grzecznym dystansem” (Plessner 1988, s. 198).

Rzec można, że świat stał się bardziej „ludzkim” m.in. za sprawą uśmiechu – tego pierwszego, rozświetlającego mroki interpersonalności „żywego sensu”, tego magicznego światła, wyzbytego roszczeń i agresji, przekształcającego „współplemieńca w człowieka” (Merleau-Ponty 1999, s. 153), a intersubiektywność w wyzbyte kalkulacji i wywyższania się oraz pozbawione podziałów współbycie. Ekspresja uśmiechu, pełna niezogniskowanej interakcji, wzajemności i niepowtarzalnego ośrodkowego emocjonalnego ciepła i światła, ta podkreślana przez Plessnera transformacja fizjologicznego naturalnego napięcia w stan przeżywanego, dającego do myślenia odczucia, to przeobrażanie się grymasu rezerwy w grymas zabawy, mimicznego dreszczu obawy i lęku w zapraszające do mimicznej gry „uśmiechanie” – wszystko to odsłania źródłowe ustanawianie się niewystarczającej – choć oddzielonej i już potrzebującej – osobowej egzystencji.

Wypogodzona tonacja twarzy i granicząca z nieobecnością emocji ekspresywna powściągliwość uśmiechania się są decydujące. To one wprawiają każdorazowo swą wyszczoną podniosłością spotykające osoby w nastrój chwilowego wewnętrznego spokoju i nieskrępowanego rozluźnienia – w stan niewymuszonej łagodności, pozwalający odwiecznie wcielonemu życiu rozwijać się, nawiązywać pozytywne stosunki, wytworzyć trwałe więzi i regulować bezkonfliktowe relacje. Dzieje się z reguły tak, zanim mimiczny wyraz ten odsłoni się w całej swej przedmiotowości i znaczeniowości, zanim przemieni się w ambiwalentny znak, któremu w swej dwuznaczności przestaje się ufać. To właśnie intencjonalna niepojętość i niewyczerpalność uśmiechu obarcza nas odpowiedzialnością. „Oto jestem” uśmiechu jest pierwszą odpowiedzialnością jednej twarzy wobec drugiej uśmiechniętej twarzy.

Wobec uśmiechającego się człowieka możemy tylko odpowiedzieć uśmiechem. Z reguły. Jeśli uśmiech jest przejawem zmysłowego poruszenia i osobowego dokonania – to uzewnętrznia tylko dystynktywne poruszenie wewnętrzne. A jeśli jest dźwiękiem, to raczej dźwiękiem bezdźwięcznej i stłumionej, ale jaśniejszej samej z siebie somatycznej ekspresji. W chwili, gdy pojawiają się w komunikacji między-ludzkiej wątpliwości i pytania, w momencie, gdy „wokółogniskowa” ludzka solidarność i „uśmiechowa” bezinteresowność, bliskość oraz zaufanie traci na sile i zamienia się w odróżnorodniający dystans i chłód, uśmiechanie się – tracąc swoją odwzajemnioną i bezwarunkową pozytywność – przeobraża się w ekspresję interesowności. Współczesne uśmiechnięte-Ja traktuje świat, rzeczy i innych mniej lub bardziej jako substytuty do użycia i spożycia. „Sycąc się własnym głodem i wzrastając poprzez swoje zaspokojenie” (Levinas) takie Ja powiększa chór wołających za materialnym i mentalnym choć nigdy nasyconym panowaniem i posiadaniem. Potrzeba maksymalnego zaspakajania potrzeb tego post-nowoczesnego Ja, dla którego jedyną prawdziwą wartością jest sama zmiana, doprowadziła do wykreowania nowocześnie odmiany uśmiechu. Ponieważ charakterystyczną cechą współczesnego uśmiechu jest jego samoświadomość, nowa jego ekspresywna i znaczeniowa postać, wyrażająca się uniesioną brzdą, zaciśniętymi wargami i lekko uniesionymi brwiami oraz zmarszczonym czołem, przedstawia typową dla ponowoczesnych dziejów i zawartą tam chęć

otaksowania i liczenia, władania i panowania. Dla „współczesnego uśmiechania”, wręczniętego w produkowanie nie szybko przemijających dóbr i stylów i podtrzymywanie stanu skrajnego niezaspokojonego społecznego pragnienia, by użyć określenia amerykańskiego socjologa i filozofa, Philipa Cushmana, potrzeby są zawsze niezaspokojone, a pragnienia i plany wychyłone są nieustannie w ciągle oddalającą się przyszłość.

Pionierskie badania Halla pokazały przekonująco, że granice nas samych nie zaczynają się i nie kończą na otaczającej nasze ciało skórze. Obrzeża fizycznego ciała pokrywa inna, trudna do określenia, choć „tak samo realna, co (...) fizyczna” (Hall 1987, s. 161) filogenetyczna i pełna emocjonalnych znaczeń granica. Jest to somatyczna przestrzeń o charakterze dynamicznym, generowane przez aparat sensoryczny terytorium, które ustanawia na podstawie zinternalizowanych wrażeń i emocji linię podziału między przestrzenią intymną a nieintymną, indywidualną a publiczną. Autor *Ukrytego wymiaru* wprowadził do nauki o człowieku pojęcia „kurczących i rozszerzających się” somatycznych pól. Zróżnicowane intencjonalnymi dystansami i nastawieniami uczuciowymi wokółcielesne uprzestrzennione „otoczki” posiadają znaczenia konstytuowane przez postrzeganie i doświadczenia: to one są odpowiedzialne nie tylko za wykrystalizowanie się osobniczego zmysłu przestrzennego, lecz także za wy-

kształcenie się u człowieka „poczucia własnego ja”, które stanowi wynik osobistych relacji z ożywionym i nieożywionym otoczeniem. Odkrycia dokonane przez naukowców zgłębiających rozwój filogenetyczny człowieka uwyraźniają egzystencjalną ważność rozciągających się wokół ciała emocjonalnych pól, które stają się w każdym osobniczym życiu przestrzenią miłości bądź przemocy, oddzielenia bądź bliskości, skrępowania albo odprężenia – źródłem psychicznego dobrobytu albo psychicznych cierpień. Albowiem ludzkie indywidua „nie rodzą się wyposażone w obiektywistyczną metafizykę niezależnych od umysłu – jak to wyraził Mark Johnson – przedmiotów. Odwrotnie, uczą się one jej (...) poprzez działanie i cielesne eksperymenty (które wszystkie są formami pierwotnych badań), aby złapać znaczenie tożsamości przedmiotu” (Johnson 2015, s. 67).

Innymi słowy, człowiek, aby przetrwać, wzrastać i rozwijać się, aby otrzymać pożywienie, pielęgnację i uczucia, uwagę i bezpieczeństwo, potrzebuje tej zawartej w uśmiechu formy niewerbalnej komunikacji, która umożliwia i „ułatwia utrzymanie kontaktu z nowymi i prowokującymi bodźcami, a przez to wspomaga rozwój poznawczy i emocjonalny” (Piotr Szarota 2006, s.39). Otwarte przez uśmiech „somatyczne terytorium” prowadzi do zbliżenia i redukcji osobowego oddalenia i dystansu – do zagęszczenia mimicznych struktur pragnieniami i potrzebami, które tutaj tylko mogą znaleźć swoje spełnienie. Ja-cielesne, obdarzone i obdarzające uśmiechem, wkracza w sfer-



rę pierwszego współbicia, przemieniając to bycie w źródło, które za chwilę, ale bez niecierpliwości i konieczności udziału, może stać się wspólną sprawą, migotliwym ogniskiem rozmowy i intersomatycznej nierozzerwalnej więzi.

Uśmiech, zaliczany do gestów wrodzonych (stosują go bowiem osoby głuche i niewidome), będąc ekspresją *sui generis*, pojawił się „na scenie” współczesnego świata pośród całej gamy niewerbalnych oznak i mimicznych sygnałów, wyrażających najgłębsze ludzkie emocje, podmiotowe doświadczenia i zachowania. Uśmiech jako samodzielna i pełnowartościowa dyscyplina i ekspresja przenika zawodowe i prywatne, instytucjonalne i intymne życie. To jego pojawienie się warunkuje w dużej części osobowe powodzenie, pozytywne sukcesy i działania. Przeprowadzone „na uśmiechu” eksperymenty i przywołane przez Szarotę naukowe prace, pokazały, jak skomplikowana w klasyfikacji i odbiorze jest ta mimika; ujawniając jego dynamiczność i dwuznaczność, autor *Psychologii uśmiechu* wykazał, że uśmiech potrafi przyciągnąć uwagę i zachwycić, ale i odepchnąć, wyrazić miłość, ale i stworzyć nie do pokonania bariery i stany agresji. Jego interkulturowe badania ujawniły, że mimika uśmiechu nie zawsze odpowiada przejawiającej się w nim emocji, a emocja tkwiąca u podstaw uśmiechania się nie zawsze pokrywa się z formą wyrazu. Prezentowane w uśmiechu afekty są nie tylko niepodzielne w swej wyrażeniowej naturze, ale również nic ich poznawczo i emocjonalnie nie łączy, gdyż przejawiają się w przeciwnych walencjach. Uśmiech przekazuje nie tylko czarno-białe: pozytywne czy negatywne, lecz także złożone i trudno odróżnialne od siebie, antytetyczne stany psychiczne. Ponadto zauważono, że efekt sprzężenia zwrotnego, czyli zjawisko tzw. „nieliniowej współzależności”, prowadzi w procesie krystalizowania się znaczenia uśmiechu do wzmocnienia odchyżeń i elementów niezwiązanych początkowo z pobudzaną ekspresywną formą. Biorąc pod uwagę zdynamiczowanie i niestabilność przedstawiania emocji uśmiech może przerodzić się – i tak się często dzieje – w swoje zaprzeczenie: z pozytywnej przekształcić się w minę odmalowującą ujemne odczucia, które w grze wyrazów twarzy zdominują początkowy bodziec.

Trzeba – powiadają uczeni „pochyleni nad uśmiechem” – przy jego badaniu uwzględnić nieliniarne, charakterystyczny dla systemów organicznych procesy przyczynowe, które krystalizują różne odczucia oraz niejasne co do sensu i trwania stany emocjonalne i odczuciowe. O jakości i znaczeniu uśmiechu decyduje wiele różno-

rodnych bodźców, a konwencjonalne próby doszukiwania się źródeł w jednej przyczynie, w izolacji od innych somatycznych i psychologicznych czynników, „pozornie” tylko niezwiązanych ze sobą, często stają się po prostu zawodne w określeniu znaczenia uśmiechu. Dopiero cierpliwe i spokojne przyjrzenie się całemu behawiorkalnemu kontekstowi, ujęcie całej, żywej sytuacji, w jakiej występuje uśmiech, uwzględnienie wszystkich sygnałów werbalnych, wizualnych i głosowych, a także czasu jego trwania, pozwoli nam określić prawdziwe intencjonalne przesłania i określić dokładnie jego semantyczne oblicze.

Transformacja ustrojowa i urynkowanie gospodarki oraz przeobrażenia życia społeczno-kulturowego wprowadziły na powrót na twarz uśmiech, ukazujący się do tej pory głównie w kinie i telewizji. Uśmiech zaludnił kafejki i place, zdominował zawody, społeczne funkcje i stanowiska; stał się przedmiotem badań i celem naukowych eksperymentów, projektów i interpretacji. Udział uśmiechu w usługach, handlu i reklamie podwyższył, jak pokazały badania naukowe, gotowość konsumentów do zawierzenia sloganom promowanych produktów głoszonym przez reklamodawców i usługodawców. W tym kontekście zauważmy, że „trenowanie „miłego uśmiechu” stało się nieodzowną częścią szkoleń pracowniczych. Pojawił się ironiczny termin – zauważa Szarota – „zarządzanie kącikami ust”, a syndrom obejmujący szeroki powitalny uśmiech, optymizm, ciągle okazywanie entuzjazmu, symulowanie sympatii i zaangażowania nazwany został stylem Życzeń Miłego Dnia, w skrócie ŻMD – na pamiątkę wygłaszanej na pożegnanie formuły” (Szarota 2006, s. 244).

Obraz unoszącej się nad uśmiechem niechęci, ostrożności i lęku odszedł w dużej mierze w przeszłość. Powiedziało „w dużej mierze”, bo przecież i dzisiaj dla niejednego z nas niewerbalna komunikacja traktowana jest jak rodzaj poznawczej magii i komunikacyjnej „mistyki”. Wiele osób, komunikując się, nadal nie zdaje sobie sprawy, że codziennie sięga po ten mimiczny środek, że rozdaje go na lewo i prawo. Używa uśmiechu bezwiednie i bezmyślnie, nierzadko bez umiaru i pożytku, często dla samej radości używania. Siega po niego, rozsyłając w najbliższym otoczeniu jego tajemniczy blask, aby zaznaczyć swoją pozycję, gotowość do działania czy kompromisu. Jakby w przeczuciu, że korzystniej i bezpieczniej własnej twarzy w towarzystwie tego nieuciążliwego, ale rozjaśniającego niepewne relacje i nieznanne sytuacje somatycznego światła. Przepelnione zadowoleniem i beztro-

ską uśmiechanie się postrzegane jest wśród ludzi – w procesie obserwacji wyrażanych w nim emocji – jako środek poznawczo nieistotny, w akcie odczytywania nastawienia uciążliwy.

Niezależnie od widocznych w dziejach uśmiechu epistemologicznych zawirowań i poznawczych trudności, jawnych przekłamań i przedmiotowego podzielenia, a także definicyjnej nieostrości i terminologicznej inflacyjności (Szarota naliczył 21 uśmiechów, tych typowo „polskich”) jedno zdaje się być pewne: człowiek potrzebuje uśmiechu tak samo, jak myśl potrzebuje języka, aby móc się pojawić i zaistnieć jako wcielone i ekspresyjne w rzeczywistości świata jestestwo. Człowiek, aby być w życiu dobrze rozpoznany i z-rozumiany, oprócz wypowiedzianego słowa, potrzebuje światła własnego, „zanurzonego” w konkretnej przestrzeni, interpersonalnej relacji i historycznym czasie *uśmiechu*, który wraz z narodzinami jego ciała zaistniał i z nim w ostateczności, w jakiś sposób stale się wiąże a, zatoczywszy koło, do niego w ostatniej chwili życia powraca. Uśmiech, przyjmując jako pierwszy do siebie twarz, opuszcza ją jako ostatni. „Pierwszy uśmiech dziecka i ostatni uśmiech umierającego świadczą, jak się wydaje, o tym – powiada Plessner – że ekspresja ta wykracza poza zakres świadomości konstytuującej sens i że leży na granicy świadomego życia”.

„Praca twarzą i ciałem jest kluczowa dla utrzymania płynności społecznej interakcji i integralności – powiada Chris Shiling – ról społecznych” (Shiling 2010, s. 97). „Tylko ten, kto potrafi – twierdzi Plessner – panować nad sobą, może stracić panowanie. W utracie panowania nad sobą objawia się zachowanie dystansu, duchowość. Śmiejąc się lub płacząc, człowiek jest ofiarą swej duchowości, uśmiechając się – daje jej wyraz” (Plessner 1988, s. 204). ■

Wykaz źródeł

E.T. Hall: *Ukryty wymiar*, przeł. T. Hołówka, Warszawa 1978. – M. Johnson, *Znaczenie ciała. Estetyka rozumienia ludzkiego*, przeł. J. Płuciennik. Łódź 2015. – E. Levinas, *Całość i nieskończoność. Esej o zewnętrznosci*, przeł. M. Kowalska, Warszawa 1998. – E. Levinas, *Etyka i Nieskończoność*, przeł. B. Opolska-Kokoszka, Kraków 1985. – M.L. Patterson, *Więcej niż słowa. Niewerbalne wywieranie wpływu*. Sopot 2016. – A. i B. Pease, *Mowa ciała*, przeł. J. Grabek. Poznań 2011. – H. Plessner, *Pytanie o conditio humana*, przeł. M. Łukasiewicz, Z. Krasnodębski, A. Załuska. Warszawa 1988. – Ch. Shiling: *Socjologia ciała*, przeł. M. Skowrońska, Warszawa 2010. – P. Szarota, *Psychologia uśmiechu*, Gdańsk 2006. – P. Szarota, *Uśmiech. Instrukcja obsługi*, przeł. M. Dąbrowska, Sopot 2012.

Wodna dialektyka

ANNA SKOTNICKA

Kornwalia. Ocean, klify, romantyczne pejzaże. Tristan i Izolda. Region, w którym osadzona jest akcja wielu powieści-romansów, seriali filmowych (*Poldark*, na podstawie książek Winstona Grahama, *Doktor Martin*), mrocznych lub pełnych tajemnic filmów (*Rebeka* Alfreda Hitchcocka według powieści Daphne du Maurier, *Lawendowe wzgórze* Charlesa Dance’a oparty na opowieści Williama J. Locka).

Jednak ostatnimi czasy możemy poznawać również inną Kornwalię. Na pierwszy plan wysuwają się teraz kwestie ekonomiczne i społeczne. Na przykład bezdomności, jak w wydanej w Polsce w 2020 roku książce *Słone ścieżki* Raynor Winn, opowiadającej o parze małżeńskiej, która po utracie domu wędruje po południowo-zachodnim wybrzeżu Wielkiej Brytanii. Albo gentryfikacji kornwalijskich miasteczek i rozpadu wspólnot rybackich. Te problemy najdobitniej wybrzmiały w filmie Marka Jenkina *Przynęta* (*Bait*) z 2019 roku. Porusza je również Lamorna Ash w swojej książce *Skryte, jasne, słone* (2020), opublikowanej w 2022 roku przez wydawnictwo Czarne.

Autorka jest absolwentką anglistyki uniwersytetu w Oxfordzie oraz antropologii kulturowej i społecznej Kolegium Uniwersyteckiego w Londynie. *Skryte, jasne, słone* to jej debiut. Ash przebywała z przerwami trzy i pół miesiąca w Newlyn, rybackiej osadzie, stanowiącej dzisiaj część miasta Penzance położonego na południowym krańcu Kornwalii. Sama związana jest z Londynem. Kornwalijskie korzenie ma natomiast jej matka, która nadała córce imię Lamorna zapożyczone od nazwy miejsca znajdującego się około 6 km od Penzance. Ash traktowana jest z przychylnością i życzliwością przez społeczność Newlyn, pozostaje tam jednak gościem. Sama zresztą nie zapomina, że nie pochodzi stąd, a pobyt wśród rybaków staje się dla niej okazją do refleksji nad własną tożsamością. Zauważyła przede wszystkim swoją odmienność – i jak stwierdza – pewną niedojrzałość: kornwalijscy rówieśnicy mają już rodziny, muszą ciężko pracować w trosce o ich utrzymanie, częściej angażują się w sprawy wspólnoty, czują się związani z konkretnym miejscem, podczas gdy ona i jej koleżki z klasy średniej, jak mówi, dłużej

pozostają dziećmi, mogą pozwolić sobie na studiowanie, nie mają poczucia zakotwiczenia.

Autorka w ramach obserwacji uczestniczącej wynajmuje pokój u pary z Newlyn, towarzyszy rybakom w pracy na łodziach, trawlerach i statkach, a także spędza z nimi czas wolny, co sprwadza się w gruncie rzeczy do odwiedzania pubów, do *cabarouse* („hałaśliwych wygłupów”, „pijackich imprez”) będących dla spracowanych mężczyzn rodzajem azylu. Książkę poprzedza dedykacja dla ludzi, którzy byli jej przewodnikami po badanej kulturze. Świadomość, że będą oni jej czytelnikami towarzyszy autorce nieustannie i niewątpliwie wpływa na sposób opowiadania, pełen empatii wobec wspólnoty, która powoli zanika, podlegając wielu bolesnym transformacjom. Najbardziej zauważalnym tego znakiem jest postępujące ubóstwo Penzance. Na każdej stronie utworu mamy dowody społecznej wrażliwości autorki, jej solidarności z doświadczającymi trudności rybakami, z ich twardym życiem. Wyraża ją na przykład gest niezgody na ten rodzaj pisarstwa, który w sposób atrakcyjny stylistycznie opowiada o zapaści i degradacji rzeczywistości. Dlatego autorka nieco prostodusznie uznaje styl Sebald za niestosowny i deklaruje, że w odróżnieniu od niego nie widzi w ruinach nic pięknego. W innym miejscu doceniając uniwersalny wymiar wiersza amerykańskiej poetki Elizabeth Bishop, wygłasza pochwałę jego robotniczej wymowy.

Barwnie, szczegółowo i z przejęciem opisuje Ash codzienne życie rybaków: ich pracę i odpoczynek, zwyczaje i zachowania. Dowiadujemy się zatem, jak należy wyciągać wędzacz, jak patroszyć i filetować różne rodzaje ryb, jak boli ciało z powodu fizycznego zmęczenia. Autorka nie zapomina i o tych, którzy choć czują się związani z Newlyn, z Kornwalią, to z przyczyn ekonomicznych nie mogą tu pozostać. „Jesteś tym, czym się czujesz” zauważyła jej matka, „zawsze będę stąd” mówi inna była kobieta. W swoim dążeniu do rozumienia Innych Ash nie tylko uczestniczy w ich życiu, ale sięga również po informacje dotyczące przeszłości regionu, na przykład kornwalijskich buntów zmierzających do ochrony przed brytyjską asymilacją czy protestów, jak tego z 1937 roku,

podczas którego wysłannicy z Newlyn dopłynęli do Londynu, by – jak się okazało – bezskutecznie walczyć przeciwko planom zniszczenia ich wioski. Narratorka wykorzystuje również słownik morskich słów i wyrażeń kornwalijskich, którymi inkrustuje swoją opowieść, by uzmysłowić wyjątkowość i odmienność tego miejsca. Wspomina na przykład takie słowa, jak *tilt*, *cowal*, *baulking* – związane z połowem i procesem nasalania sardynek. Jej uwagę przyciąga tak istotna dla mieszkańców Kornwalii fraza „pieśń brzegu” oznaczająca dźwięki, jakie wydają fale uderzające o brzeg, a ich brzmienie zależy od rodzaju podłoża, którego dotyczą – klifów, kamieni czy piasku. Innym słowem nadal żywym w społeczności i trwale związanym z morzem jest *yarning*, które odsyła zarówno do czynności opowiadania bajek, jak i przedzenia. Przypomina ono o umiejętności snucia przez marynarzy i rybaków opowieści pełnej dygresji i fantastycznych wydarzeń. *Yarning* towarzyszy pracy, nauce robienia węzłów, trzymania wachty, ale i odpoczynkowi w pubie.

Autorka z pełnym oddaniem zanurza się w życiu wspólnoty, uczy się jej i poznaje, chce być uczestnikiem, a nie tylko obserwatorem. Jednakże proces wtapiania się antropologa w środowisko obciążony jest wieloma problemami natury metodologicznej. Jak opowiadać o poznawanej wspólnocie? Jakiego użyć języka? Jak unikać koloryzowania? Na przykład wtedy, gdy praca do pewnego stopnia mechaniczna kojarzy się narratorki z muzyką, symfonią: „warkot kołowrotek, łoskot, gdy kraby trafiają do bongy, nieustanne uderzenia fal o burtę, a od czasu do czasu krzyk mew wysoko ponad nami” (s. 139). Pomaga jej niekiedy intuicja, by zaufać rybakom. Gdy próbuje ich romantyzować, używając sformułowania „wyrzeźbieni przez morze”, oni sami podpowiadają jej określenie „naznaczeni troską”.

Ash koncentruje się na wybranych aspektach życia rybaków, przede wszystkim na ich pracy, sytuacji ekonomicznej i relacjach interpersonalnych. Dowiadujemy się zatem, że Newlyn administruje największą liczbą statków w Wielkiej Brytanii, ale od 1996 roku ich liczba w kraju zmniejszyła się o 29%. Mechanizacja zmieniła charakter ry-

bołówstwa, nie jest to już działalność zrównoważona, przez co zasoby nie odnawiają się w takim tempie, w jakim są poławiane. Lista trudności, z jakimi przychodzi mierzyć się Kornwalijszykom, jest długa. W jednym z końcowych rozdziałów narratorka wylicza ich problemy. Rodzą one w rybakach wściekłość, „ciągłe poczucie bycia niewysłuchanym”, wywołują bezradność, kiedy „wielkie firmy przejmują flotę rybacką”, a „każdy rodzinny sklepik zostaje przejęty przez ogólnokrajową sieć” (s. 375), kiedy turyści zalewają w lecie Kornwalię, windując ceny i utrudniają rdzennym mieszkańcom życie, kiedy młodzi nie mają perspektyw pracy, a politycy ignorują sprawy miejscowych.

Narratorka nie wszystkim kłopotom udziela uwagi. O brexicie, który popierało 92% mieszkańców rybackich społeczności, znajdziemy zaledwie dwie wzmianki. Ash nie roztrząsa także kwestii gentryfikacji, trwającej od dawna. Pandemia przyczyniła się do zaostrzenia tego problemu, a także pogłężyła region w kryzysie mieszkaniowym, wywołanym przez posiadaczy drugich domów. Książka powstała przed pandemią, być może dlatego autorka jedynie napomyka o tej kwestii. Skupiając się na społeczności rybaków, nie zauważa także środowiska artystycznego, które rozwinęło swoją działalność w Newlyn poczynając od połowy XIX wieku. Ash niewątpliwie nie stawia przed sobą celów interwencyjnych, wyłącznie faktografia również jej nie wystarcza. Obserwując życie mieszkańców opowiada historię miejsc, statków i ludzi mocno ze sobą związanych zwyczajami, tradycją. Tworzą wspólnotę, której fundament stanowią naturalne rytmy przyrody, zespołowe zajęcia i dzielenie z innymi doświadczeń. Pisarkę interesuje coś więcej. W książce na plan pierwszy wysuwa się według mnie uniwersalna – egzystencjalna perspektywa. To zaś możliwe jest dzięki otwarciu na literaturę.

Taką postawę autorki zapowiadają odwołania intertekstualne, które organizują jej narrację poczynając od tytułu całości, poprzez zamieszczone w książce cytaty, aż po przypomnienie utworów literackich w każdym z rozdziałów książki. Część z nich wydaje się oczywista. Są w dzisiejszej kulturze obrazy czy wypowiedzi, których przywołań można się spodziewać. Jest zatem opowieść Sebalda o śledziach z *Pierścieni Saturna*, najbardziej popularnego utworu tego pisarza w Wielkiej Brytanii, jest cytat z powieści Josepha Conrada *Murzyn z załogi „Narcyza”*, wzmianka o *Moby Dicku* czy jak przystało na pracę antropologa odwołanie do *Smutku tro-*

pików. W ten sposób narrację wypełnia nie tylko relacja z obserwacji, ale i dialog z innymi twórcami. Jak sama podkreśla w przypisach pomogli jej oni „lepiej zrozumieć, jak połączyć życie, obserwację i pomysłowe myślenie” (s. 409).

Autorka rozpoczyna opowieść od przytoczenia fragmentu z powieści Johna Steinbecka *Ulica Nadbrzeżna*. Wbrew temu, czego można byłoby się spodziewać, według Ash wyimek nie tyle potwierdza przywiązanie pisarza do realistycznego odtworzenia rzeczywistości, do tematyki społecznej, ile jest świadectwem umiejętności artysty wywoływania w czytelniku określonych doznań. Ważny staje się zatem estetyczny wymiar wypowiedzi. Oddziaływanie na czytelnika możliwe jest wówczas, gdy, jak twierdzi narratorka, jako twórca otwierasz się na całą postrzeżaną rzeczywistość, a nie na jej poszczególne części. Poszukiwania języka adekwatnego do wyrażenia położenia rybaków uzmysławiają autorce, że zgodnie ze spostrzeżeniami Waltera Benjamina, którego cytuje, zarówno jej przeżycia, jak i doświadczenia rybaków pozostają na stałe w wytworach ich rąk i umysłów, a między człowiekiem i przyrodą ożywioną czy nieożywioną istnieje ścisły związek, stąd w opowieści o Kornwalii pojawiają się i przeplatają ze sobą różnorodne wątki, nie tylko ekonomiczne, historyczne, społeczne, ale i geograficzne, geologiczne, socjalne, osobiste, literackie.

Sztuka opowiadania, jak już wspominałam, bardzo leży Ash na sercu. Jej książkę możemy uznać za *yarning*, opowieść, w której punktem odniesienia jest morze i wszystko co z nim jest związane w relacji do człowieka. W perspektywie morza znaczenia nabiera antynomiczność rzeczywistości, otwarcie również na sferę poza empiryczną. Autorka zauważa: „granica między morzem a lądem wyznacza ramy kornwalijskiego charakteru. Przenika do każdego aspektu życia, kształtuje mitologię i przebija rozdęte przekonanie człowieka o własnej potędze, przypominając mieszkańcom, że istnieje coś, co jest potężniejsze od nich” (s. 184). Co jest tą granicą? Co jest potężniejsze od człowieka?

Taką granicę stanowić może horyzont. Według cytowanego przez narratorkę Ralpha Waldo Emersona jest on niezbędny dla oczu pragnących zakosztować przestrzeni. Autorka rozmyślając o naturze horyzontu, dochodzi do wniosku, że „właściwie wcale nie jest linią, ale pustym, nienarysowanym momentem, w którym spotykają się dwa regiony bytu [...]. [...] Horyzont nie jest niczym innym, jak tylko kontrastem odcieni, prostym światłem i prostym mrokiem, ale to

i tak nie pozbawia go uwodzicielskiego uroku” (s. 368). Istotnego znaczenia nabiera wobec tego styk (horyzont to spotkanie morza i nieba; „ziemia zdecydowanie dąży do spotkania z morzem”), a także efemeryczna natura linii oddzielającej świat widzialny (widoczny) od niewidzialnego (zasłoniętego).

Metafory, porównania, cytaty Ash przekonują, że obcowanie z morzem uwalnia myślenie od binarnych opozycji, sprawia, że dostrzegamy łączność między zjawiskami, elementami, żywiołami, tradycyjnie uznawanymi za przeciwstawne. Spoza detali wyłania się ów obraz całości, w której potrzebie pisarka mówiła we wstępie do swojego utworu. Dlatego też rybacy na statku przedstawieni są jako ci, którzy żyją w dwóch światach, w swojej wędrówce po wodach tkwią w zamknięciu, ale są wolni, bo mają dostęp do bezkresnych przestrzeni. Autorka przypomina również, że już w antyku uznawano żeglujących po morzu ni to za żywych, ni to za umarłych (s. 184), za uważa, iż na statku człowiek znajduje się w stanie zawieszenia, między niebem a morzem, nieodróżnialnymi od siebie w ciemności: „tkwisz w niemiejscu, w słonowodnej przestrzeni gdzieś między światem poniżej a światem ludzi” (s. 194). Owo położenie „pomiędzy” określa całą egzystencję rybaków: między lądem a morzem, w nieustannym rytmie przyptyków i odpływów, kołysania statków, w górę i w dół, obecności i nieobecności w rodzinach, w rezultacie czego ludzie jakby tracą swą substancjalność, stają się dla bliskich zjawami. Pasma „między” odmiennymi miejscami i przestrzeniami jest dla autorki najbardziej interesujące (np. grobla, brzeg, wybrzeże, ale i przestrzeń pomiędzy galką a powieką porównana z linią światła między zachodzącym słońcem a morzem).

Nieprzypadkowo zatem jej książkę patronuje poezja Elizabeth Bishop. Znakiem zaniku dualistycznych granic stał się dla poetki zbieg dwóch rzek, ich spływanie do jednego koryta. W wierszu *Santarém* czytamy: „Nawet gdyby ulec pokusie / Literackich interpretacji / Takich jak: życie–śmierć, prawda–fałsz, męskie–żeńskie / Pojęcia takie zlałyby się ze sobą, rozplynęły raz dwa / W tej wodnej, oślepiającej dialektyce” (przekład Andrzeja Sosnowskiego).

Książka Ash potwierdza tę myśl. Jej tytuł jest również cytatem zaczerpniętym z wiersza Bishop *Przy rybaczkówkach* (w tłumaczeniu Andrzeja Sosnowskiego). Utwór ten zawiera obserwacje, opis doznań i refleksje wywołane obcowaniem z morzem. Zjawiska i rzeczy scala percepcja podmiotu wychwytyjącego opalizowanie

kolorów, światła, znaczeń słów, krzyżowanie się tego, co świetliste, przejrzyste z tym, co ciemne, zawile. Określenia „skryte, jasne, słone” odsyłają do doznań zmysłowych, intelektualnych i duchowych. Pojawiają się w wierszu trzykrotnie i odnoszą się kolejno do żywiołu, wody i wiedzy. Co ciekawe, w tej wersji angielskojęzycznej, do której mam dostęp, elementy składowe dwóch pierwszych wyliczeń dotyczących wody i żywiołu nie oddzielone są przecinkami, natomiast ostatni fragment odnoszący się do wiedzy, zawiera te same określenia, rozdzielone tym razem przecinkami. Interpunkcja obrazuje różnicę między naturą a wiedzą, między doświadczeniem a rozumieniem. Rozdzielający, różnicujący intelekt spotyka się z doświadczeniem, będącym analogią obserwacji, która jednoczy odseparowane zjawiska. Woda okazuje się wówczas transmutacją ognia: ręka zanurzona w lodowatym morzu doznaje bólu, który podmiot określa jako palący, smak morskiej wody wywołuje pożar języka (w przekładzie Andrzeja Sosnowskiego).

Podobnie w świecie wyłaniającym się z książki Ash. Egzystencja na ładzie i morzu kształtuje podwójną perspektywę postrzegania zjawisk, odczuwania, myślenia. Mimo iż rybacy doświadczają nieustannej przejściowości, to morze (nie ląd) stanowi dla nich centrum istnienia. Jest żywiołem bezkresu (motywną samotności). Wyzwala duchowy kontakt z rzeczywistością. Wyraża go wymiar głębi, będącej również horyzontem śmierci. W utworze innej amerykańskiej poetki, którego ten sam fragment cytuję Ash dwukrotnie, a mianowicie w wierszu *Cmentarz* Marianne Moore (mentorki Bishop), właśnie ta myśl jest zaakcentowana: „Ludzka natura lubi stać pośrodku rzeczy, / Ale tutaj nie sposób stanąć pośrodku: / Morze ofiarowuje tylko głęboko wydrążony grób” (Przekład Julii Hartwig).

Autorka polemizując z Moore, zauważa, że rybacy akurat to robią codziennie: stają pośrodku, w ten sposób zarobkują. Nie neguje jednak myśli, iż morze jest tą potężną siłą, wobec której człowiek musi czuć „małość swojej ludzkiej postaci” (s. 101). Włączmy do tego dialogu również Bishop, według której morze to „Zimny, skryty, głęboki, absolutnie jasny / żywioł nie dla śmiertelnych” (przekład A. Sosnowskiego).

Jak widzimy, Ash pisząc swoją książkę stale rozmawia z innymi twórcami, co niewątpliwie podnosi atrakcyjność jej wywodu, zmusza do refleksji i sprawia, że czytelnik otwiera się na wielość interpretacji. W zgodzie w wodną dialektykę autorka jest zwolenniczką niesprowadzalności istnienia do jed-



Lamorna Ash

Skryte, jasne, słone

Rybackie miasteczko w Kornwalii



noznacznej wykładni. Morze bowiem wyraża tajemnicę bycia. Czytamy przecież w dalszym komentarzu, odnoszącym się do wiersza Moore, że „postępujący ruch morza «pod pulsowaniem latarni i szumem boi dzwonowych» wygląda tak, jakby «nie był to ocean, w którym upuszczone rzeczy muszą zatonać / W którym, jeśli się skręcają lub obracają, to nie z własnej woli ani świadomości». Jeśli wyłowione z wody ciało oddycha lub wciąga powietrze, to też nie z własnej woli ani świadomości, ale to nie przeszkadza człowiekowi wierzyć, że istnieje jakaś tajemnica, jakaś regenerująca moc mórz, która może przywrócić nam do życia rzeczy utracone” (s. 291).

Relacjonując codzienność rybackiego miasteczka w jej konkretach Ash nie rezygnuje, podobnie jak ame-

rykańskie poetki, z prób odniesień egzystencjalnego doświadczenia do wymiaru wieczności, sprawiając że to, co widzialne i powszednie przechodzi w niewidzialne, uniwersalne. Książka jest świadectwem poznawania Kornwalii odmiennej od tej, jaką autorka pamiętała z beztroskiego dzieciństwa. Wyłania się z niej obraz Kornwalii nadal nie pozbawionej uroku, ale uwolnionej od romantyzujących czy wręcz sentymentalnych opisów. A także obraz autorki – pisarki poznającej tam samą siebie. ■

Lamorna Ash, *Skryte, jasne, słone. Rybackie miasteczko w Kornwalii*, przeł. Kaja Gucio, Wydawnictwo Czarne, Wołowiec 2022, s. 426.

Krótką historia wzajemnej namiętności

PATRYK KOMINEK

Gdy wysiadł z pociągu, zobaczył ją po raz pierwszy na własne oczy. Nie wie do końca, czy czekała na niego tak, jak on na nią, ale była, istniała. Jego zachwyt nad jej pięknem zaczął się dopiero po wyjściu z dworca. Zaczął się jej dokładnie przyglądać. Ona również. Na razie zwraca uwagę na jego cechy fizyczne. On robi podobnie. Podoba mu się jej kolorowe odzienie. Jej długi czarny płaszcz oraz kapelusz z rondem. Widać gołym okiem, że to na pewno jakiś artysta. To, co skrywa pod kapeluszem to niechlujnie ułożone włosy. Można powiedzieć, że zdradzają jego charakter. Tak, on jest porywczy i spontaniczny. Przyjechał tutaj dla niej, bez wcześniejszego zawiązywania znajomości. Pisana im przyszła miłość nie miała za wiele czasu na zawiązanie się.

Ona kochała takich jak on, młodych, gniewnych, dwudziestoletnich, zagubionych artystów. Najlepiej jakby byli to filmowcy, ona w końcu żyła filmem. Na pierwszą randkę wybrali się do pierwszej napotkanej po drodze restauracji. Najpierw oboje byli zadowoleni, bo podano im bardzo dobre jedzenie. On przestał być zadowolony, gdy przyszło do płacenia. On uważa, że za porcję, którą im podano, należy brać mniej. Smakowało, w porządku, lecz nie wyśmienicie. Można by pomyśleć, że to ją odrzuca, ale nie. Ona właśnie lubi przyszłych studentów, bez grosza. Tacy są najlepsi. Najbardziej płodni artystycznie.

On zachwycił się nią jeszcze bardziej, gdy na głównej ulicy zza chmur wyszło słońce i zaczęło ją oświetlać. On zechce ją zabrać jeszcze dziś do swego nowego mieszkania. Lecz na razie trzeba je odebrać. Nie można mu wiele zarzucić, metraż całkiem niezły, jak za tę cenę, czysto i schludnie. O widoku za oknem nie można powiedzieć wiele dobrego. Szare elewacje splekanych od upływu czasu kamienic. Z wodą, zalegającą po nawet nieulewnych deszczach, w dziurach całkiem nieregularnie pojawiających się w betonie wylanym na drogę. Kamienice przepelnione setkami ludzi, w których konający za ścianą dostanie w twarz od dobrze utrzymującego się sąsiada za śmierdzenie po śmierci. Ją odstrasza taki klimat. Jego też, lecz w takich miejscach codziennego cierpienia, całkiem niezłe tworzy się dobre teksty. Na zewnątrz namalowany na kawałku blachy robotnik dumnie wznosi w górę młot hutniczy. Obok lustro, aby mógł oglądać swoją styraną życiem facjatę. Ktoś powiesił obok na kracie lampki choinkowe. Codziennie wieczorem włącza je. Za prąd płaci leżąca na cmentarzu babka.

Ona właśnie dowiaduje się, że on niestety nie jest zbyt zainteresowany filmem. Powiada, że oglądał wiele filmów, ale odkrył literaturę. Stał się właśnie mniej pociągający, ale przecież scenariusze same nie powstają, ona już dobrze o tym wie. Bardzo dobre dzieła filmowe, jak nie te najlepsze, zrodziły się z książek. On wciąż się rozgląda. Kilka nieważnych dla niego sklepów, ale jeden go przyciąga. Sprzedają tam kadzidła, olejki eteryczne, fajki, cynamon, książki o tematyce astrologicznej, psychomagicznej i inne wróżbiarskie przybory, a co przystojniejszym młodzieńcom sprzedawczyni powróży z ręki lub postawi tarota. Całkiem za darmo. Może też wskazać adres w inne miejsca, w których piękne dziewczyny, mogą

również powróżyć, a nawet postawić coś innego niż tarota. Nie tylko przystojnym młodzieńcom. Niestety usługa jest płatna. Dla tych ładnych i młodszych czasem nawet tańsza, przecież studentów trzeba wspierać.

Ale NIE! On ją właśnie widzi, on chce tylko jej. Nie będzie udawał się w nieznanome miejsca uciech. On już zakochał się w niej. Nie potrzebował wiele czasu. Zresztą, kto takiej piękności jak ona, potrafiłby się oprzeć. Ona tymczasem zauważa jego wielki zachwyt. Idą właśnie do kina. On dobrze wiedział, co robi, wiedział, co się jej najbardziej podoba. Film został wybrany doskonały – opowiadał o alkoholizmie wśród absolutnie wszystkich grup społecznych. Jej podobał się niezwykle. On również zachwycony. Wprawdzie bardziej samym obcowaniem z nią niż filmem, ale ważne, że zachwycony. Jeszcze tylko spacer wieczorny, pięknie oświetlony. Wino w lodówce już się chłodzi, wszystko jest przygotowane. Ona odrzuca jednak ofertę wspólnej nocy w jego mieszkaniu. Wino zostanie opróżnione przez niego, całkowicie w samotności.

Film przestrzegający przed zgubnymi skutkami alkoholu na niewiele się zdał. On nie jest świadomy, że w pewnym sensie ona wciąż jest przy nim. On wciąż o niej myśli, nie potrafi spokojnie zasnąć. Gdy tylko otwiera drzwi na klatkę schodową, znów ją widzi. W pogoni za tym widokiem wpełza do oświetlonego neonami klubu. Poznaje uroki pięknego nocnego życia. Nie znając jednak reguł gry picia, wylatuje całkiem szybko na ulicę, z mocno osuszonym portfelem. Znów ją widzi. Jest tak blisko, a tak nieuchwytna. Niezbyt długa i wyjątkowo nieudana nocna eskapada, kończy się głębokim snem i chrapaniem w mieszkaniu.

Ona tymczasem przygląda się całej sytuacji. Jak wielu już takich widziała. Na początku tylko trochę się gubią, później już nie rozpoznają fikcji literackiej od filmowej, alkoholowej rzeczywistości od normalnej. W ogóle słowo normalne wypada z ich języka. A szkoda, podobał jej się ten chłopak, dostanie jeszcze szansę. On wstaje nie tak wcześniej rano, dochodzi już praktycznie południe. Ona tego nie wie, ale on ma w planie ją jeszcze dziś posiąść. Zostały mu dokładnie dwadzieścia cztery godziny, aby spełnić swoją wzajemną namiętność. Ona nie wie, że on ma zamiar swój plan zrealizować za wszelką cenę. Ona dając mu dziś szansę, postanawia ubrać się o wiele piękniej niż ostatnio. On nie wie, że to jest w ogóle możliwe. Ona zaś jawi mu się dzisiaj w cudownie świecącej sukience od znanej projektantki J.R. Po takim powitaniu już wie, że jego wybranka jednak może być piękniejsza. Dziś przestał być pewny siebie, zmienił swoje nastawienie. Nie wie, czym jej zaimponować. Ona wyczuwa jego zmianę. On zainspirowany robotnikiem, którego widzi za oknem, najchętniej poszedłby do odlewni stali. Ona początkowo sprzeciwia się temu pomysłowi, lecz przecież lubi szalone i nietypowe artystyczne dusze.

Podczas drogi on opowiada jej o literaturze. O, i to ją zaciekawia! Trzeba było z takim podejściem od razu. W odróżnieniu od pięknej literatury, park nie jest zbyt piękny, gdyż został zbudowany dla robotników. Ona tego miejsca nie lubi. Jemu w natchnieniu robotniczym, w jaki

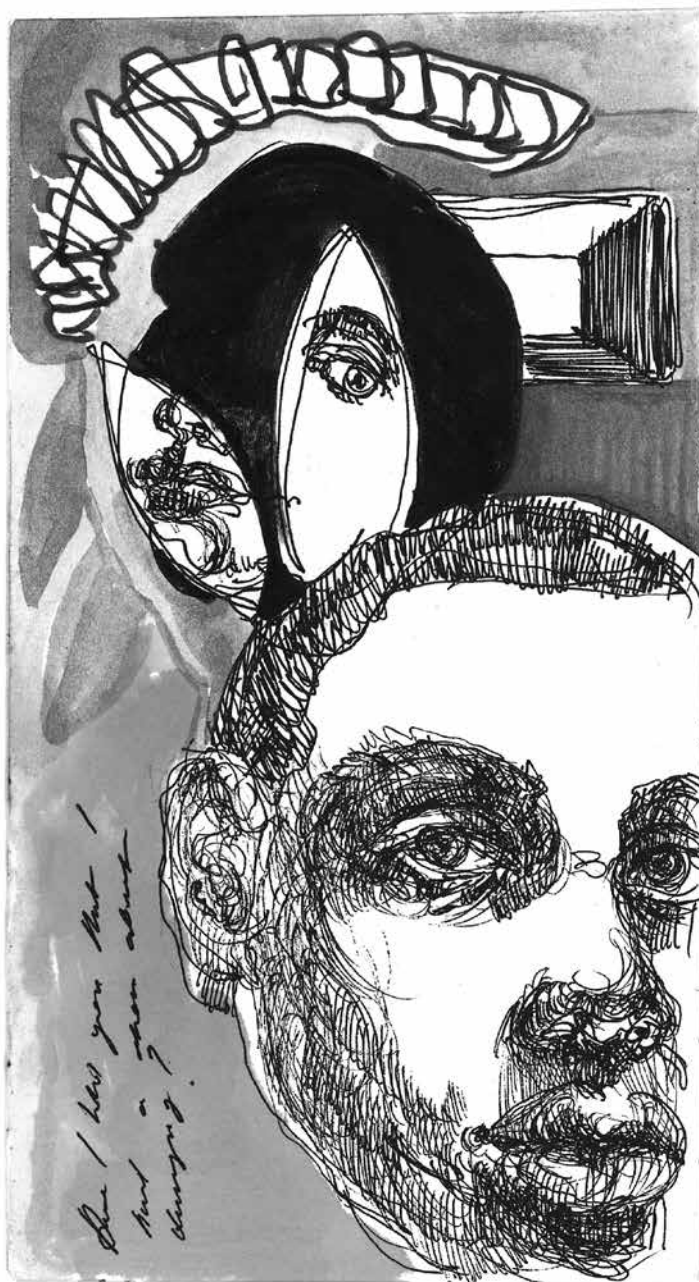
wpadł, podoba się bardzo. Literacki temat, który jej wyklada, to dzieła Maksyma Gorkiego. Sam temat robotników, jak i ciężkiego przemysłu, jest jej niby bardzo bliski, ale woli się od tego odcinać. Ucieka w nowoczesność i terażniejszość. Byłaby też bardziej zadowolona, gdyby on mówił o czymś, co doczekało się ekranizacji. Nie może jednak narzekać, towar młodzięczy w jego postaci trafił się całkiem niezły, już wykształcony. On z każdą spędzoną chwilą, jest coraz bardziej zakochany.

W końcu drzwi odlewni stali są na wyciągnięcie ich ręki. Gorąca stal wlewana do form tak go ekscytowała, że nie potrafił ustać w miejscu. Z wypiekami na twarzy słuchał robotnika, gdy ten mówił o nowych rekordach wytworzonej stali z metra kwadratowego materiału. Ona niezbyt pochwała jego entuzjazm, który żywi do pracy fizycznej. Woli jego łagodną, piękną, artystyczną twarz. On jednak ma już swoje plany. Zaraz po tym, jak ją całuje, zostaje szybko wyrzucony z fabryki za bezczelne i niestosowne zachowanie. Robotnik grozi jeszcze palcem. Na koniec dostanie pouczenie z posterunku policji.

Później idą do muzeum. To znów jej zdecydowanie bardziej się podoba. Jemu już też, zapędy robotnicze w nim kompletnie wygasły. Wystawiana jest sztuka współczesna pod wieloma postaciami. Przede wszystkim obrazy i rzeźby. Po obejrzeniu całej wystawy nie są zachwyceni. W szczególności, gdy na zewnątrz czekają na niego tak liczne murale. Nawet ona jest przedstawiona na jednym z nich. Oczywiście na tym największym w okolicy. Sztuka uliczna to rzecz, która kręci ich w takim samym stopniu. Czyli mocnym, ale oboje pragną czegoś innego. On pragnie poczuć ją jeszcze bardziej. Chce udać się do tego jednego magicznego miejsca. Ona chce zobaczyć, co on tworzy, czy na pewno jest wart uwagi. On chce ją kochać, tu i teraz. Wie, że musi jeszcze trzymać swoje nerwy na wodzy.

Obiad. Tak, to jest pora na spożycie tego posiłku. Nie wolno mu popełnić błędu dnia poprzedniego. Tym razem musi wybrać dobrą restaurację, nie taką zwyczajną, najlepiej orientalną. Jego portfel znów ucierpi na tej eskapadzie. On mówi trudno, czego się nie robi dla miłości. Wybór padł na restaurację indyjską, wysoce cenioną w okolicy. Nie był to wybór przypadkowy, jak za pierwszym razem. Obsługa na wysokim poziomie. Jedzenie wysmienite, to, które podali, smakuje mu wyjątkowo. Ona cieszy się, że takie miejsca istnieją, lecz coś jej w tym obrazie nie pasuje. On nie pasuje jej do drogiej, egzotycznej restauracji. Bardziej do baru mlecznego lub jakiejś jadłodajni, to właśnie tam widuje się studentów. On nie wie co robić, aby jej się przypodobać. Myśli, że robi wszystko, można powiedzieć, poprawnie. Cóż potem robić? Jest całkiem standardowo, wybór padł na spacer, tym razem po innym parku niż wcześniej.

On nagle wpada na pomysł wprost genialny. Zabierze ją do teatru. Nie na dowolną sztukę. Wystawiają właśnie sztukę, którą napisał. Tak jej się pokaże. Od swojej najlepszej strony. Tego ona od niego oczekiwała. W końcu się przed nią otworzy, pokaże dokładnie, co ma do zaoferowania. TAK! Teraz jest do jego pełnej dyspozycji. Ona zachwyca się tym, co dzieje się na scenie. On zachwyca się tym, co dzieje się na scenie. On kocha ją. Ona pokochała go. On praktycznie doznaje ekstazy, gdy ogląda własną sztukę wystawioną na scenie. Ona przeżywa katharsis. Zresztą niejedną w tym miesiącu, ale to inna sprawa. Sztuka się kończy. On wychodzi ostatni. Na



dworze panuje już mrok. W zaułku kamienicy jest jeszcze ciemniej. On chce ją osiąść tu i teraz. W tym miejscu chce ją rozebrać. Ona jednak już się przed nim obnażyła, pokazując całą siebie. Kocha ją tu i teraz. Czuje pod rękami zimny, twardy mur. Na dworze jest ciepło, jej nie jest zimno. W końcu może dotknąć jej wszystkimi członkami. Nikt ich nie widzi, gdyby nie zapach mocz idący od muru, można by powiedzieć, że jest nawet romantycznie. W czasie stosunku on wdeptuje w resztkę rzygowin jakiegoś pijaka lub po prostu studenta wracającego z klubu. Jeszcze tylko dostaje w mordę od kogoś przechodnia. Budzi się kolejnego dnia w mieszkaniu. Na stole już czekają na niego: pouczenie za lizanie stali w fabryce oraz mandat za masturbację z użyciem elewacji budynku. Szybko pakuje się i idzie na pociąg, aby podróżować od stacji do stacji, do kolejnych miast. Żadne jednak nie zastąpi mu jej. Później całą historię opisze. W momencie, gdy będzie to pisał, ona będzie się kochać, pewnie z innym. On robi to niezależnie od jej nastawienia do niego. Tak bardzo ją pokochał. A jej imię to Łódź.

Klerykał z kawiarenki eMPiK-u

JAROSŁAW KAPSA

Posiadając przywilej dobrego zamieszkania, dzieciństwo i młodość spędziłem cztery piętra ponad Międzynarodowym Klubem Prasy i Książki w Częstochowie. W klubie, zwanym potocznie eMPiKiem, wabiła gości najtańsza w mieście kawiarniana kawa, a do tego świeża prasa i równie świeże ciasteczka. Brak alkoholu, taniaść, prasa i wuzetki przyciągały nietypową, aczkolwiek zróżnicowaną klientelę: niegolonych sztubaków oraz starsze państwo o manierach przechowanych z okresu międzywojennego. Wśród takowego starszego państwa królował mecenas Miron Kołakowski.

Płachty gazet wpięte były w drewniane listwy pamiętające epokę Boya. Lekturę zazwyczaj zaczynało się od „Życia Warszawy” (zwanego od garstki informacji na ostatniej stronie „Życiem Częstochowy”). My, sztubacy, spędzając w kulturalnym ciepełku wagarowe godzinki, wsłuchiwałem się w politologiczne analizy treści ujawnionych i ukrytych. Z czasem, ośmieleni, wrzucaliśmy w dyskurs kamyczek pytania lub uzupełnienia informacji. Mecenas tylko z głupimi nie gadał, jeśli u dyskutanta dostrzegał cień inteligencji i autentyczne zainteresowanie, różnica wieku, statusu społecznego, wykształcenia przestawała być istotna. Dla postronnych uchodzić mógł za kawiarnianego gadacza, jednego z tych dziwaków nie przystających do nowoczesności realnego socjalizmu. Dla częstochowian był jednakże legendą, podobnie jak osoby przewijające się przez jego stolik: kombatan AK, kwiat palestry, nauczycielskie autorytety, miłośnicy książek, artyści plastyki i fotografii. Sztubacy-wagarowicze szepotali z pobożnym podziwem: dziś przyszedł Mikołajtis z Wójcickim, wiecie – CI z Traugutta; a tam się przysiadł Pogorzelski, TEN Pogorzelski, co miał wystawę pejzażu w Warszawie, a ten to Tyras, którego wywalili z dyrektorowania biblioteką, bo nie te książki co trzeba polecał...

Mecenas Miron Kołakowski należał do wymierającej rasy przedwojennej inteligencji. Ojciec Bolesław był wykładowcą chemii na lwowskim Uniwersytecie, organizatorem i kierownikiem prywatnych gimnazjum w Bełchatowie, w Piotrkowie Trybunalskim i w podwarszawskich Włochach. Starszy brat Jerzy (1907–1980) poszedł w ślady ojca: ukończył studia na Politechnice Lwowskiej, po wojnie i pobytach w obozach koncentracyjnych zro-

bił doktorat w niemieckiej Getyndze; po powrocie do Częstochowy stał się założycielem i pierwszym rektorem Politechniki Częstochowskiej. Najmniej znany był najmłodszy z braci Kołakowskich – Tadeusz – był on popularnym i cenionym stomatologiem, a ambicje polityczne ograniczył do biernego członkostwa w Stronnictwie Demokratycznym. Miron, urodzony 23 stycznia 1911 r., w odróżnieniu od braci był humanistą; w 1928 r. rozpoczął na Uniwersytecie Warszawskim studia prawnicze. Po ich ukończeniu dwa lata (1933–35) spędził w Szkole Nauk Politycznych, planując karierę dyplomaty, a równocześnie robił aplikację adwokacką, zakończoną złożeniem egzaminu w czerwcu 1939 r. W latach 1937–39 udzielał porad prawnych częstochowskiemu magistratowi.

Ponieważ w PRL-u mecenas zasłużył na uznanie go „wrogiem publicznym”, dysponujemy równoległym opisem młodości pana Mirona, sporządzonym przez funkcjonariuszy SB dla potrzeby „operacyjnego rozpracowania”. Według SB już na studiach należał do aktywnych działaczy ONR, a w swojej praktyce aplikanta adwokackiego bronił „bojówkarzy”. Konsekwentnie – w czasie okupacji miał należeć do NSZ. Takie umiejscowienie było niezbędne, w czasach PRL faszyzm miał być określeniem największego zła, wpisanie komuś do życiorysu udziału w polskich organizacjach faszystowskich (ONR, NSZ) skazywać miało na śmierć cywilną. SB pisało swoje, lekceważąc fakt, że żyło jeszcze, mimo wojny, wystarczająco dużo świadków opowiadających o wojennych losach Kołakowskiego. Zmobilizowany we wrześniu 1939 r. walczył, jako dowódca baterii armat ppanc., w bitwie nad Bzurą, bronił twierdzy w Modlinie. Po kilkumiesięcznym pobycie w obozie jenieckim, zwolniony ze względu na stan zdrowia, wrócił do Częstochowy w 1940 r. Tu, poprzez kontakty ze swoim przedwojennym kolegą, Janem Pietrzykowskim, wstąpił do konspiracyjnej organizacji Stronnictwa Narodowego, w 1942 r. scalonej z AK. Po zwolnieniu z obozu, w 1940 r. ożenił się z Zofią ze słynnej rodziny Soczek, prowadzącej w domu przy Al. NMP 16 sklep optyczny. W tymże domu, zdobionym szyldem z nazwiskiem właścicieli sklepu, otworzył kancelarię adwokacką, dając w tych trudnych czasach wsparcie prawne częstochowiakom. Podobnie jak

przed wojną doradzał także polskiemu magistratowi. Dzięki znajomości z „okupacyjnym” burmistrzem miasta Stanisławem Rybickim, włączył się także w organizowanie „tajnego” nauczania. Pisał o tym w „Palestrze” (nr 27/8 z 1983 r.):

Na przełomie lat 1942–1943 z inicjatywą ówczesnego burmistrza Częstochowy powstał komitet, który w porozumieniu z władzami podziemnymi miał na celu zorganizowanie na terenie miasta stałego szkolnictwa wyższego. W skład komitetu weszli: dyrektor liceum Maria Rynkiewicz, prokurator Karol Jarzębiński i piszący te słowa. /.../ W październiku-listopadzie 1943 powstały początkowo 4 komplety prawnicze. Zajęcia na nich prowadzone były pierwotnie systemem korepetycyjno-wykładowym przez: sędziego (później adwokata) Mariana Stoszka i adw. Mirona Kołakowskiego oraz apl. adw. Michała Wojaka. Interesujący nas Wydział Prawa miał dwa pierwsze lata studiów. Łączna liczba studentów wyniosła 86 osób (73 na pierwszym roku, 13 na drugim). Do egzaminów przystąpiło z I roku 50 osób, z II zaś 11. Reszta po zaliczeniu studiów otrzymała zaświadczenia i w 1945 r. udała się do uruchomionych już uniwersytetów i tam zdawała egzaminy lub odbywała dalsze studia. Duże trudności napotykało uzyskanie Wykładowców. Wydziałem kierował prof. dr Kamil Stefko, b. rektor Uniwersytetu Jana Kazimierza. /.../ Prof. Stefko prosił mnie, abym oprócz swojego podstawowego przedmiotu prawa narodów (pisałem w czasie okupacji pracę doktorską u prof. Cezarego Berezowskiego pt. „Geneza i charakter Generalnego Gubernatorstwa w świetle prawa narodów”) objął zastępczo wykłady z dawnego polskiego prawa sądowego i prawa państwowego. Wojenne „kursy akademickie” wzmocnione udziałem kadry uczelni warszawskiej, uratowanej po zagładzie stolicy, przyczyniły się do powstania naszej pierwszej, powojennej uczelni – Wyższej Szkoły Administracyjno-Handlowej, na której także wykładał mecenas Kołakowski. Gdy wykluczono go z grona wykładowców WSAH, a samą szkołę skazano na uwięź; z polecenia brata, rektora i założyciela Politechniki, kierował na tej uczelni, w latach 1952–1962, Katedrą Ekonomii i Organizacji Przemysłu. Równocześnie praktykował jako adwokat, dzięki wojennym zasługom, stając się zaufanym doradcą częstochowskie-

go biskupa Teodora Kubiny. Z jego namowy pełnił stanowisko prezesa „Caritasu”, od powojennej odbudowy do czasu „upaństwowienia” w 1948 r. Nim nowe czasy całkiem zmieniły się na gorszy stalinizm, zdążył zostać wybranym w 1949, jako przedstawiciel środowisk katolickich, do Miejskiej Rady Narodowej. Był to taki epizod, ukazujący jedynie bezradność ówczesnych radnych. Istotniejsze znaczenie miało jego zaangażowanie, jako adwokata Kurii i Klasztoru Jasnogórskiego, w obronę praw ludzi wierzących i duchowieństwa. Służył jako obrońca aresztowanego przez UB przeorowi Jasnej Góry o. Kajetanowi Raczyńskiemu, bronił z ogromnym zaangażowaniem majątkowych praw Kościoła, naruszanych stopniowymi konfiskatami; walczył o uratowanie seminarium duchownego i szkół prowadzonych przez zakonnice. Sam też stawał się celem ataków. Aresztowano go w 1951 r. pod zarzutem wojennej działalności w NSZ, zwolniono z braku dowodów; ponownie próbowano uczynić z niego faszystę, wymuszając w 1953 r. zeznania od aresztowanego pod zarzutem szpiegostwa Jana Szymańskiego. Jednak zbyt wielu ludzi, także w PZPR, znało działalność Kołakowskiego, by wiarygodnie brzmiał zarzut szpiegostwa lub kolaboracji z okupantem.

Gdy nastął czas „październikowej odwilży” porozumienie władzy z Kościołem uwzględniło możliwość oddania kilku miejsc w Sejmie dla reprezentantów niezależnych katolików. Jedno z takich katolickich miejsc „biorących” na wspólnej liście FJN przyznano Częstochowie. Dzięki temu w 1957 r. Miron Kołakowski stał się posłem koła Znak. SB w swej ewidencji odnotowała aktywność: częste spotkania z Prymasem Wyszyńskim, kontakty z innymi biskupami, a na nich informowanie o tematyce prac sejmowych, o sytuacji gospodarczej i ostrzeżenie przed zmianą kursu wobec Kościoła. Zarzucano także Kołakowskiego organizację protestów środowiskowych wobec planowanej zmiany ustawy o adwokaturze, interweniowanie na poziomie rządowym w sprawie najścia SB na Jasną Górę w 1958 r. oraz w sprawie przywrócenia prawa wydawania „Niedzieli”. Zauważono także kontakty Kołakowskiego z przedwojennym generałem Frey-Bieleckim i innymi przedstawicielami „sanacyjnej” emigracji, podczas wyjazdu zagranicznego. Odnotowano, dzie-

ki pamięci t.w., słowa wypowiedziane do Jana Pietrzykowskiego: „to, co robie, jest potrzebne do innych celów niż można by sądzić, uzgodniłem to z prymasem i bp. Kubiną”. Nic dziwnego, przy takiej czujności SB, że w kolejnej kadencji adwokat z Częstochowy już nie mógł być posłem „Znaku”.

W tych czasach „odwilżowych” mecenas szukał różnych form wykorzystania różnych „okienek” dla otwarcia



Mecenas Miron Kołakowski

społecznej aktywności częstochowskiej inteligencji. Ku zaskoczeniu SB, prezentującego mecenasa jako klerykała i faszystę, w 1959 r. zainspirował utworzenie w naszym mieście oddziału Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Izraelskiej. W komitecie założycielskim znalazła się plejada miejscowych adwokatów: Michał Wojak, Zygmunt Walecki, Małgorzata Cholewicka, Maria Stypułkowska, Zygmunt Chołdyk, Zygmunt Łuczkiwicz, Józef Lipiec; w tajemnicy, powodowanej obawami przed narastającym antysemityzmem, statut napisali prawnicy żydowskiego pochodzenia: Doro- ta i Marian Hassenfeldowie. W teorii Polska była wówczas w przyjaźni z Izraelem, lecz częstochowski Komitet Miejski PZPR nie dopuścił do „intrygi” będącej wynikiem współpracy „klerikalnych faszystów” z „ateistycznymi syjonistami”. Z podobnych względów, dostrzegając w tym tworzenie „schroniska dla chade-

ków, zablokowano, w tym samym czasie, utworzenie Towarzystwa Przyjaciół Książki. Oprócz podejrzanego inspiratora Mirona Kołakowskiego byli w gronie założyciele ludzie zaangażowani w krajoznawstwo – Witold Zembrzuski, Bolesław Stala, bibliofil i księgarz Jerzy Badora, bibliotekarz Antoni Kłyk, a także – o zgrozo – były redaktor „Niedzieli” ks. Marchewka. Skład świadczył, że byli to przyjaciele książek, ale nie takich jak

trzeba, więc i tę próbę utrudził Komitet Miejski. Aktywność społeczną musiał więc mecenas ograniczyć: udzielał się w PTTK, wspólnie z dyrektorem Muzeum Włodzimierzem Błaszczukiem organizował sesje naukowe popularyzujące archeologię, organizował miejscowy oddział Polskiego Towarzystwa Fotograficznego, dzięki swej aktywności stając się wiceprezsem Zarządu Głównego PTF w Warszawie. Zrobił nawet specjalny kurs fotograficzny dla swoich kolegów z częstochowskiej palestry. Zbierane cymelia: książki, obrazy, rękodzieła, exlibrisy udostępniał wszystkim zainteresowanym, zmieniając swój gabinet koło sklepu Soczków, w galerię skarbów przeróżnych.

Nie zaniedbywał przez to praktyki adwokackiej. Bronił m.in. o. Klemensa Izdebskiego, paulina z Jasnej Góry, oskarżonego w 1963 r. o rozpowszechnianie w wygłoszonym kazaniu „nieprawdliwych informacji”. W czasie procesu Kołakowski wręczył publicznie, prowadzącemu sprawę sędziemu, petycję w obronie praw wierzą-

cych. Równie głośno było o innym procesie, w którym o nadużycia gospodarcze oskarżono b. żołnierza AK, inwalidę Tadeusza Otremskiego; mecenas nie tylko obalił dowody oskarżenia, ale doprowadził do skazania za fałszywe zeznania donosiela fabrykującego zarzuty. Autorytet, jakim się cieszył w środowisku powodował, że zarówno katowicka, jak i potem częstochowska Rada Adwokacka, jemu powierzała szkolenie młodych prawników. Przekazywał im wartości, o których pisał w „Palestrze” (nr 26/6-7 z 1982 r.):

Zawód adwokacki jest wspaniałym zawodem. Ma wprawdzie obok licznych błasków nie mniej liczne cienie, daje jednak często adwokatowi uczucie satysfakcji, że nie na próżno działa w wymiarze sprawiedliwości. Udział adwokata tak w życiu społecznym jak i w wymiarze sprawiedliwości zwraca uwagę na człowieka, którego reprezentuje i broni w imię humanizmu.

Nie pozwala zapominać, że nie chodzi o drobinę, ziarnko maleńkie w ramach ciągle powiększającej się ludzkości, ale o jednostkę ludzką, każdą o zamkniętym i pełnym życiu wewnętrznym, intelektualnym, uczuciowym, duchowym. A tak często pomija się to z powołaniem na rzekomo wyższy interes. /.../ Dlatego właśnie w imię wielowymiarowości i wiarygodności samej sprawiedliwości potrzebny jest zaangażowany udział adwokata jako rzeczownika humanizmu, spełniającego rolę hamulca powstrzymującego od zejścia na manowce formalizmu i bezduszności, tak bardzo nieludzkich, deprawujących i sprzecznych z naturą narodu.

Ustawa o adwokaturze ograniczała samodzielność, obrońcy sądowi musieli działać w zespołach poddanych partyjnemu nadzorowi. Kołakowski zrezygnował z prowadzenia własnej kancelarii, pracował w Zespole nr 1 na ul. Dąbrowskiego. Upaństwowiono także sklep Soczków, żona pana Mirona kierowała „państwowym” „Optykiem”, w tym samym, swoim domu, przez częstochowian uparcie nadal Soczkami nazywanym. Takie czasy... Ale w tych czasach wiele od ludzi zależało. W połowie lat 60. kierownikiem Zespołu nr 1 został Józef Lipiec, aktywny działacz PZPR, który swą prawniczą karierę zaczynał w mundurze MO, walcząc z „reakcyjnym podziemiem”. Lipiec czuł się wychowankiem Kołakowskiego, dbał o jego niezależność, angażował się w różne inicjatywy wymyślane przez pana Mirona. Podobne „ludzkie” związki pozwoliły Kołakowskiemu zarejestrować oddział Towarzystwa Miłośników Warszawy. W latach 60. prorektorem, a następnie rektorem Uniwersytetu Warszawskiego był prof. Zygmunt Rybicki, cieszący się złą sławą za postawę w marcu 1968 r. Dla Kołakowskiego ten rektor to Zygi, syn burmistrza Stanisława Rybickiego, chłopak, którego kształcił podczas okupacji na „kursach akademickich”. Żył także wielu profesorów warszawskich pamiętających o pomocy częstochowiaków. Dzięki takowym sojusznikom Komitet Miejski nie mógł zablokować inicjatywy. Towarzystwo Przyjaciół Warszawy utworzyło w Częstochowie swój jedyny oddział w Polsce; angażował on 321 członków, w ciągu dziesięciu lat – do 1977 r. – zorganizował ponad 400 imprez. Był m.in. w 1972 r. wykład w eMPIK-u Władysława Bartoszewskiego; był wykład w bibliotece, w 1975 r., prof. Drozdowskiego, na którym rozdawano ankiety zbierające dane o pomocy Częstochowy dla uchodźców z Warszawy; był w 1977 r. w siedzibie PAX, Aleksander Bocheński; był rok wcześniej w eMPIKu Aleksander Paszkowski z „Polityki”... Jak się udało z TPW, to wróciła idea Towarzystwa Przyjaciół Książki, zarejestrowanego w 1975 r., grupującego bibliofilów, bibliotekarzy i księgarzy.

Być może ta liberalizacja stosunku władzy do inicjatyw Kołakowskiego wynikała z przekonania, że jest on już niegroźnym reliktem. Ot, taki dinozaur przesiadujący w kawiarniach: eMPIK, PTTK lub w Prasowej. Najczęściej w towarzystwie swojego rówieśni-



Exlibris Mirona Kołakowskiego autorstwa Stefana Mroczewskiego

ka, radcy prawnego Wacława Maciukiewicza, bibliotekarza z Politechniki Zbigniewa Żmigrodzkiego, plastyków Wojciecha Barylskiego i Jerzego Pogorzelskiego i innych różnorodnych pasjonatów. T.w., pracujących dla SB, też w tym gronie nie brakło, więc założono teżczą ewidencyjną puchła od informacji o „nieprawomyślnych” wypowiedziach. Ale, powiedzmy sobie szczerze, grono tych „nieprawomyślnych” było tak wyizolowane od środowiska częstochowskiego, że w oczach SB nie stanowiło poważnego zagrożenia. W 1978 r. Miron Kołakowski przeżył udar, musiał przez to zrezygnować z życia zawodowego i towarzyskiego.

Tu poprawniej należałoby napisać – musiał i chciał ze względów zdrowotnych zrezygnować. Ale historia takiej szansy mu nie dała. W 1979 r. po pielgrzymce Ojca Świętego gruchnęła sprawa przejścia podziemnego utrudniającego dostęp na Jasną Górę. Pan Miron, jako radca Kurii, nie mógł odmówić pomocy, na szczęście główny ciężar prawnych zmagani wziął na siebie zaproszony przez niego mecenas Andrzej Rozmarynowicz z Krakowa. Nie mógł także pan Miron odmówić pomocy gdy powstawała „Solidarność”, choć był to już inny świat pełny

ludzi przekonanych o własnej mądrości. Wyzwaniem wymagającym też aktywności starego mecenasa, była rejestracja częstochowskiego Klubu Inteligencji Katolickiej. Potem przyszedł czas stanu wojennego. Wraz ze swą starą koleżanką Marią Stypułkowską i młodszym o pokolenie Grzegorzem Kosińskim, stworzył coś w rodzaju pogotowia adwokackiego, zapewniającego każdemu represjonowanemu pomoc.

Doczekał roku 1989 r. i upadku PRL. Przetwał służąc ludziom, ochronił swoje dobre imię. KIK-owcy proponowali, by w wyborach czerwcowych kandydował z listy „Solidarności” do Senatu. Podobno od czasu, gdy przestał być posłem, marzył o powrocie do polityki. Czuł jednak, że jest już za stary, zbyt schorowany... prosił, by go zastąpił za przyjaźnionym krakusem: Andrzejem Rozmarynowiczem.

Zmarł 30 lat temu, 9 stycznia 1993 roku. ■

Dane biograficzne za A. Kasperkiewiczem *Adwokaci regionu częstochowskiego. Słownik biograficzny*. Korzystałem także z udostępnionych przez IPN oddział w Katowicach, akt: IPN 027/260 Kwestionariusz ewidencyjny SENIOR.



W budynku należącego do rodziny żony sklepu optycznego przy Al. NMP 16 Miron Kołakowski otworzył kancelarię adwokacką



Budynek pierwszej, powojennej częstochowskiej uczelni – Wyższej Szkoły Administracyjno-Handlowej, na której także wykładał mecenas Kołakowski



Porozmawiaj z nią

WOJCIECH LIPOWSKI

Zdarza się, że ludzie są dla siebie wielką nieobecnością. Niby blisko a daleko, twarzą w twarz, lecz bez wzajemnego porozumienia. Wszystko, co mogłoby się jeszcze wydarzyć w takich konstelacjach jest przeszłością, zmierza do kresu. Wynika to może z ciągłego poszukiwania samego siebie, rozpamiętywania, jakie jest życie po latach, oddzielających je od projektowanych kiedyś zamierzeń, po których pozostała bezradność wobec osobistych porażek, uwierająca niezrozumiałość własnego losu. W tym uroczu każda próba przewidywania zdarzeń przyszłych, czysto możliwych przypadków nie może odbyć się bez odniesień do przeszłości, która ma ogromny wpływ na to, jak zostaną przedstawione, opowiedziane prywatne historie o wzajemnych relacjach między ludźmi. W wielu wypadkach może się okazać, że to, co tak pieczołowicie scalano, misternie klejono, dawno już rozsypało się niczym stłuczone lustro. Pozostają pytania o sens, jeśli któraś ze stron zechce je postawić, gdyż często unika się niewygodnych pytań (zresztą podobnie jak odpowiedzi).

Znowu z gwarnej ulicy, wieczorem trafiliśmy do tego miejsca i oni na nas czekali. Jakby zawsze tam byli. Bardzo cicho i taktownie. W obrysie rajskiej wyspy. Od razu było wiadomo, że to tylko wybieg, przewrotna metafora, przeciwstawiająca się jej prawdziwemu i ostatecznemu znaczeniu, a może sen, co wyśnił się wszystkim równocześnie z porządku obcego naszej codzienności. Nieważne. Pozwolili nam i sobie po prostu być, nic ponadto. Chłonać, śledzić każdy gest, słowo, spojrzenie, czasem ciszę znaczeń i przeczuwanych racji. Takiego teatru już prawie nie ma, ale przecież na drzwiach jak zawsze Teatr Bez Sceny, a na afiszu najnowszy tytuł *Raj_Wyspa* Tomasza Mana w jego reżyserii, zatem taki teatr nadal istnieje.

To premierowy tekst dramaturga, reżysera, artysty dużo wędrującego po kraju, mającego spory dorobek autorstwa. Wspomnijmy tylko, że zaczął w Teatrze im. Węgierki w Białymstoku przygotowując *Ballady* Słowackiego oraz *Zbrodnię i karę* Dostojewskiego (2000); w Teatrze Polskim we Wrocławiu reżyserował po raz pierwszy

własny tekst, słynną poetką *Katarantkę* (2001); w poznańskim Teatrze Polskim inspirując się *Łagodną* przygotował dramat o trudnościach porozumienia w związku *Historia pewnej miłości*; inny ważny tekst autora to *111* napisany w Laboratorium Dramatu Tadeusza Słobodzianka (2004) opowiadający o przeciętnej rodzinie, w której syn sięga po broń i zabija rodziców, grany w Teatrze Narodowym oraz toruńskim Teatrze im. Horzycy (2007); sztukę o korzyściach płynących z pozytywnego myślenia *Dobrze wyreżyserował* w Teatrze Telewizji; wśród dokonań ma także teksty dla dzieci – *Królewnę Śnieżkę* wystawioną przez Aleksandra Maksymiaka w białskim Teatrze Lalek Białaluka (2014) czy *Zostań przyjacielem* w gdańskim Teatrze Miniatura we własnej reżyserii (2015); wspomnijmy jeszcze produkcje Teatru Polskiego Radia, gdzie zrealizował sztukę *Moja ABBA* (2011) groteskową historię kobiety zakochanej w szwedzkim zespole; biografię Hansa Bellmera *Świat jest skandalem* (2014); autorską opowieść o *Fauście* (2015); *Idę, tylko zimno mi w stopy* (2017); *Mojżesz – Remix* (2018); *Hiob* (2019). Autor ma również na koncie wiele adaptacji teatralnych.

Wróćmy do utworu *Raj_Wyspa*. Wróćmy do nich. To jednak niezwykle, jeśli w teatrze udaje się uczynić tematem sztuki nieobecność, gdy zostaje zaburzony czas, porządek zdarzeń, gdy doświadczający nieszczę-

ścia przemijania widzą wyraźnie, że ich egzystencja przestaje być odczuwana jako nieodwracalna. W sztuce Mana bohaterowie zdają się nie przejmować już czasem, bo niedawno go porzucili stwarzając na umownej rajskiej wyspie nowy porządek znaczeń, nową przestrzeń już tylko dla siebie w ironicznej ramie, pełną niewiomych, kopię świata, który przywieźli w bagażu swoich doświadczeń.

Kobieta i mężczyzna, matka i ojciec, żona i mąż. Zresztą, czy ważne są te wszystkie umowności, role społeczne, kiedy na naszych oczach w tym okrucieństwie scenicznym, miniaturze obrysowanej dyskretnym światłem dokonuje się coś na kształt rekonstrukcji spraw niedawnych, ale przecież usuniętych poza nawias empirycznej codzienności. Dwa porządki świata między nimi, dwie wyspy samotności mimo pozorów miłości, drobnych, niewiele znaczących gestów, niby stojące blisko leżaki a na nich ludzie oddaleni od siebie mile. Man zderzył ze sobą te dwie walczące świadomości, pokazał bardzo udanie jak można istnieć w miejscu pustym, gdzieś pomiędzy, na krawędzi. I nie ma większego znaczenia, jakie słowa zostały wypowiedziane przez mężczyznę i kobietę, czy on zatroszczył się o dzieci, czy ona nagle zapragnęła go opuścić, bo jedno z nich rzekomo uderzył, czy w ogóle coś się wydarzyło, skoro świat znany nam wszystkim do bólu nagle okazał się poraniony, pełen dysonan-



fot. Anna Kornik-Iwan

sów i pospolitych zmyśleń. Prawdziwie zrobiło się dopiero, gdy ona poprosiła, aby zwyczajnie z nią porozmawiał i sprawił, aby wreszcie doszło do zbieżności i pokrewieństw dwóch odległych planet.

Rozmowa się nie klei, spojrzenia, dotyk, próba zbliżenia nie pomagają, wszystko jest sztuczne, mało wiarygodne, a może zaczęła podobać się mieszkańcom tej dziwnej wyspy gra w układanie znaczeń, ale tylko w obrębie narzuconej przez nich logiki, niestety zawodnej, bo użyto niewłaściwych środków. Tak grają Ewa Kutynia i Andrzej Dopierała – mistrzowie scenicznego minimalizmu, zwyczajni, prości, mądrzy, pytający, skłaniający do przemyśleń, refleksji i słuchania, choćby przyszło nam słuchać tylko ciszy. Nigdzie stąd nie uciekniemy, zdają się zapewniać, gdziekolwiek się udamy wraz z wami zawsze będziemy na wyspie, która obrazuje stan podświadomości mieszkańców. A dopiero za ich plecami dramat rodzinny, mniej lub bardziej ważne sprawy wyjęte z powszedniego życia. Dzieci, kłopoty, wygasające uczucie, odmiennianie przez przypadki szczęście, które nie bardzo wiadomo, co dla każdego z nich znaczy i czy w ogóle ma jeszcze jakieś znaczenie, ciągle sugerowanie przez obie strony prawdziwości wypowiedzianych słów niby do siebie, ale raczej obok. Zagrać te wszystkie fragmenty wyczytane z pokruszonego zwierciadła odbijającego życie to dopiero sztuka. Kutynia i Dopierała ulepili coś sporego z tak niewiele okruczeń. A my jak detektywi tropiący pozostawione na piasku ślady tej pozornej małżeńskiej sielanki, co to dramatem w jednej chwili się staje, wyławiamy i zestawiamy niepowiązane ze sobą zdarzenia, by wreszcie spróbować ułożyć to w jakąś całość i zrozumieć czy w tym związku



fol. Anna Korniliuk-Iwan

możliwa jest jeszcze idealna harmonia, porozumienie.

Autor zdaje się być zafascynowany zafascynowanymi powinowactwami dramatycznymi, czasem wbrew psychologicznemu prawdopodobieństwu. Historię dwojga małżonków zbudował z bardzo oszczędnego materiału zdarzeń bazując na paraleli rozciągniętej pomiędzy tymi dwoma ledwo tłącymi się bytami, ich intymnych relacjach, które mienia się odcieniami bezwzględnej prawdy i niepokojącej wzajemnej szczerości. Reżyser ilustruje przy tym materię realizmu wielobarwną kompozycją obrazu sceny. Sergiusz Brożek, reżyser światła, po raz kolejny pokazał, jak można podporządkować znaczenie barwy stanom, wrażliwości, nastrojowi bohaterów. Szczególnie motyw czerwieni w niektórych scenach niezwykle sugestywnie eksponuje narastanie agresji lub namiętności. Inne dominanty barwne współtworzą natomiast nastroj niepokoju poczucie zagrożenia, rezygnacji, lęku. W tak skromnej, su-

rowej adaptacji niewielkiego tekstu ma to istotne znaczenie podobnie jak niezwykle oszczędna, ale dobrze wkomponowana w przestrzeń spektaklu scenografia i kostiumy Anetty Piekarskiej-Man.

Do czego doszliśmy w końcu, gdy wszystko zostało już wypowiedziane, choć przecież niewyjaśnione i załatwione pomiędzy ludźmi tworzącymi ten związek? Czy możliwe, aby po niespełna godzinie, co to w nieskończoność nam się wydłużyła, możliwe stało się udzielenie odpowiedzi na postawione w sztuce pytania? Trudny do pojęcia tragizm ludzkiego świata, choć zewnętrznie rajski i pozornie szczęśliwy, jak na wspomnianej wyspie, tak naprawdę u Mana jest podszyty przeświadczeniem, że zgoda na fałsz w relacjach międzyludzkich nigdy nie doprowadzi nikogo do istnienia autentycznego wypełnionego szacunkiem i miłością. Pozostanie wędrówka w mglistą przepaść bytu, chociaż bohaterowie tej sztuki zatrzymali się w połowie drogi i odnaleźli własne, możliwe szczęście.

Pogodzeni z naporem nicości, absurdem życia, spokojni, odrodzeni zrozumieli wreszcie, gdzieś na skalistym brzegu wyspy pośród ascetycznej scenarii okolonej niewidocznym morzem, że istnieje w ludzkiej naturze niewytłumaczalne, destrukcyjne zło, którego nie sposób wyjaśnić, zrozumieć, które można pokonać uczuciem, słowem, ale tylko pod warunkiem, że ktoś zechce rozpocząć dawno odkładaną rozmowę i przerwać pełne napięcia milczenie. ■

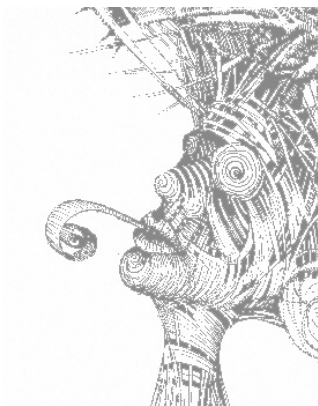
Raj_Wyspa

Tekst, reżyseria i muzyka Tomasz Man

**Teatr Bez Sceny w Katowicach
Prawdziwa premiera polska 9 grudnia 2022**

fol. Anna Korniliuk-Iwan





ŚLĄSKA OJCZYZNA POLSZCZYZNA

JAN MIODEK

Naschwol

Gdybym miał wyznaczyć, którego typowo śląskiego słowa używam najczęściej – przynajmniej w myślach – niż formy standardowej, ogólnopolskiej, na jednym z pierwszych miejsc musiałbym wymienić *naschwol* – występujące w naszym regionie także w wariantywnych brzmieniach *naskwol* i *nasfol*, a znaczące tyle, co „umyślnie, celowo”. „A ón mi naskwol wyłol atrament na ksióznka” – czytamy na str. 161 „Małego słownika gwary Górnego Śląska” z roku 2000 Bożeny Cząstki-Szymon, Jerzego Ludwiga i Heleny Synowiec. Leksykon ten rejestruje jeszcze jedno znaczenie tychże form, a mianowicie „na niby, dla żartu”, np. „Wy tego niy godocie naprowda, ino naskwol, pra?”.

W tytule dzisiejszego odcinka zdecydowałem się na wariant z „ch”, bo jest on fonetycznie i etymologicznie najbliższy wyrażeniu *na schwał* – znaczącemu tyle, co „będący nad wszelką pochwałę, godny podziwu; co się zowie” (*chłop na schwał*).

O tym ostatnim pisał prof. Aleksander Brückner w swym „Słowniku etymologicznym języka polskiego” z roku 1927 – w haśle *chwała*, zaopatrzonemu w wyrazy pokrewne *chwałka*, *chwalić*, *chwalba*, *chwalebny*, *chwalny*, *bałwochwalca*: „*naschwał* (pisownia łączna – dopisek mój – J.M.) – „na umysł, umyślnie” – w 16. i 17. wieku, dziś nieznanie” (str. 186).

Ależ znane, nawet doskonale znane mowie śląskiej, to jej kolejna staropolska skamielina leksykalna! – chciałyby się z wykrzyknieniem skomentować wywód wielkiej historii języka.

Bezprzymiowa forma *schwał* natomiast w dawnym języku oznaczała „przechwałkę”: „Na schwał tylko co mieć, kupić” – czytamy u Grzegorza Knapskiego (1564-1638). W połączeniu zaś z przymikiem *na* znaczyła

tyle, co „bardzo, wybornie, wyśmienicie”: „Przykrył dom kamieniem drogim na schwał” (Biblia brzeska z roku 1563), „Na schwał cudne niewiasty” (Marcin Bielski 1495-1575). Te ostatnie użycia są już bardzo bliskie współczesnemu *na schwał* – „godny podziwu, co się zowie”.

Należałoby jeszcze dociec, jak się ma robienie czegoś *naschwol*, czyli „umyślnie, celowo”, do należącego do tej samej rodziny wyrazowej *chwalenia*. – Myślę, że można tu znaleźć element wspólnoty znaczeniowej: wszak w celowych, umyślnych działaniach – często na pokaz, na (tani) poklask – jest coś pokrewnego z szeroko pojętym chwaleniem się.

Wróćmy teraz do jednego z przywołanych na początku odcinka cytatów z „Małego słownika gwary Górnego Śląska”. Kończy się on pytającym *pra?* Jest ono, oczywiście, słotwórczym ucięciem pełnej formy *prawda?* W śląskiej godce *pra* pojawia się jednak nie tylko w takiej funkcji składniowej. Jak precyzyjnie to określa leksykon Cząstki-Szymon, Ludwiga i Synowiec na str. 198, *pra* „jest używane w zwrotach kończących wypowiedzi, które potwierdzają sąd wyrażony wcześniej, np. Łóni to już widzieli, pra; Wyście tam byli, pra.

Podsumowując, można jeszcze powiedzieć, że śląskie *pra* to wyrazowy przerywnik toku mowy, ściśle odpowiadający standardowemu *prawda*. Znałem w dzieciństwie tarnogórczan, którzy używali *pra* w tych samych momentach, w których po *prawda* sięgają moi późniejsi, wrocławscy znajomi (a i mnie się, niestety, często przytrafia nadużywanie owego wyrazu-składniowego przerywnika...).

Dopowiedzmy, że pełna forma *prawda*, w fonetycznej wersji śląskiej *pro-*

da, *prołwda*, pojawia się w jakże charakterystycznej dla naszego regionu postaci *to nie ma prawda* odpowiadającej standardowej składni *to nie jest prawda*, np. „To niy ma prowda, co godali w telewizorze ło naszej grubie” („Mały słownik...”, str. 199).

Wracając zaś do form skróconych – takich jak *pra*, muszę wspomnieć moją Babcię Miodkową, która bez przerwy używała – urobionego od *widzisz* – uciętego a podwojonego *dzis, dzis!*, czyli „widzisz, widzisz!; popatrz, popatrz!; zobacz, zobacz!”.

W powszechnym użyciu jest też w naszym regionie czasownik *padać* – ucięcie powstałe z pełnego *powiadać*, obecne w konstrukcjach typu „Pedziołech Ignacowi, że wygroł w toto-lotka”, „Dziółchy mi pedziały, że mi fajnie w tym ancugu”, „Niy padej, takie to bóło fajne?”, „Niy padejcie, to Frida się wydała?”, „Padać kómu za jedno, za dwoje, za troje” („Mały słownik...”, str. 179, 182).



rys. Bogna Skwara

Dziesiąty pierścień

RYSZARD JASNORZEWSKI

Bohaterowie mitów, baśni i legend sportowych są zazwyczaj schematyczni i z góry określani. Ale najbardziej prawdziwi są wtedy, gdy przegrywają. Nie tylko za przyczyną wynikających z tego porażek. Bez trudu dostrzegamy w nich samych siebie, niezależnie, czy budzą w nas podziw, czy niechęć – wiele uzasadnionej niechęci.

Według Amerykanina Wrighta Thompsona, autora zbioru reportaży *Cena naszych marzeń*, w przygodach sportowców można dostrzec pewien wzorec – jak wzorec metra w Sevres – porażki. Sukces bywa okrutny i nie do odwrócenia. Płaci się za każdą wygraną nad sobą. Być może z tych powodów, że tego rodzaju wygrana jest równoczesna z porażką ze sobą – mniej lub bardziej dotkliwą. Skądinąd w polszczyźnie „płacić” rymuje się z „płaczem”, co dowodzi emocjonalnych skłonności słownika, z którego korzystamy na co dzień.

Reguły nie każdej profesji bohatera tekstów Thompsona są całkowicie przejrzyste. Nie ma jednak znaczenia, czy chodzi o wybitnych graczy futbolu amerykańskiego bądź bejsbolu, czy o znacznie nam bliższych piłkarza Leo Messiego lub koszykarza Michaela Jordana. Autor opisyje nie tyle kariery i osiągnięcia, ile ich niedostrzegalne, z jakiegoś punktu widzenia utajone, wątki. Porażka nie wyróżnia żadnego sposobu uprawiania sportu i nie zna granic. Jest uniwersalna i sprawiedliwa zarówno dla zawodników, jak i trenerów. Nie omija tych, którzy odeszli na sportową emeryturę. Naznaczyła umarłych, którzy pozostawili trudne dziedzictwo swoim dzieciom.

Bohaterowie filmów kategorii B mają łatwiej. Ktoś znajduje magiczny kryształ albo zostaje porażony dziwnymi promieniami i zyskuje nadludzkie moce, albo spotyka w kosmosie obcych i zdobywa niezmierną wiedzę. Dzieje im się tak z dnia na dzień, a niejednokrotnie z godziny na godzinę. Z minuty na minutę otrzymują nową tożsamość. Nawet jeżeli czegoś żałują, to na marginesie scenariusza.

Sportowcy muszą wierzyć, że urodzili się nadzwyczajni, że są najbardziej utalentowani, niepowtarzalni i jedyni. Wybranych utwierdza w tym przebyta droga. Inni, a jest ich bez liku, żyli tylko snem, żyli we śnie o potęgę. Niespełnienie szczególnie bliskie jest tym, którzy pozostawili jedynie własną nieobecność. Oto Jim Robinson – „Słodki Jimmy” – kiepski bokser. Nie wiadomo, jak żył i kiedy umarł. Wiadomo o nim tylko tyle, że w lutym 1961 roku zmierzył się na zawodowym ringu z Muhammadem Alim, znanym jeszcze jako Cassius Clay. Przegrał przez nokaut. Jego obecność na ringu trwała dziewięćdziesiąt cztery sekundy. Przegrał pojedynek bokserski z przyszłym mistrzem. Jego obecność w legendzie o Alim be-

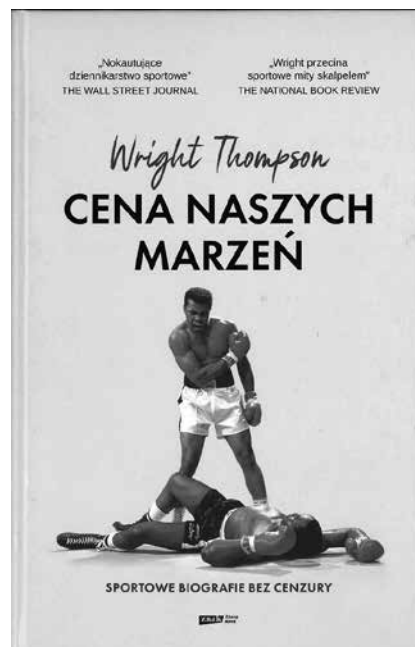
dzie trwała dziewięćdziesiąt cztery sekundy. Oto Tony Harris, koszykarz zarabiający na życie grą w lidze brazylijskiej. Zginął w dżungli, prawdopodobnie popełniając samobójstwo. Bardzo się bał. Nie tylko wówczas. Bał się na ulicy, w pokoju hotelowym, nawet w szatni i na koszykarskim parkiecie. Był przekonany, że wszyscy go śledzą i planują zgładzić. Uciekł przed światem, bo najbardziej bał się świata. Uciekł przed własnym przeznaczeniem (ktoś wspominał, z uwagi na okoliczności, o podobieństwie losu Harris z losami bohaterów Conrada). Jak wiadomo, taka ucieczka jest niemożliwa.

Oto Leo Messi. Oto Rosario, miasto, gdzie piłkarz się urodził i gdzie brylował w lokalnej drużynie. Oto miasto, które opuścił jako trzynastolatek. Wyjechał do Hiszpanii, zyskał status gwiazdy. „Zamienił dzieciństwo na sport, który uprawia (...)” – pisze Thompson – z dziecięcym zapałem. Wciąż wraca do miejsca urodzenia, do bliskich i przyjaciół, jakby coś pozostało pęknięte, niedokończone. Jest październik 2012 roku. Pobratymcy Messiego mają dystans do jego osiągnięć. Mówią, że nie jeszcze nie wygrał z drużyną narodową. Prawie dokładnie za dekadę to się zmieni, ale tego jeszcze nikt nie wie.

Claudia Williams napisała właśnie książkę o ojcu, bejsboliście, który wygrał wszystko oprócz domu rodzinnego. To jej odpowiedź na stratę, to jej odpowiedź na pytania, których nigdy nie zadała. Ted Williams zmarł w 2002 roku i jego ciało zostało zamrożone. Może kiedyś spotka się jeszcze z Claudią i jej rodzeństwem. Może wszystko się zmieni, może nie. Jeszcze wcześniej umarł Bear Bryant, sławny trener futbolistów Uniwersytetu Alabama. Billy Verner, kierowca i ochranarz Bryanta, cierpi na demencję. Liczne zdjęcia o czymś mu przypominają i już po chwili nic nie znać, jakby pamięć wciąż pozostawała w tym samym miejscu, ale już była martwa.

Nowy Orlean, spustoszony w 2005 roku, to „miasto żywych i umarłych”. Wygrana drużyna „Świętych” w finale futbolowego Super Bowl była symbolem odrodzenia po huraganie Katrina, ale po latach już nic nie znaczą. Trzeba odbudować miasto i zbiorowe nadzieje, pokonać osobiste rozczarowania. Gdzie indziej, w Chicago, na zwycięstwo w Super Bowl czekali sto osiem lat. Mieszkańcy świętują. Ginny Iversen zmarła kilka dni wcześniej. Mary, jej córka, powiadomiła rodzinę i przyjaciół: „Zła wiadomość jest taka, że moja mama odeszła, a dobra, że na boisku jest kolejny anioł?”

Michael Jordan nadal chciałby być koszykarzem, a golfista Tiger Woods, gdyby mógł, zostałby komandosem. Drużyna futbolowa Uniwersytetu Missisipi nie jest już ostatnim szwadronem armii Konfederatów,



a na kampusie nikt nie wspomina zamieszek rasowych, które wybuchły w 1962 roku. Pata Riley, menedżera zespołu Miami Hit, oczekuje kolejny trudny sezon. Nie zdobędzie dziesiątego pierścienia zwycięzcy NBA. Były mistrz Dan Gable walczy o dobrostan zapasów jako olimpijskiej dyscypliny i ciągle na nowo skleja własną rodzinę. W fabułach sportowych Thompsona gry sportowe przecinają się z grammi psychologicznymi. Chwilami brzmi to jednak aż nadto naiwnie i banalnie: „Najciekawszy w ludziach jest kontrast między tym, jak postrzegają samych siebie, a tym, jak widzą ich inni ludzie.”

W ostatnim szkicu autor wędruje po golfowym polu Augusta, miejscu turnieju Masters – jak co roku, ale odmiennie i wyjątkowo, bo dla zmarłego ojca, w jego imieniu. W międzyczasie Urban Meyer, wybitny trener futbolowy, związał się umową z Uniwersytetem Ohio. Podpisał także inny kontrakt – złożony z dziesięciu punktów – z najbliższymi: „1. Rodzinę będę stawiał na pierwszym miejscu. (...) 10. Będę jadł trzy posiłki dziennie.” Ludzie sportu podejmują się różnych czynów i składają wiele obietnic. Często ich nie dotrzymują. Podobnie czyni to w postępowaniu z nimi życie. ■

Wright Thompson: *Cena naszych marzeń*. Sportowe biografie bez tajemnic. Przełożyli Marcin Sieduszewski i Lucyna Wierzbowska. Wydawnictwo Znak Literanova, Kraków 2022, s. 430.

Ludzie z innej planety (1)

ZBIGNIEW KADŁUBEK

„[...] na przystankach obserwowałem ludzi z innej planety”

Zygmunt Haupt
w Katowicach w 1937 roku

Kpiny z Górnego Śląska to piękna polska i niemiecka tradycja (literacka, bo w naukach technicznych jej nigdy nie zauważyłem). Drwina z obcości mojej śląskiej obczyzny ukochanej to źródło mych cierpień. Dobrze, bez patosu. Jednak zawsze trochę boli, kiedy ktoś plecie o Górnym Śląsku bzdury. Niewytłumaczalny znak – ta śląska sprawa. Prezencja prowincjonalna dla każdego przybysza. Szczególnie być może dla staranniejszego (choć nie wiem, czym dzisiaj byłoby wykształcenie!). Ale gdy się jeszcze zdarzy, gdy się zdarzy, że jeszcze raz przeczytam lub usłyszę, że Górny Śląsk to *terra incognita*, popełnię samobójstwo, skacząc z jakiejś skały w Jurze. Na przykład gdzieś blisko Rzędkowic.

Przenieśmy się w czasie. Przykład. Ale wcześniej moje narzekanie. Jakimż trzeba być ignorantem, żeby zanotować zdanie: „mały skrawek ziemi polskiej, jakim jest Śląsk, ma w sobie kontrasty głębokie”? Mały skrawek! A cóż to za poetyka pomniejszenia? Wielkopolskiej mikrologii turystycznej! A jakież to wielki patrzy na małe? Co ma w głowie wielki, że małe jest poza tym, co zna jako duże? Co za panisko ujrzało maluczkiego? Kolonizatorski cep.

Górny Śląsk w literaturze oraz tak zwanej *opinio communis*, zarówno wśród Polaków, Niemców, jak i Czechów, to butno-brudny kraik (biorę medialne przekazy w tej chwili pod uwagę na przestrzeni – powiedzmy – ostatnich dwustu lat). Górny Śląsk musi być mały, bo wtedy łatwo go rozgnieść. Albo brudnym paluchem przykryć na mapie. Górny Śląsk musi być mały, bo wtedy państwa duże mogą go mieć, chcieć, brać, zawłaszczać, wykorzystywać i tak dalej. To swoista etniczna, geograficzna oraz polityczna pedofilia. Państwa muszą być duże, mieć przewagę, a Śląsk musi pozostać malusieńki jak Jezusik w Betlejem. Ubożuchny jak *bjydno betlyjka*. Ze słomką, szopką, siankiem, kiczem, gwiazdeczkami. No, przykro mi, że tak mówią, że tak mówię. Duże kraje, potężne państwa, wspaniałe nacje mają obywateli pięknych, roślących, pachnących, wykształ-

conych, urodziwych, wysławiających się zgrabnie, abstynentów, głęboko wierzących (w różne bałwany), dobrze ubranych, ludzi z manierami, trzymających widelce właściwie, wznoszących puchary ze znanostwem ojnologii, młasczących cichutko; szlachciców bez skazy, szlachcianki z rzęsami długimi, gęstymi. Ślązacy – przeciwnie. Krzywi, kaprawi. Ślązaczki sponcone. Niewykształcony lud (bo przecież nie społeczeństwo lub obywatele), zdeformowani ciężką pracą, bekający oparami piwnymi, bąkający coś ni to po polsku, ni to po niemiecku. Z tłustymi resztkami krupnioków na brodzie, splaszczający samogłoski (jak gdyby wciąż garłowe imadło dokrecało do końca „ą”, „ę”).

Nawet w krzysie paliwowym prawdziwe karbonowe *szmyrussy* ci Ślązacy; nieczytający Cycerona; zamiast recytować „Litwo! Ojczyzno moja...”, strzygą trawniki do gołej ziemi, malują płyty; nieorganizowani, ssący kopalnioki nawet we śnie z obrzydliwym pomlaskiwaniem; mylący poszetki z szaszetkami. Słowem: tamci – kulturalni, elegancy, wyrafinowani, kimkolwiek by byli, a Ślązacy – szpetni.

Bawmy się dalej, hiperbolizując lub cytując. „Na Śląsku mnie interesowało zagadnienie pracy” – autor tych słów, mimo że wcześniej śląskość pomniejszył, a nawet, mym zdaniem, zdyskredytował lub też umieścił w tak zwanym dyskursie kolonialnym, nagle coś tak pięknego wpisał do swego kajecika. Bo być może właśnie praca – nie jako trud, pot i znój, lecz jako pewna forma powołania dla Ślązaków była (i pozostaje) czymś eschatologicznym. *Sznit* śląskości, jaki się jawi, to specyficzna, swoista, niepowtarzalna forma dyscypliny. Nie wchodziłbym w zagadnienia socjologiczne ani etyczne w tej chwili: zastawmy je na kiedy indziej. Praca (nie robota, „robotstwo”, harowanie, znój) to wprawiony w twardą materię mistycyzm. Coś podbijającego materię wyżej. Miałby tu może Luter rację, że ta śląska gorliwość współpracy z materią i światem to coś niewidzialnego, jakkolwiek jej skutki widoczne są gołym okiem.

Zachwyt tym śląskim mistycznym materializmem autor zapisków, cytowanych wyżej, wyraził też w taki sposób: „[...] wyrwawszy się późno, dobiegałem do Żor ciemną nocą. Droga szła puszcza, idąca z obu stron drogi na wiele kilometrów. To – Lasy Pszczyńskie.

Sądzę, że jest to jedyna tura w Polsce, gdzie jedzie się dużymi lasami po świetnej asfaltowej szosie, po której, mimo nocy, byłem w stanie trzymać bez trudu po sto kilometrów na godzinę całymi partiami”. Aha! To dziwna i egzotyczna prowincja ma proste drogi! I już wiemy, że autor cytowanych cały czas przeze mnie fragmentów, przyjechał z dużego państwa słynnego z bezdroży. Klisza? – Może ich klisza.

Żory, moje miasto, z atencją więc wybieram ten fragment z tekstu ciągle przytaczanego pisarza! Ale popatrzcie, jak szybko da się tym autemjechać w roku 1932. Cóż to za zapyziałe miejsca i puszcze, gdzie setką się jedzie po nocy? Takie drogi, taki asfalt z dala od polskiej nadcivilizacji! W głowę zachodzę, że przeżył, bravo!, i cieszę się, że się Pszczyną zachwycił; że bór ujrzał, i że bór i szosa tak blisko siebie. I dumny jestem, że taki ten Śląsk zielono-techniczny, egzotyczny i nowojorski; i taki mały, a taki świetny. Tu się spotykają, oczywiście, potoczny i realny punkt widzenia. Opisane doświadczenie prucia przez knieję pozostało tak pięknym wspomnieniem dla kierowcy. Duma mnie rozpiera.

Kominy były i dym, potem gładka szosa. Była puszcza ciemnozielona, było jedno z najstarszych miast – Żory z gotyckim kościołem świętych Filipa i Jakuba Mniejszego, no, a teraz kurort i balneologia. Tak różnorodny jest tenże Śląsk. Nie zgadnicie, kogo spotkał nasz diarysta – w osobie własnej: doktora Witczaka. Przyjechał do Jastrzębia-Zdroju, do łązienek, do wód. Można się nawdychać trujących oparów, za chwilę trochę odetchnąć i podleczyć hydroterapeutycznymi metodami księdza Sebastiana Kneippa, zagubić się w bukowym lesie, uważając, by nie wpaść na żubra. Prastare z nowoczesnym, leśne z hutą, gęste z gęstszym, żywe z żywszym. Zaiste, tu miał rację ten pan – kontrasty głębokie. Nie z tej planety.

Autor, kierowca, którego tu cytowałem z lubością oraz niedowierzaniem, ironicznie, złośliwie, z przyjemnością i ze wstrętem, to Melchior Wańkowicz. Fragmenty jego krótkiego szkicu z 1932 roku. Lubilem dawno temu Melchiora Wańkowicza, a Melchior Wańkowicz chyba polubił Śląsk prawie sto lat temu, a przynajmniej jego szosy, „którym równych – jak zaznaczyć raczył – nie ma ponoć Europa”. Zresztą nie idzie o asfalt.

Tadeusz Sierny (1952–2022)

Wspomnienia przyjaciół

Są ludzie, do których pasuje określenie „dusza towarzystwa”. Tadeusz Sierny był duszą środowiska, a to zasadnicza różnica. Miał nieprzeciętną osobowość, był człowiekiem, który zdawał sobie sprawę z nieuchronności przemian, jakie zachodzą we współczesnym świecie i z tego, że nie wszyscy i nie w tym samym stopniu za tymi przemianami nadążają. Śledził rosnące napięcie między tym, co globalne a tym, co lokalne w przeświadczeniu, że nie ważna jest retoryczna formuła równoważności, ale realna możliwość przetrwania historycznie ukształtowanych mikro kultur, poddawanych presjom unifikacji. Był przekonany, że bez zaplecza regionalnego pojedynczy człowiek ma kłopot z odpowiedzią na pytanie, kim jest i jaki jest podstawowy kanon jego życiowych wartości, a więc wszelkiego rodzaju prace na rzecz środowiska mają swój sens i swoje uzasadnienie.

Podstawowym obszarem profesjonalnej aktywności Tadeusza Siernego stały się wydawnictwa regionalne, a Jego ambicją promocja Śląska jako regionu wyjątkowego i generującego interesujące propozycje kulturalne. Po kilkuletnim zatrudnieniu w Uniwersytecie Śląskim rozpoczął pracę w Wydawnictwie „Śląsk” i czasopiśmie pod tym samym tytułem. Świadomie skoncentrował się na podtrzymaniu tradycji wypracowanych przez znakomitych poprzedników: na utrzymaniu i pogłębianiu znaczenia lokalnych wydawnictw naukowych i kulturalnych. Gdy stopniowo przejmował tę spuściznę, czas ogólnoustrojowych przemian i warunki ekonomiczne nie sprzyjały rewolucyjnym eksperymentom. Początkowo Jego indywidualne doświadczenie było stosunkowo niewielkie. Ale okazało się, że potrafi utrzymać i poszerzyć środowisko osób związanych z redakcjami, że czynnie działa w Górnośląskim Towarzystwie Literackim, że skupia wokół siebie wiele osób, które niekiedy sporo o sobie wiedzą i bywają ze sobą zaprzyjaźnione, ale też często nie znają się osobiście lub nie podtrzymują ze sobą kontaktów. Stał się swego rodzaju pośrednikiem między różnymi środowiskami (akademickim, dziennikarskim, politycznym, teatralnym) i instytucjami, w tym bibliotekami, wydawnictwami, stowarzyszeniami społecznymi, instytucjami i domami kultury.

Był człowiekiem skromnym, na pierwszy rzut oka nie rzucającym się w oczy, a jednocześnie pierwszoplanową osobą drugiego planu. Należał do tych, bez których pewne mechanizmy społeczne w naszym województwie nie mogłyby tak sprawnie funkcjonować. Oczywiście zakres Jego działań i podejmowane decyzje nie wszystkich satysfakcjonowały, nie zawsze też zgadzały się z indywidualnymi wizjami rozwiązań, jakie wybrałoby Jego współpracownicy czy oponenci. Wszystkie decyzje podejmował jednak z ogromnym poczuciem odpowiedzialności. Bez zbędnych narzekań pokonywał ekonomiczne i merytoryczne trudności związane z prowadzeniem i wydawnictwa naukowego, i miesięcznika społeczno-kulturalnego, sprawiając, że stały się one wizytówką regionu. Nieustannie odbywał wielogodzinne konsultacje z osobami manifestującymi różne poglądy i stanowiska. Umiał korzystać z ich rad, interesowały Go opinie na temat rozwiązań skutecznych i możliwych do zastosowania w nieustannie zmieniających się warunkach politycznych i ekonomicznych. Można powiedzieć, że należał do wygasającego plemienia „ludzi instytucji”, ludzi, którzy samą

swoją obecnością gwarantowali trwanie i w miarę sprawne funkcjonowanie tego, co odziedziczyli po swoich poprzednikach lub tego, co stworzyli sami.

Wielokrotnie miałam okazji z nim rozmawiać, należał do grona moich najbliższych przyjaciół. Poznaliśmy się w listopadzie 1975 na zebraniu założycielskim Zakładu Teorii Kultury i Polityki Kulturalnej. Tadeusz był jednym z pierwszych absolwentów śląskiej humanistyki, zatrudnionym wówczas na stanowisku stażysty. Pracowaliśmy wspólnie przez kilka lat nie stroniąc jednocześnie od bardzo wówczas dla nas wszystkich ważnych pokoleniowo kontaktów towarzyskich. Zażyłą przyjaźń utrzymywaliśmy, gdy Tadeusz związał się zawodowo z wydawnictwem, gdy robił doktorat na Wydziale Nauk Społecznych, gdy skutecznie realizował plany rozwoju kierowanych przez siebie instytucji, gdy nie rezygnował z akademickiej pracy dydaktycznej. Bardzo lubił kontakty ze studentami; ci, którzy mieli okazję spotkać Go w roli nauczyciela wspominają z atencją zarówno jego erudycję i wysokie kompetencje merytoryczne, jak i sprawność retoryczną czy subtelność, z jaką potrafił uzupełniać luki w wiedzy swoich słuchaczy.

Niejednokrotnie prowadziliśmy na uczelni, w moim mieszkaniu lub siedzibie wydawnictwa wielogodzinne dyskusje, których uczestniczyli także i Eugeniusz Jaworski, i Miłka Mokranowska, i Grażyna Wilk. Omawialiśmy bieżące problemy, projektowali działania. Znaczną część swoich książek opublikowała w Wydawnictwie „Śląsk”, a Tadeusz za dbał także i o to, by doprowadzić do ukazania się monografii Eugeniusza, poświęconej budownictwu ludowemu. Niestety, Obaj nie zdążyli zobaczyć ostatecznego efektu tych starań.

Tadeusz Sierny był człowiekiem skromnym, nie lubił się fotografować, z rzadka zasiadał w pierwszym rzędzie, ale miał świadomość swojej misji i głębokie przeświadczenie, że o wartości należy walczyć. Walczył o nie do końca i z heroicznym uporem. Był jednym z najuczciwszych i najdzielniejszych ludzi, jakich udało mi się poznać. Konwencjonalne sformułowanie „będzie mi go bardzo brakowało” pasuje i zarazem nie pasuje do sytuacji, w której poczucie dojmującej pustki i niedowierzania walczy o lepsze z żalem i głębokim poczuciem straty. Straciłam Przyjaciela; Śląsk stracił nieocenionego rzecznika swojej kultury.

EWA KOSOWSKA

Nie pamiętam Tadeusza z okresu naszych studiów, był studentem jednego z niższych roczników. Bliżej poznałam Go, kiedy rozpoczął pracę w Uniwersytecie Śląskim. Podczas spotkań towarzyskich komplementowałam jego gęste i długie rzęsy, których mogłaby mu pozazdrościć niejedna młoda kobieta. Powtarzałam to często, był to stały motyw rozpoczynający niemal każdą naszą rozmowę; Tadeusz przyjmował to z nieklamany wdziękiem, zawsze odparowując zaczepkę jakimś dowcipem. Zdarzało się nieraz, że spotykałam go u mojej przyjaciółki Ewy Kosowskiej i wtedy z ogromną przyjemnością słuchałam jego wywodów i opowiadań o ciekawych sprawach i ludziach. Był zawsze zdumiewająco rzeczowy, potrafił trafnie ocenić różne wydarze-

nia, bardzo spokojnie i bez irytacji mówił o trudnych problemach życia społecznego i kulturalnego. Nawet, gdy nie zgadzał się z interlokutorem umiał go słuchać i argumentować celnie swoje stanowisko. Szczególnie ciekawe rozmowy prowadził z Eugeniuszem Jaworskim. Szybko odkryłam, że jest prawdziwym znawcą zagadnień dotyczących kultury i literatury, nie tylko polskiej; zdumiewał mnie swą wiedzą o Śląsku i towarzystwach kulturalnych działających na tym terenie. Jednak najlepszą okazją do poznania nieznanego mi wcześniej oblicza Tadeusza – pełnego swobody dyskutanta, kompana i humorysty – była wspólna wyprawa do Francji na VIII Międzynarodowe Sympozjum Biografistyki Polonijnej w Stella-Plage, Vaudricourt (VIII Symposium Internationale de la Biographie de la Polonia) 2–3 października 2004 roku. Na temat każdego wystąpienia referatowego miał wiele do powiedzenia. Umiał również, ze stoickim spokojem, pocieszać, a nawet rozbawiać współtowarzyszy podróżni, gdy autokar zaczął ujawniać kłopoty techniczne.

Ostatni raz spotkałam go w lutym 2022 r., wiedział, że dopadła go ciężka choroba, mówił o tym aluzyjnie, z wdzięcznością wspominał o wsparciu, jakie miał ze strony Rodziny. Bardziej niż stanem swojego zdrowia zdawał się być jednak zatroskany losami Wydawnictwa. Wszyscy wiedzieliśmy, że dzielnie zмага się z cierpieniem, ale chyba nikt nie przypuszczał, że tak szybko przyjdzie nam pożegnać Go na zawsze. Wraz z nim odeszła pewna epoka w dziejach kultury naszego regionu.

ZDZISŁAWA MOKRANOWSKA

Niektóre znajomości czy relacje międzyludzkie mają wyraźnie określoną dominantę – jakiś temat czy specyficzny charakter. To krótkie wspomnienie poświęcone jest postaci dra Tadeusza Siernego, z którym miałam przyjemność rozmawiać z rzadka, ale nie były to zdawkowe, nic nie znaczące wymiany zdań, ale dyskusje – a może lepiej: współdiagnozy (bo nie miały charakteru sporów czy wymiany kontrargumentów) dotyczące kultury śląskiej, kultury Śląska, kultury Ślązaków. Był w tym zakresie znawcą wybitnym – przenikliwym obserwatorem o olbrzymiej wiedzy historycznej czerpanej nie tylko z lektur, ale i wypływającej z osobistego doświadczenia człowieka zanurzonego w żywiole kultury własnej, choć jednocześnie wobec niej życzliwie krytycznego. Nie skupiał się imaginatorium potocznym i przyziemnym. Interesował Go palący i bolący problem braku namysłu nad przestrzenią społeczną Śląska. Dezintegracji wartości historycznych nie przeciwstawia się – jego zdaniem – nowego, alternatywnego projektu scalającego ani zmodernizowanej paidei. W braku świadomości potrzeby racjonalnego projektowania i budowania Śląska jako obszaru wartości lokalnych – specyficznych i oryginalnych, ale także ponadlokalnych – cywilizacyjnych dostrzegał zagrożenie dla kultury rozumianej głęboko jako konfiguracja wzorów, postaw i wyobrażeń. Jego śmierć jest dla kultury Śląska stratą niepowetowaną.

ANNA GOMÓŁA

Był moim kolegą. Dobrym kolegą, świetnym kolegą, mądrym kolegą, serdecznym i życzliwym kolegą. Przez wiele lat nie wiedziałam, że mam w nim przyjaciela, więc nigdy go tak nie nazwałam.

Znaliśmy się od 30 lat, ale zbliżyliśmy się dopiero wówczas, kiedy zaproponowałam wydawnictwu „Śląsk” książkę o radości czytania „Wariatka, która czyta”. Nie boisz się tytułu, zapytał. Będą mówić, żeś wariatka. Nie takie rzeczy o mnie mówili, powiedziałam.

Każdą rozmowę zaczynaliśmy od tego, co nas boli, ale szybko ustaliliśmy, że skupimy się tylko na jednym bólu. A potem już było coraz weselej. Przeskakiwaliśmy z tematu na temat, od książek, do teatru, od wspólnych znajomych do dzieci, czyli wnuków, które tak bezczelnie szybko dorastają, że przy okazji i my musimy się pogodzić z upływającymi latami. Śmiał się w głos z moich anegdot ze spotkań autorskich. Lubił słuchać, kiedy opowiadałam, co czytam i jak to przeżywam. I dlaczego tak lubię Szymborską, i dlaczego Różewicza ominął Nobel, i dlaczego ten Cortazar i Roman Gary mną zawładnęli przed laty. I co takiego w Pilchu dostrzegam, a co w Fallaci, i o tajemnicy Ireny Conti (Gelblum), którą wspólnie znaleźliśmy a każdy inaczej. Ciekaw był tego jak ogarniam codzienność, jak nadążam za zmianami, i jak to robię, że chce mi się te szarlotki wypiekać.

Potrafił słuchać, a to sztuka, szczególnie kiedy wśród rozmówców ma się zneurotyzowanych poetów. Pochylał się nad każdą książką o Śląsku. To dzięki Tadeuszowi poczułam, że moja pod tytułem „Katowice nie wierzą łzom” jest arcyważna. Przecież twoja opowieść jest z każdej strony oryginalna, nie było jeszcze takiej książki, dodawał mi odwagi. Ale tytuł trudny do wymówienia, to „ą”, a zaraz obok „om”, może wymyślę inny, sugerowałam. Tytuł jest dobry, niech czytelnicy ćwiczą dykcję, podsumował.

I jak to tak, Tadeuszu? Przecież mówiłeś, Tadeuszu, że nie boli i wytrzymasz, choć to terminalne. No, ale w końcu każdy ma jakieś terminy, mówiłeś. Przecież umawialiśmy się, że w grudniu przyniosę do redakcji szarlotkę z szarych renet. Więc jak to tak bez Ciebie?

Gdziekolwiek teraz jesteś, i tak Cię nie ma.

Boli myśl, że nigdy więcej Cię nie zobaczę, nie usłyszę, i że już nic nie zaplanujemy, i nie wywrócimy wspólnie tej literatury na drugą stronę.

MARTA FOX

Tadeusza i Jego żonę bliżej poznałem na wakacjach 1980 roku. Wspólnie z naszymi rodzinami przebywaliśmy wówczas w Kozubniku koło Porąbki, w wielkim, nowoczesnym jak na owe czasy i niezwykle atrakcyjnym hutniczym ośrodku wypoczynkowym, w którym jeden z hoteli był własnością Uniwersytetu Śląskiego. Pobyt w tym ekskluzywnym, jak na siemieniść PRL-owskiej codzienności, miejscu – powiedzmy to wprost – był marzeniem wszystkich młodych asystentów i adiunktów. Dziś ośrodek ten już nie istnieje; straszy nocą niczym ruiny starożytnego Rzymu.

Zbliżyła nas do siebie przyjaźń naszych dzieci i długie, bardzo długie rozmowy o lubelskich strajkach kolejarzy i niezwykłej nerwowości odczuwanej w ostatnich miesiącach w Warszawie, wreszcie o wykładach Michała Głowińskiego, Aliny Kowalczykowej i wielu jeszcze innych profesorów IBL PAN, skąd niedawno dopiero przyjechałem, przywożąc ukończoną rozprawę habilitacyjną o wiele mówiącym tytule: „Mity narodowe. Lechiada”. Tytuł ten nabierze innego jeszcze znaczenia kilka tygodni później, gdy pojawi się inny Lech – Wałęsa. Człowiek nijak nieprzystający i nieporównywalny z postacią ze średniowiecznych podań. A jednak.

Perypetie te doprowadziły do kolejnego naszego spotkania już w wydawnictwie „Śląsk”, gdzie złożyłem kolejną książkę „Laury, togi, pastorały. Szkice o kulturze literackiej renesansowego Śląska”. Od tego momentu zaczęła się moja ogromna, trwająca przez lata, fascynacja literackim Śląskiem; i przyjaźń z Tadeuszem – wielkim admiratorem tej kultury. Szczególnie ważna dla Niego była pamięć o zabytkach literackich bez względu na to, w jakim języku były one tworzone. Tak zrodził się nasz pierwszy wspólny projekt wydawniczy: „Biblioteka Piśmiennictwa Śląskiego”, obejmujący najcenniejsze zabytki literackie Górnego

Śląska. Radzie Naukowej przewodził prof. Jerzy Starnawski, sekretarzem był Tadeusz Sierny. Moja rola, jako redaktora naukowego serii, sprowadziła się nie tylko do opracowania merytorycznego całego przedsięwzięcia, jego koncepcji, ale i rozmów z potencjalnymi autorami. Pierwszym tomem z tej serii był „Stary kościół miechowski” przygotowany przez Wilhelma Szewczyka. Dwa kolejne zaś ukazały się w moim opracowaniu. Były to: „Faust Abu-Zajd i książęta śląscy. Imitacje literackie Józefa Lompy” oraz legendarne „Szkice z ziemi i historii Prus Królewskich. Listy z podróży” Konstantego Damrota. Tę cenną i ważną inicjatywę przerwało „trzęsienie ziemi”, jakie dokonywało się w czasach Balcerowiczowskich reform, grożących wydawnictwu wręcz unicestwieniem. Rozpoczął się dramatyczny okres prób ratowania wydawnictwa, słynącego wszak – nie tylko w Polsce – z co najmniej z dwóch wielkich przedsięwzięć edytorskich. Jedno to wydawanie i przyswojenie kultury polskiej współczesnej literatury czeskiej i słowackiej; drugie to fenomen powieści Alfreda Szklarskiego o przygodach Tomka Wilmowskiego.

Wielką zasługą Tadeusza było to, że nie poddał się presji tych instytucji, dla których wydawnictwo było „solą w oku”, prących „prawem i lewem” do jego parcelacji, a nawet likwidacji. A jeśli do przekształceń to takich, które by na daleki plan przesunęły lub wypchnęły z niego zupełnie profil artystyczno-humanistyczny, zastępując go oczekiwaniami środowisk technicznych. Tadeuszowi udało się jednak stworzyć koalicję trzech instytucji, które uratowały tę zasłużoną oficynę. Były to: Uniwersytet Śląski, reprezentowany przez prof. Piotra Fasta, Społeczny Komitet Pomocy Bibliotece Śląskiej, któremu przewodniczył prof. Jan Malicki oraz dawny „Śląsk”, kierowany przez red. Tadeusza Siernego. Znakiem rozpoznawczym wydawnictwa z tamtych lat, był dramatyzm i niepewność jutra. Na szczęście oficyna przetrwała. Nastąpił powrót do normalnej, codziennej, w miarę stabilnej pracy edytorskiej, choć wciąż nad nią wisiała groźba unicestwienia. A jednak – dzięki uporowi i konsekwentnym działaniom Tadeusza Siernego – stworzony został niezwykle prężny i liczący się ośrodek wydawniczy o niesłychanie dużym dorobku. Wystarczy zresztą przejrzeć przebogaty katalog publikacji: „Nauka-edukacja-kultura. Śląsk. Wydawnictwo Naukowe” z roku 2005. A przecież minęło dalsze 17 lat. To był pierwszy i najważniejszy etap przywracania górnośląskiej kulturze przeszłości i współczesnego jej oblicza.

Ale Tadeusz Sierny, sam badacz i znawca mechanizmów kultury, doskonale wiedział, że nowe czasy, skracające swoje interwały do coraz krótszych odcinków, wymagają też nowych ujęć metodologicznych, analiz i uogólnień. W świecie koncepcji równoległych, antagonizujących, z domieszką „mi się...” (wydaje), ujęcia porządkujące i uniwersalizujące nie zawsze wzbudzały zaufanie. Wróciła więc idea restytucji Śląskiego Instytutu Naukowego, niczym dalekie echo, słów starego górnika z Kutzowej „Perły w koronie”: „Wolno miejsce pracy człowiekowi odbierać, nie wolno miejsca pracy niszczyć”.

Dyskusje nad tą sprawą były burzliwe i niezwykle gorące. Rozpałiły niemal całe środowisko naukowe. Ostatecznie wykształciły się dwie koncepcje. Jedna – Tadeusza Kijonki, wizja monumentalnego instytutu z wieloma pracowniami. I druga – moja, jako działu w Bibliotece Śląskiej. Jeszcze przed wysłaniem listu do ówczesnego marszałka Bogusława Śmigielskiego z propozycją powołania nowego działu, długo dyskutowaliśmy z Tadeuszem nad kształtem placówki. Taka jest prahistoria Instytutu Badań Regionalnych Biblioteki Śląskiej, która kierowana przez znakomitego prof. Ryszarda Kaczmarka, jest dziś wizytówką naszego województwa.

Tadeusz był zawsze moim pierwszym konsultantem. Spotykaliśmy się zazwyczaj po godz. 16 albo u Niego, albo u mnie. W jednej z takich rozmów zrodziła się idea reaktywacji „Zarania Śląskiego”, najstarszego czasopisma wydawanego na

Śląsku z przerwami od 1907 roku. Do dzisiaj ukazuje się ono w Katowicach. Mieliśmy już wtedy doświadczenie w podobnym działaniu. Wcześniej bowiem, bo w roku 2003, uratowaliśmy przed zawieszeniem bodaj jedyne wówczas pismo naukowe, poświęcone książce dedykowanej młodemu czytelnikowi. To „Guliwer. Czasopismo o książce dla dziecka”, obecnie prowadzone przez Edytę Antoniak-Kiedos. Efektem owych popołudniowych spotkań było też opublikowanie przemówień Wojciecha Korfantego w parlamencie berlińskim, których kopię otrzymałem od senatora Bronisława Korfantego.

Wreszcie ostatni już, czteroletni okres naszych wspólnych poczynań. To niezwykle intensywne prace edytorskie nad dotychczas pomijanymi zabytkami śląskiej kultury z XVII i XVIII stulecia, z kręgu kultury ewangelickiej. To „Monumenta śląskiej Reformacji”. Na początek wydaliśmy jedynie „Kolekcję starośląską”. Ukazała się więc: „Postilla popularis, to jest Kazania na Ewanjelije Święte” Adama Gdaczusa z 1650; „Kancjonał doskonały polski” z roku 1673; z tegoż też roku „Katechizm od doktora Marcina Luthera z pisma świętego zebrany, a z niemieckiego na polskie przetłumaczony”, wreszcie jeden z największych bestsellerów dawnego Śląska: „Rajski ogródeczek” Jana Arndta. Nieprzypadkowo skupiliśmy swoją uwagę na tych tekstach, które w czasach po wojnie trzydziestoletniej, odegrały szczególnie ważną rolę w kształtowaniu się kultury literackiej i literatury kancjonałowej. Była to niezwykle ciężka, wyczerpująca praca, ale i satysfakcja pełna. Podziwiałem Tadeusza za wielkie zaangażowanie i poświęcenie w pracy, która wszak nie była Jego codziennością. Poznałem wówczas inną jeszcze twarz przyjaciela.

To zaledwie rekonesans po rozmaitych naszych wspólnych działaniach zakończonych powodzeniem. Jednak nie one stanowią o niezwykłości Tadeusza. Z przedsięwzięć bowiem, które najwyżej sobie cenię, to prowadzenie przez Niego miesięcznika „Śląsk”. Z sukcesem, jakim jest utrzymanie jego ciągłości oraz atrakcyjności czytelniczej. Dla wielu miłośników Górnego Śląska, miesięcznik kojarzony jest właśnie z postacią Tadeusza. I niech tak pozostanie.

JAN MALICKI

Potrójna przyczyna usprawiedliwia słowo dla śp. Tadeusza; cztery dekady, częstochowski wierzchołek i... uniwersalizm, czy to religijny, czy uniwersytecki.

Przebogaty w treści numer grudniowy Się (z dużej litery, dla Opatrzności) okazał nadrealną mową pogrzebową. W jednej z wersji mojej tam cegiełki o Janie Stachowskim było post scriptum o wielkoduszności Tadeusza, który na propozycję tekstu o Janku najpierw elektronicznie wykrzyknął: *gdybyś wiedział co on mi wyczyniał*. a po krótkiej chwili dodał *ale sam chętnie przeczytam co napiszesz*. Niebawem w dłuższej rozmowie potwierdził domniemanie, iż chodziło o lata osiemdziesiąte („w stanie...”) w wydawnictwie „Śląsk” i tyleż głęboki co chwilami gwałtowny konflikt z dyrektorem tow. Siernym tzw. Rady pracowniczej, formy krypto Solidarności zdelegalizowanej a podziemnie nie tylko duchem ożywianej przez wielu, w tym przez wojowniczego Janka zanim zaprzestał pracy na etacie.

Przedtem przez historyczne 16 miesięcy 1980/81 w „S” życie publiczne buzuje, tworzy, rozlicza, więc uniwersyteckie Komisje deliberują o przywracaniu podejrzanie wyrzuconych. W filologicznej polonisty prof. Bajerowa z mgr. Siernym, przedstawicielem tzw. komórki partyjnej, odrzucają – po rozmowie pikantnie burzliwej – wniosek asystenta mgra R.W., po powrocie z rocznego stypendium w Paryżu. W koniecznym skrócie: z wydziału wyrzucił go w 1979 roku tow. dziekan Nawrocki, w uniwersytecie przechował

R.W. prorektor prof. Zwierzchowski. Należałoby przypomnieć, iż niebawem „w stanie...” tow. Nawrocki, nr 1 „nauki i kultury” w tzw. K.C. wyrzuci do podziemia wszystkie stowarzyszenia twórcze i gremia naukowe, a dyr. Sierny obejmie wydawnictwo „Śląsk”, podczas gdy mgr R.W. wyrzuci z Uniwersytetu tow. rektor Klimaszewski, a doń przywróci kolejna Komisja, arbitrażowa i państwowa w 1990 roku, gdy tzw. partia definitywnie przestanie tumanić i straszyć, a my z Tadeuszem spotkamy się kilka lat później w jednym pokoju urzędowania na rektorskim piętrze u prorektora Zrałka: Tadeusz na czele wydawnictwa U. Śl., R.W. jako pełnomocnik rektora ds. programów zagranicznych.

Dlaczego mimo niewygodnego „tow.” jest to i ważne, i potrzebne? Zbyt płytko nasze pokolenie pojęciowo opisało doświadczenie udziału ambitnych jednostek w tzw. aparacie uzurpatorów władzy publicznej. Jeszcze bardziej istotne byłoby przechowanie „w śląskiej duszy” – mimo owych zakłamanych pozorów władzy – tego, co się zachowało w rodzinnego domu, rybnickiego – dla młodego Tadzia – liceum urzulanek i tego czy innego kaznodziei, pisarza lub/ i wykładowcy uniwersyteckiego, a co promieniowało i owocowało na wolności po 1989 roku. Nie fedrując głębiej biografia skromnego Tadeusza byłaby jednym ze śląskich wzorców.

Nie tylko biografia, także horyzont. Jarosław Kapsa, autor comiesięcznego „Listu...” upoważnił mnie do wspólnego przesłania częstochockowskiej reprezentacji środowiska piszącego ciężącego ku małopolsko-śląskiemu dziedzictwu Polski historycznych piastowskich prowincji. Jakże się ucieszył był Tadeusz, gdy Mu zarekomendowałem najlepsze i źródłowo rzetelne pióro podregionu raczej – ew. poza pielgrzymowaniem – nieobecnego w świadomości Ślązaka. Więc i takie otwarcie należałoby do tytułowej wielkoduszności Redaktora, którego „regiointeligencja zauroczyła” Jarka w czasie jedynej (między epidemiami i hospitalizacjami) wizyty i rozmowy przy ul. Ligonja. W swojej śląskości Tadeusz był równie europejski jak Lombardczyk, Szkot czy Katalończyk.

Człowiek Uniwersytetu obrał jeden z jego konstytutywnych elementów: wydawanie drukiem, komunikowanie piśmem, szerzej słowem, szersze popularyzowanie wiedzy, w końcu głębsze rozumienie świata. Autorów licznych stałych i nowych różniły tylko literki ks. przy nazwiskach kilkorga z nich: duchowni i niewierzący poza innymi świeckimi w każdym numerze pisma dawali świadectwo bogactwa różnorodności, która zgodą i zgodę buduje. Taki też pomnik zbudowała śp. Tadeuszowi Siernemu z napisem: Dziękujęmy. I Bogu dzięki.

ROMAN WYBORSKI

Doktora Tadeusza Siernego zapamiętałam jako człowieka o dużej kulturze osobistej i rozległej wiedzy, którą chciał i umiał się dzielić – ze studentami i ze słuchaczami. Elegancki, stonowany, kreslił przed nami – uczestnikami Podyplomowych Studiów Kwalifikacyjnych z Wiedzy o Kulturze na Uniwersytecie Śląskim – obszerne syntezy, ukazując związki przeszłości z teraźniejszością i teraźniejszości z przeszłością. Niezwykle interesujące były Jego zajęcia dotyczące podstaw i procesów formotwórczych kultury europejskiej, poszerzane o informacje dotyczące ówczesnej, narodowej strategii rozwoju kultury, a także programów rozwoju regionalnego. Opowiadał o tym ze znanstwem, przekonująco, jednocześnie zachęcał do dyskusji nad kategorią kultury europejskiej i różnymi koncepcjami historii kultury. W garniturze i kamizelce, postawny, uśmiechnięty. Wiele z jego pytań dotyczących Polski i Europy pozostaje wciąż aktualnych, podobnie jak zachęta do poznawania, zachowywania i ochrony dziedzictwa kulturowego. Zdarza się, że kiedy czytam dzisiaj refleksje dotyczące kultur narodowych, dysputy na

temat kultury europejskiej, czy staję – jak wszyscy – wobec dziejących się aktualnie na świecie przemian, przypomina mi się właśnie Doktor Tadeusz Sierny, z jego nieocenianym wglądem, szeroką perspektywą, skromnością i życzliwością. I za to będę Mu zawsze wdzięczna.

MAŁGORZATA RYGIELSKA

Mimo iż minęło już kilka tygodni od odejścia Tadeusza Siernego wspomnienia potrafią zatrzymać upływ czasu, wypełniając fragmenty zapamiętanych rozmów i spotkań nowymi znaczeniami. Próba naszkicowania portretu wytrawnego wydawcy, związanego od kilkudziesięciu lat z oficyną „Śląsk”, miłośnika książek, obdarzonego poczuciem gustu, znawcy śląskiej literatury i kultury, cierpliwie wsłuchującego się w głosy „swoich autorów”, nie daje pełnej odpowiedzi na pytanie, kim był jako człowiek i jakie cechy jego charakteru wyróżniały go z grona osób jego profesji. Faktem jest, iż rozległe zainteresowania Tadeusza Siernego i poszerzana systematycznie wiedza zachęcały gromadzących się w poczekalni jego gabinetu rozmówców do snucia długich opowieści. Nigdy ich nie przerywał, współuczestnicząc duchowo w ich życiu, w ich radościach i w troskach, mimo że na rozmowę czekali już inni, spragnieni pogawędki poeci, artyści, naukowcy, publicyści, ludzie w różnym wieku i z różnymi zawodami. Kierując maszynopis książki do druku, katowicki wydawca zmieniał rolę słuchacza na rolę menedżera, określał warunki umowy, wyjaśniał wątpliwości, domagał się konkretów. O sobie mówił raczej niechętnie, przedstawiając siebie albo na rodzinnym, bądź na środowiskowym i społecznym tle, jako jego naturalny, jak zwykł mówić, element. Należał od początku swojej działalności wydawniczej do krajobrazu kulturalnego i literackiego Katowic, Opola, Zaolzia i całego Śląska. Uważał, iż kultura, promocja książki, praca wydawców, grafików i drukarzy mają do spełnienia wciąż ogromną rolę.

Osobiste wspomnienie o Tadeuszu Siernym pozwala przywołać kilka wywoływanych z ostrych i zatartych klisz pamięci faktów i wydarzeń.

Mimo że poznałam Tadeusza Siernego w latach osiemdziesiątych – pracował wtedy w państwowej oficynie „Śląsk” – nigdy nie zwracaliśmy się do siebie, używając formy ty. Wzajemny szacunek i wsłuchiwanie się w argumenty drugiego umożliwiały swobodną wymianę myśli i realizację etapów wspólnie planowanych projektów. Rozmawialiśmy o sytuacji kulturalnej na Łużycach – Sierny był po odejściu Wilhelma Szewczyka i Bolesława Lubosza, inicjatorem dialogu z kulturą Serbołużyczan, organizatorem wielu literackich spotkań i wystaw książki – o przekładach literatury niemieckojęzycznej na język polski, o polsko-skandynawskich „zbliżeniach”, przede wszystkim jednak o Śląsku. Ich owocem były książkowe publikacje, promujące np. język, kulturę i literaturę Serbołużyczan, czy dzieje Katowic opisane piórem niemieckich i polskich pisarzy. W połowie lat dziewięćdziesiątych katowickiemu wydawcy udało się dzięki uporowi i wytrwałej pracy zbudować solidny wizerunek wydawnictwa. Wspierał w swoich przedsięwzięciach nie tylko twórczość młodych śląskich poetów i prozaików, często debiutantów; publikował także teksty naukowe, eseje i powieści znanych pisarzy. Piełgnował stare i nowe przyjaźnie, początkowo z Wilhelmem Szewczykiem, Bolesławem Luboszem, Janem Goczolem, grafikiem Jerzy Moskałem, a po ich odejściu z Tadeuszem Kijonką, Marianem Kisiелеm, Martą Fox i z licznym gronem regionalistów, pracowników naukowych, publicystów, artystów i społeczników. Był z pewnością dobrym duchem literatury powstającej na Śląsku, a niejedna seria wydawnicza zrodziła się z jego inspiracji. Dzięki niemu mogły ukazać się drukiem odnalezione w rękopisie „Wspomnienia” Wilhel-

ma Szewczyka i fragmenty jego młodzieńczego dziennika.

W moim naukowym zyciorysie był pierwszym wydawcą, który wsparł publikację zredagowanych przeze mnie kilku tomów monograficznych i pokonferencyjnych. Mimo oporu i umiejętności pokonywania trudności, nie udało mu się doprowadzić do końca wielu rozpoczętych zadań. Dlatego wspominając dzisiaj Tadeusza Siernego, „tytana pracy”, docieklivego wydawcę, naukowca i kulturoznawcę, człowieka o niespożytej energii, pogodnego i chętnego do pomocy, ale i idealistę i marzyciela, nie można zapominać, iż był osobą wrażliwą i podatną na cierpienie. Poszukiwanie ideału kultury i próba zdobycia intelektualnej niezależności, uwolnienia się od determinujących czynników były dla jego zdrowia nadmiernym obciążeniem. Zasluguje na naszą pamięć także z tego powodu, iż należał do odchodzącej już formacji pokoleniowej, która dbając o rozwój nowej literatury i nauk humanistycznych na Śląsku w XXI wieku, nie pozwalała odebrać ich od bogatego, ważnego dla zrozumienia teraźniejszości zaplecza, od historii i tradycji.

GRAŻYNA BARBARA SZEWCZYK

Kilkadziesiąt lat temu w redakcji Wydawnictwa „Śląsk”, w chwili gdy Józef Para opublikował drukiem wspomnienia zatytułowane *Salony i kulisy* Katowice 1997, poznałem redaktora Tadeusza Siernego. Zaprosił wtedy autora i mnie, ponieważ pragnął osobiście wręczyć mi egzemplarz książki, skoro wcześniej na prośbę Wydziału Kultury i Sztuki Urzędu Wojewódzkiego pozytywnie rekomendowałem maszynopis do druku. Uśmiechnięty, ze spokojem pełnił rolę gospodarza spotkania. Z czasem zorientowałem się, że z konsekwencją, jako wydawca i prezes Śląskiego Wydawnictwa Naukowego „Śląsk”, dbał przede wszystkim o kulturę śląską. Kiedy przed laty zaplanowałem przygotowanie okolicznościowej broszury z okazji jubileuszu Bernarda Krawczyka, to On z uporem i niby nieświadomie ciągle mówił o książce. Nie wypadało tłumaczyć mu, że książka to coś więcej niż broszura, ale niepokoiłem się tym. Wtedy on, jak gdy od niechcenia, przyznał: *Wiesz, Benio to nasza ikona śląska i należy mu się książka*.

Z podziwem spoglądałem na jego walkę z bezduszną administracją państwową, skazującą jego naukowe wydawnictwo na niemal żebraczą egzystencję. Znał wartość drukowanego słowa i z uporem popularyzował dzieje naszego regionu. Kiedyś powiedział: *Wiesz, ja tylko jestem wydawcą książek i to jest podstawowy konkret mojego działania, sens mojego istnienia*. W trakcie spotkania z władzami miast, ze spokojem tłumaczył znaczenie przygotowywanych do druku naukowych i popularnonaukowych niskonakładowych książek, podkreślał ich znaczenie dla historii i współczesności. W tych jego zabiegach czuło się to, że jakimś dodatkowym zmysłem pojmował zawarte w nich idee i ukryte sensy. Z nich zdawał się czerpać siłę, upór i głębokie przekonanie w zwycięstwo swoich racji. Było w tej jego postawie coś ze Zbigniewa Herberta, w tej przede wszystkim frazie: *nie-wiedza o zaginionych / podważa realność świata (Pan Cogito o potrzebie ścisłości)*. Kiedy mówił o potrzebie dokumentowania dziejów Śląska, myślał o wszystkich zapomnianych i nieobecnych. W tym widział sens swojej działalności wydawniczej. Kiedyś dodał: *Widzisz, ja istnieję tylko poprzez wydawane książki i tego mi nikt i nic nie odbierze*.

Towarzyszyłem mu zwłaszcza w trakcie jego walki o wydanie monografii *Teatr w cieniu huty. Zarysu historii Teatru Nowego w Zabrze (1959–2019)*. Słuchałem jak argumentował potrzebę dokumentacji działalności teatralnej Górnośląska i byłem zaskoczony. Jak zwykle z powagą i spokojem mówił o potrzebie komunikacji międzypokoleniowej, o dialogu i praworządności, o ciężkiej na każdym z nas od-

powiedzialności za wypowiedane słowo. Zżywał się, kiedy dowolnie je reinterpretowano, zmieniano ich desygnat, zakłamywano je, zrywając ich związek z rzeczywistością. Słowa były jego budulcem, tworzywem jego trwania. Nie akceptował więc, gdy nagle ktoś wycofywał się z podjętych wcześniej zobowiązań ustnych, nie rozumiał braku odpowiedzialności. Zdziwiony tą postawą, spokojnie stwierdził: *Nie martw się, wydamy to, tylko muszę wpierv trochę zarobić*. Brak pieniędzy zdawał się traktować jako przejaw walki dobra ze złem. Był niezłomny w swych postanowieniach i wierny w przyjaźni.

ANDRZEJ LINERT

Od pewnego momentu Tadeusz Sierny był chory. Coraz bardziej. Pewne grono o tym wiedziało i solidarnie milczało. Jednak wierzyliśmy, że Redaktor zwycięży, bo przecież nigdy się nie poddawał. Zawsze poszukiwał wyjścia z każdej sytuacji. Zarówno w prozie życia codziennego, jak i w momentach trudnych. Ale i tych pozornie łatwych. Zawsze patrzył w przyszłość, zastanawiając się nad konsekwencjami działań podjętych działań w realnej teraźniejszości, ale też analizowanej przyszłości. Dlatego też w czasie choroby spogłądał na wiele dokonanych w kontekście swojego ulubionego filozofa. Nie chodzi tu o ks. Józefa Tischnera, którego myśli o „innym” uznawaliśmy wspólnie, bez jakiegokolwiek przesady, za ważne. Zwłaszcza w świecie globalizmu i ponowoczesności. Społeczzeństwa – parafrazując tytuł rozprawy innego filozofa Zygmunta Baumana – będącego „w stanie obłączenia”. Wedle Tadeusza obłączenia przez tandetną, groźną popkulturę, dlatego tak walczył o książkę, czego dawał dowody w codziennej pracy kierowanego przez siebie wydawnictwa „Śląsk”. Czy w miesięczniku „Śląsk”.

W śląskiej tradycji, w której był zakochany, to ją uważał za najważniejszą, jako swoisty system aksjo-normatywny, ale też cenil rodzinę. Ta śląskość w nim tkwiła, kochał Śląsk, jego część przemysłową, nie tylko tym mitycznym znaczeniu, ale innym, nowym; wymarzoną, nowoczesnym. Martwił się o losy górników, lecz szanse widział w alternatywnych źródłach energii. Kiedy mówił o tej ziemi, zawsze nostalgicznie wspominał swoich przodków, rodziców, dziadków... i wędrowki po cmentarzach. Zakochany w swoich wnuczętach kiedyś przyznał, że wiele czerpie z ich dziecięcych wypowiedzi. Z tego, że mówili Mu – już w czasie choroby – że dziadek musi zwyciężyć tego „potwora”, który pojawił się w Jego organizmie. Przyrzekał, że z nim walczy. I wygra. Jednak okrutny Los chciał inaczej. Odszedł. Już go nie ma wśród nas. Pojawiła się w efekcie jakaś straszliwa pustka, bo już do Niego nie zadzwonimy, już się z Nim nie spotkamy w jego „siedzibie na Ligonii”, czy prywatnie, w domu. Teraz już tylko możemy wspominać spotkania i rozmowy. Te oficjalne i te prywatne. Pojawiła się pustka po Człowieku. Dobrym, prawdziwie życzliwym. Ale też twardo stąpającym po ziemi, człowieku dostrzegającym granice między Dobrym i Złem, między rozbieżnymi interesami ludzi, niestety często zanurzonymi tylko w swoim egoistycznym świecie. Biednymi ludźmi przekonanymi, że tylko oni mają rację. Oni odrzucają wszelki kompromis. Nie chcą współpracy, są zamknięci w getcie swojego egoizmu i interesu. A przecież każdy, kto znał Tadeusza, dostrzegał w nim ową potrzebę kompromisu. Jednak nie za wszelką cenę. Tadeusz odszedł. Zrodziła się pustka. Jednak Tadeusz Sierny nie pozostawił pustki, przeciwnie, pozostawił bogactwo dokonanych. Prawdziwy Tadeuszowy Skarb, czyli Jego wielostronne dokonania; dokonania na wielu polach. Tadeusz, Miej się tam jako...

MARIAN GRZEGORZ GERLICH

Literackie inicjacje Marka Hłaski

JAN MALICKI

Jakże łatwo jest przywoływać sielan-
kową wizję szczęśliwej rodziny. Tatę
w fotelu przy kominku, może z fajką,
rzadziej z książką lub gazetą; mamę
krzątającą się i zaaferowaną codzien-
nością, a jednak z uśmiechem pochy-
lającą się nad córeczką, już bez kokard,
za to z ulubioną lalką z mrugającymi
oczami, o ile jest ona jeszcze modna.
Może też i pochylającą się nad syn-
kiem z piłką pod pachą, który z miną
heroicznego zdobywcy, umorusany
i szczęśliwy wrócił właśnie z boiska.
To naftalinowy świat dawnego ole-
odruku, nad wyraz barwny, koloro-
wy, wyrazisty. Jedynie w takim oto-
czeniu mógł się rodzić, żyć i tworzyć
wieszcz, może nawet narodowy, dosko-
nale znający, interpretujący i ocenia-
jący świat. Wyczuwający jego zagma-
towanie, skomplikowanie i radość lub
tragizm człowieczego trwania. A po
latach, spoglądając na wiszące bor-
salino, z fularem pod szyją i w stroju
wczesnego dandysa, z laseczką opartą
o kawiarniany, marmurowy blat stoli-
ka, myśli: jak to jest, że człowiek sta-
je się tym, kim jest. Jakie mechanizmy
rządzą ludzkim losem, sprawiając, że
z małego, umorusanego, niezdarnego
człowieka, dziewczynki i chłopca, rod-
zi się twórca genialny lub jedynie mi-
norum gentium. Ważny dla świata czy
wyłącznie dla jednej osoby.

Ale przecież owego naftalinowego
świata oleodruków już dawno nie ma.
Może nawet nigdy nie było? A jeśli był,
to przeminął wraz z całym kufrem li-
teratury szkolno-lekturowej. Pozostała
jednak legenda i pytanie najważniej-
sze, wręcz fundamentalne dla każde-
go piszącego i jego odbiorców; o ge-
nezę, moment pierwszego gestu za-
powiadającego owo coś, sięganie po
pióro i moment uświadomionej już in-
spiracji. Pierwszego zapisanego słowa
ukonkretniającego myśl, zdanie, fabu-
łę i konteksty sytuacji twórczych; tych
bliższych – jak np. krąg rodzinny; i tych
dalszych – np. otaczająca a historycz-
nie weryfikowalna rzeczywistość. Zna-
my natomiast punkt dojścia – to bycie
twórcą. Ale i tak najbardziej pociąga
nas początek drogi per aspera ad astra.
Bardzo rzadko się jednak zdarza, by
owym genezyjskim próbom Pegazo-
wych lotów towarzyszył komentarz au-
tora – bohatera. Zbyt młodego – oczy-
wiście – i zbyt niedojrzałego, by chwy-

tać za pióro i kształtować swój warsz-
tat. Świadomość tworzenia przychodzi
później. Przekształca się w dojrzałość.
Ale czy można się jej dopatrzeć u je-
denastoletniego chłopca?

A przecież tak się zdarzyło niemal
osiemdziesiąt lat temu, gdy Marek Hła-
sko, jeszcze dziecko, choć z dojrzałością
wojenną, zaczął pisać. I to jak. Z ogrom-
ną przyjemnością wracam więc do nie-
zwykle ciekawego pamiętnika Marka
Hłaski, opublikowanego przez kuzyna,
Andrzeja Czyżewskiego, który z niespo-
tykaną starannością i sumiennością ze-
brał i przygotował do druku materiały
biograficzne pisarza. Myślę o książce
„Piękny dwudziestoletni”, ale też pochy-
lił się nad – zdawać by się mogło – je-
dynie wprawkami literackimi. To „Pa-
miętnik 1945-1946” Marka Hłaski. On
nie tylko potwierdza w nim swój ta-
lent, ale i ujawnia nerw twórcy, nie-
zbyt pasujący i nieprzystający do mo-
delowej osobowości tak młodego czło-
wieka, zafascynowanego lotnictwem
i harcerstwem, lecz – jego przypadku
– z widokami na dobrze zapowiadają-
cego się pisarza. O jego pasji utrwalania
swoich doznań „nie wiedział nikt
poza jego matką i Alą, trochę starszą
dziewczynką, którą traktował jak sio-
strę” – pisał Andrzej Czyżewski. „Ja –
pisze dalej – o istnieniu pamiętników
cioteczno brata dowiedziałem się po
przeszło czterdziestu latach – w roku
1987, po śmierci brata”. To fascynują-
ca lektura pozwalająca dogłębniej po-
znać właśnie genezyjski moment sta-
wania się twórcą. I to nijak nieprzy-
stający do owego stereotypowego ole-
odruku z dawnych lat. Bo też wciąż
utajony moment debiutu literackiego
przypadł na czasy straszne. Czasy nie-
mal Dürerowskich jeźdźców apoka-
lipsy spełnionej. Wokół może zgłiszcz
popowstaniowej Warszawy, samotność
we dwoje matki i syna, mimo ogrom-
nych tłumów mieszkańców uchodzą-
cych na południe i zachód. Maria Hła-
sko wyrusza z Markiem do Częstocho-
wy; do swojej przyjaciółki od lat, Ireny
Kozłowskiej. Tam Marek spotyka Alę,
swoją wielką sympatię, prawie siostrę.
To początek przyjaźni, ale i początek pi-
sania pamiętnika. To próba przełamy-
wania ogromnej, wszechogarniającej,
wręcz unicestwiającej nudy. Oboje za-
częli pisać. Ala szybko uległa zniechę-
ceniu. Marek wytrwał, mimo kolejnych

etapów dziecięcej tułaczki, wędrowek
i przystanków w Chorzowie, Katowic-
ach, Wrocławiu. Pisał wytrwale, kon-
sekwentnie i systematycznie. A przecież
czas nie po temu. A może przeciwnie?
Ale owo skumulowanie kłopotów co-
dziennych, egzystencjalnych uderzało
przede wszystko w matkę. Ona zapewne
przyjmowała mocne a niszczące ude-
rzenia losu. Ona jednak zawsze chroni-
ła Marka przed zagrożeniami otaczają-
cej go rzeczywistości. Tworzyła rodzaj
parasola ochronnego. Czy skutecznie?
Dramat matki polegał na tym, iż prze-
cież miała i ona swoje własne, jedyne
i nie do powtórzenia życie. Ów „bi-
let w jedną stronę, z krótkim czasem
ważności”. Miała też i wybór: szczęście
dziecka czy własny świat normalności.
To w moim odczuciu wielki, heroiczny,
milczący, dramat wyborów matki. Czy
był on właściwy? Nie wiem. Myślę, że
nie ma takiej rady, która dawałaby roz-
strzygnięcia jedynie słuszne, skuteczne,
nieomyślne, ostateczne. I to w sytuacji,
w której oleodrukowa rodzina skaso-
wana została o połowę.

A Marek pisał: „Pogoda była śliczna,
słońce silnie świeciło, ptaszki śpiewały.
Głodne psy wyjął smętnie przebiegały
pod moimi nogami. Szedłem nad jakąś
rzeką, która wolno płynęła, błyszcząc
w promieniach słońca. Miałem takie
wrażenie, że cała przyroda uśmiecha
się do mnie. Nogi bolały mnie trochę,
ale to drobnostka. Z daleka zobaczyłem
duże sylwetki samolotów. Serce zabiło
mi radośnie. Coraz to któryś z samo-
lotów warcząc pełzał po ziemi, potem
unosił się lekko w górę i osiągnąwszy
odpowiednią wysokość wykręcał i od-
latywał” (s.35).

Zapewne każdy historyk literatury
powie, że ów pamiętnik, świadectwo
samotności dziecka, pozwalał jedena-
stoletniemu chłopcu dopełnić otacza-
jącą go rzeczywistość własną wyobraź-
nią, wzbogacić epickość przeżywanej
chwili, wzmacniać wewnętrzny
monolog o kunsztowność słowa
i atrakcyjność opowiadania.
Może nawet dodać: i tylko ta or-
tografia.

A matka chłopca?



Student Feliński

JACEK OKOŃ



...ce bon Felinski – qui en partant
avait distribué tout son argent entre ses amis –
et qui se trouve peut être dans la besoin.

Juliusz Słowacki
w liście do Karola Pétiniaud-Dubos

W roku 1847 Zygmunt Szczęsny Feliński nie był jeszcze arcybiskupem, zesłańcem, filantropem, założycielem zakonu żeńskiego, bohaterem i autorytetem moralnym, a tym bardziej nie był jeszcze świętym. Tak więc to, co naprawdę w tym żywocie okazało się ważne, co wyjednało mu chwałę ołtarzy, pozostawało na razie zagadką przyszłości. Ta młodość nie przynależała wówczas do dziejącej się historii Kościoła. Również w świeckich ujęciach dziejów życie to zaczęło się jak gdyby o wiele później, gdzieś tak około roku 1861. Do „stażu historycznego” zalicza się mu jedynie epizod krótkiej posługi arcybiskupiej w Warszawie, sprowadzając ją do antagonizmu pomiędzy jego łagodzącą (ugodową) postawą a zdesperowanym ludem, prącym ku powstaniu, nazwanemu później Styczniowym. W zakończeniu tego rozdziału spotyka go kara zsyłki (za wstawienie się za tym ludem), z której już nigdy do Warszawy nie powróci. To jak gdyby już jego koniec. Choć nominalnie pozostawał pasterzem stolicy jeszcze przez ponad 20 lat, historia świecka widzi w nim przegranego i skończonego polityka. I oddaje go Kościołowi.

Od początku posługi arcybiskupiej towarzyszyła mu niechęć owieczek. Na swoją stolicę przybył z Petersburga, gdzie jako zwykły ksiądz wykładał w seminarium. Przywieziony „w tecyce” przez Wielopolskiego zdawał się nosić niezmywalne znamię carskiego nadania. Nie zmieniła tego nawet radosna akceptacja dana przez papieża. Świętość tego życia nie została wówczas przez świat odczytana. Jego późniejszy los nie jest jednak żywotem pokutnika oplakującego grzechy polityczne. Nie spleta się też wszakże z losami tego świata.

Ale w roku 1847 nie był jeszcze księdzem i nawet myśl o kapłaństwie nie postąpiła mu w głowie. Miał 25 lat. Był świeżo po studiach matematycznych w Moskwie i oto przyszła kolej na Paryż, Sorbonę, na wiedzę humanistyczną. Fascynowała go wielka poezja, bezbłędnie ją rozpoznawał. Tu była Mekka poetów. Jego matka i matka Słowackiego kilka lat wcześniej doznały represji w sprawie Szymona Konarskiego.

Pierwsza wizyta przy rue de Ponthieu 30 (obecnie 34), gdzie w trzypokojowym mieszkaniu na piątym piętrze mieszkał Juliusz Słowacki, odbyła się więc niejako „po linii matczynej”. Od tej pory bywał tam często. Zaprzyjaźnili się szczerze. W listach do matki Słowacki nazywał go „Felusiem”: „Felusia ci polecam także, który jest ze mną czystym brylantem i skarbem moim – prawdziwie mi takiego potrzeba było”. W następnym roku (1848) udali się tym samym dyliżansem do walczącej Wielkopolski, mając nadzieję coś tam zwojować.

Kiedy więc konkretyzujemy postać Felińskiego poprzez fakty tego akurat okresu żywota, widzimy studenta Sorbony i College de France, wielbiciela poezji, przyjaciela Słowackiego i patriotę. W zestawieniu z wybitnymi postaciami z grona Wielkiej Emigracji wydaje się to czymś mało indywidualnym, niemal banalnym, wystarczającym zaledwie do naszkicowania zarysu przyszłej postaci lub na umieszczenie jej w mglistym, mgławicowym tle, gdzie statystuje innym. Z etykiety o nazwie „student” nie wynika więcej. Co najwyżej „bieda” byłaby tam jeszcze stosowna.

A przecież błędem jest wyobrażać go sobie w taki właśnie uproszczony sposób, jako młodzieńca o umyśle przypominającym *tabula rasa*, której wypełnienie miało się dopiero rozpocząć. Wydarzenia historyczne, w których jako student uczestniczył lub którym świadczył z najbliższej odległości (np. dwie rewolucje francuskie), umieszczają go na powierzchni ówczesnego życia i to w głównym nurcie. Podobnie koneksje towarzyskie i rodzinne. Już wtedy bowiem – na przestrzeni niewielu paryskich lat – „przeżył czasów wiele”, choć z pewnością więcej miał jeszcze przed sobą. Osobowość była więc ukształtowana, dojrzałość udowodniona.

Jakże niewielu osobom z ówczesnej emigracyjnej socjety zostało to objawione z podobną wyrazistością, z jaką jawiło się później czytelnikom jego „Pamiętników”, spisanych już na zsyłce w Jarosławiu i wygnaniu w Dźwiniacze, u schyłku życia. A jednak i wówczas nie zabrakło już na bieżąco widzianych jego przyszłą wielkość i świętość. Dzisiaj odnajdujemy takich przewidujących bez trudu w encyklopediach, leksykonach i historiach literatury, gdzie zajmują należne sobie wysokie miejsca. Zdają się tam zaświadczać, że „świętym jest na ziemi, kto umiał przyjaźń zabrać ze świętymi”. My jednak, którzyśmy zajęli miejsce należące się zwykle późnym wnukom, powinniśmy pamiętać, że owego młodego chłopaka, studenta Felińskiego, łączy ze świętym arcybiskupem tożsamość osoby. Ani młody wiek głównego aktora, ani brak czy też niewidzialność aureoli, ani zepsuty Paryż jako sceneria dramatu nie powinny nas zmylić.

Student Feliński rzeczywiście nie musiał sporządzać planów długotrwałego zdobywania emigracyjnych salonów. Wchodził na nie bez obawy, w pierwszym dniu pobytu, całkiem swobodnie, przynależąc tam jak gdyby „z natury”. Wielcy tamtego okresu zdawali się poznawać młodzieńca na sam dźwięk nazwiska, bez osobnego doświadczania go, lub zawierali bez reszty listom polecającym, które przedkładał. Nim zetknął się w Paryżu ze Słowackim, odwiedził kolejno – nie będąc im obcym – Wincentego Pola, Kajetana Koźmiana, generała Skrzyneckiego i księcia Adama Czartoryskiego. Niektóre z tych rozmów zostały uwiecznione w „Pamiętnikach”. Takie to były te koneksje. Brak jednak poświadczeń, by uświadomienie sobie przez rozmówców tak czytelnego znaku przetyłnej wielkości było na bieżąco powszechne. Człowieczeństwo i młodość zdają się nie mieć przyszłości, a terażniejszość rzadko wydaje się wielka.

Słowacki też był prozaicznie ludzki, utkany z ciała i krwi. Na zewnątrz zdawał się to ukrywać. Wolał prezentować wizerunek z białym wyłożonym kołnierzem z rysunku Józefa Kurowskie-

go i ostry szlachetny profil na medalionie Władysława Oleszczyńskiego. Bardziej to z pewnością apelowało do wyobraźni czytelnika niż corocznie ściśle bilansowanie konta bankowego, o które dbał z pietyzmem, lub posiadanie przezeń akcji kolei lyońskiej, w których lokował część kapitału. Chodził do dentysty, by rwać zęby; unikał stołowania się w publicznych jadalniach, gdzie „prawdziwie cierpi godność ludzka”; na wycieczce w Alpy „dawano mu lat 15 wieku”; na Synaju musiał przejść kwarantannę, żeby do Grobu Pańskiego jakiej zarazy nie przywlec. Na takim to podłożu wzrastała genialna poezja.



Juliusz Słowacki na łożu śmierci. Szkic Karola Pétiniaud-Dubos. Z kolekcji Muzeum Narodowego w Warszawie

Dzisiejsze wartościowanie poezji romantycznej tak bardzo jest utrwalone, że zdawać się może, iż znana nam dobrze hierarchia istniała już wtedy. Trzech było wieszczów, mówimy: Mickiewicz, Słowacki, Krasiński. Wówczas tak nie twierdzono, zestawy nazwisk były całkiem inne, inaczej rozdzielano wawrzyny. Za nobilitacjami w większym stopniu stały powierzchowne sądy kategoryczne i powiązania towarzyskie niż jakkolwiek forma głębszej refleksji. Autorytet niektórych wypowiedzi tworzył samą z sobą, spod której trudno było się wydobyć. O ile Krasiński stawiał Słowackiego bardzo wysoko, to inni – jak Ropielewski – okazywali mu jedynie pobłażliwość. Nawet sam Feliński, entuzjasta Juliusza, używszy słów: „najwznioślejszy z naszych wieszczów, istotny orzeł poetów”, określił nimi innego poetę – właśnie Krasińskiego. Za Słowackim ciągnęła się jedna z owych niezniszczalnych fam, którą niechcący rozpuścił Mickiewicz, wyraziwszy dość wczesnie opinię, iż ta poezja „to świątynia bez Boga”. Na długą miała wystarczyć to za uczciwą recenzję.

Gdy podczas wykładu inauguracyjnego w College de France Mickiewicz udowodniał wyższość poezji polskiej nad innymi słowiańskimi, za przykład posłużył mu nie Słowacki (który już na to zasłużył), lecz Józef Bohdan Zaleski. Jakże to, chciało się zapytać? Przecież tyle słyszeliśmy o słynnym pojedynku na improwizację, w którym nie było zwycięzcy, przez co równość wieszczów została stwierdzona już wówczas! W rzeczywistości Słowacki udowodniał w improwizacji swe własne istnienie, wychwalał w niej Mickiewicza i wyciągał rękę do zgody, a tenże – dość nawet łaskawy – powtarzał jednak swą tezę o świątyni bez Boga. Na wykładach literatur słowiańskich poeta Słowacki konsekwentnie nie zaistniał.

Zaleskiego znajdziemy dzisiaj jedynie w antologiach poezji XIX wieku, gdzie przydaje mu się tytuły „piewcy krajobrazu ukraińskiego” i „autora dumek”. Był jednym z oryginalniejszych ówczesnych poetów, to trzeba przyznać. Gdzież jednak jego Ukrainie do Ukrainy Słowackiego! A przecież i on należał do tych, co ferowali stanowcze wyroki: „Poezje Słowackiego niewiele warte. Mozaika Mickiewicza i moja, a przy tym dużo własnej miki w szczelinach. Duszy nigdzie nie dojrzysz...”. Inne były wtedy zestawienia wielkości, inne Panteony i gwiazdobiory. Nawet Mochacki, tak spekulatywny duch, przedkładając wyznaczniki poezji realistycznej, wyliczył jednym tchem tych oto: „Takim poetą jest Szekspir, Goethe, Bohdan Zaleski”. Nikogo to wówczas nie bawiło. Dwóch było bowiem wieszczów: Mickiewicz i Zaleski.

Śmierć Słowackiego (1849) jest nam dobrze znana z wiarygodnych opisów, pozostawionych przez naocznego świadka (Felińskiego) w kolejno napisanych listach. Korespondencja te przekazała wieść o wydarzeniu stosunkowo świeżym. Drobne niekonsekwencje co do ostatnich słów Poety nie mącą jasności chwili, raczej przydają jej podniosłości. Czytając, wydaje nam się, że stoimy u węzłowie, wszyscy co do jednego, jak jeden mąż. Ale Wdzięczni Rodacy, ci, którzy jako równego królom złożyli jego szczątki na Wawelu i teraz je nawiedzają, jeszcze się nie byli narodzili. Student Feliński zaledwie nas reprezentował. Gdy na starość spisywał wspomnienia, postarał się przeżyć to jeszcze raz, jak gdyby przedkładając pieczęć wiarygodności. Jedność osoby sprzegła rzeczy stare i nowe, nadzieje młodości i dramat dojrzałości, wyciągnęła to ze skarbca pamięci, nieświadoma, co na sądzie Bożym przeważy. U węzłowie stało tylko dwóch świadków, Polak i Francuz, student Feliński i malarz Pétiniaud-Dubos. Wzięli na siebie pochówek, likwidowali mieszkanie, wypełnili ostatnią wolę.

W dniu śmierci Poeta był jeszcze na nogach, ubrany i czynny. Lecz wydane liczne dyspozycje zmierzały już wyłącznie ku załatwieniu ziemskich spraw. Przynagliły go do tego duszności minionej nocy. Dzień wypełniony został znakami opieki i obecności Bożej. Uczynki miłosierne co do ciała i duszy zdążyły na czas. Feliński pobiegł po kapłana, by umierający mógł się wypowiedzieć i przyjąć komunię, a malarz Pétiniaud-Dubos, który przybył w tym czasie nawiedzić chorego, już pozostał do końca. Był tam też trzeci anioł, dobry duch, dla którego czas i odległość nic nie znaczą, niewidziany oczyma ciała: matka. Po odejściu księdza doręczono Słowackiemu nowy list od niej. Słuchał z przymkniętymi oczyma, rozpozgodzony, gdy Feliński czytał mu na głos.

Cmentarz Montmartre też nie pękał w szwach. Na pogrzeb 9 klasy (według taryfy usług grzebalnych) stawiło się 30 ziomeków (podaje za J.M. Rymkiewiczem). Nikt nie wygłosił mowy, nikt nie szlochał, przyszli i poszli. Mickiewiczowi coś akurat wypadło ważnego, bo go tam nie widziano. Zdaje się, że i po śmierci uczono Słowackiego pokory.

Dzisiaj możemy już powiedzieć (jesteśmy wszak pokoleniem uczestniczącym zarówno w beatyfikacji jak i w kanonizacji Felińskiego), że na ostatnie chwile życia dał Bóg Poecie człowieka, który sięgnął po chwałę ołtarzy. Asystując u łoża, podtrzymując w agonii, zdaje się (dziś o wiele czytelniej) ręczyć za umierającego. Dostrzegamy wielkość sceny i jej aktorów. Lecz współcześni im byli ubożsi o tę właśnie historyczną perspektywę: nie sięgali ku horyzontom, a cóż dopiero za horyzont, poza życie i śmierć. Dla Wielkiej Emigracji zamknął się pewien rozdział, jeden z tych, których istnieniu się nie zaprzecza, lecz nie przydaje się zarazem należytej wartości. Sam „Feluś” nie zaistniał w tym rozdziale na tyle znacząco, by zostać tam zapisany. Jego życie też się zresztą na swój sposób kończyło. Nikt go więcej w tej paryskiej historii nie ujrzy. Miejsce na Sorbonie zajmą inni studenci, nie lepsi, nie gorsi od niego. Czy nie taka jest kolej rzeczy? Ale on znika rzeczywiście. Oto postanawia bowiem pójść na księdza, a to – w oczach świata – znaczy koniec marzeń i śmierć za życia.

Wielki, piękny, w zielonej otulinie Dom na Załęskim Przedmieściu

HENRYK SZCZEPAŃSKI

Światowej sławy psychiatra i neurolog, pionier psychosomatyki, odkrywca holistycznych sekretów samoregulacji procesów życiowych człowieka, autor epokowego dzieła „Der Aufbau des Organismus” (Struktura organizmu), opublikowanego w 1934 roku, a od 1959 roku członek rzeczywisty Amerykańskiej Akademii Sztuk i Nauk w Cambridge, przyszedł na świat w Katowicach, na Załęskim Przedmieściu.



Dr Kurt Goldstein dyplomowany lekarz Uniwersytetu we Wrocławiu (Kurt-Goldstein-1878-1965-Reproduced-with-permission-of-the-Historical-Museum)

Dzieciństwo i młodość spędził pod dachem mieszczańskiej rezydencji, do dziś cieszącej się sławą pałacu (obecnie adres: plac Wolności 12). W tamtych latach ekskluzywną willę z ogrodem pełnym kwiatów, drzew i krzewów otaczały brzoźowe zagajniki, a na dalszym planie, za wysoką groblą drogi żelaznej, zieleń się porośnięte gęstym lasem zbocza Kamionki Katowskiej – obecnie Wzgórza Kościuszki. Jej szczyt od poziomu morza dzieliło ponad 344 m. Należała do najwyższych w okolicy. Zimą rodzice z cheredą roześmianych dzieciaków maszerowali tam, aby na ustłanych śniegiem ścieżkach i polanach, nacieszyć się zjazdami na sankach lub nartach.

Dom jak z bajki

W jesieni życia, gdy prof. Goldstein mieszkał już w Nowym Jorku, chętnie przywoływał obrazy z lat chłopięcych. W jego wspomnieniach na pierwszym planie, pojawiał się zaokrąglony, północno-wschodni węgiel willi wznoszący się nad rabatami kwiatów osobiście pielęgnowanych przez mamę i sekundujących jej ogrodników. Z tego narożnika podobnego do półkolistej wieży wychodziły dwie ściany fasady. Miał wrażenie, że w jej wnętrzu nie łączyły się pod kątem prostym. Długo się mozolił

zanim, przy pomocy wuja Józefa, który bardzo dobrze wiedział jak domy należy budować, wyliczył, że kąt jest o 30 stopni szerszy od prostego. Wtedy zrozumiał, że naroża sześciokątnego paradnego hallu, w którym rodzice witali wszystkich mile widzianych gości, również mierzyły po 120 stopni.

W sklepieniu, nad wysoką sienią fascynowały go dwa przeszklone świetliki. W pogodne noce było przez nie widać księżyc i gwiazdy, a latem, około południa jaskrawe promienie słońca przecaczającego się nad szczytem pobliskiej Kamionki, przez niektórych kolegów nazywanej wzgórzem Beaty. Kiedy w jakiejś książce przeczytał opis rzymskiej świątyni Wszystkich Bogów, swój niezwykle przedsięwzięcie zaczął nazywać Panteonem. Jako mały chłopiec bawił się na paradnych schodach, pokrytych puszystymi dywanami. Z sieni na parterze prowadziły na piętro, gdzie w przytulnych pokoikach pociechy Goldsteinów miały swoje łóżki i łóżeczka. Aby tam się dostać musiał przejść przez 2 podesty i 3 partie schodów liczących po

wać owocowy sad, warzywniak dogładany przez mamę i ciocię, a za ogrodem cały tartak i składy drewna rodzinnego przedsiębiorstwa. Po wiadukcie nad ulicą Mikołowską toczyły się posapujące parowozy z karawaną wagonów albo bardziej kolorowe i szybsze pociągi pasażerskie kursujące pomiędzy Warszawą, Wiedniem i Berlinem. Nad miastem dominowały szczyty pobliskiej synagogi, ewangelickiego zboru Zmartwychwstania oraz katolickiego kościoła Mariackiego. Na bliższym planie sterczał komin Amerykańskiego Młyna Parowego przy ulicy Młyńskiej; najwyższej, pięciokondygnacyjnej budowli w mieście, zaprojektowanej i wzniesionej przez krakowskiego architekta inż. Walerego Kołodziejskiego. Kurt i jego rodzinka byli dumni ze swojej wieży, która cieszyła się taką samą reputacją – najwyżej usytuowanego „dachu Katowic”.

Na całe życie w pamięci prof. Goldsteina zapisała się uroczą i niezwykłą, swego rodzaju laurką, jaką do dziś pozostaje panoramiczny relief umiesz-



Plaskorzeźba genius loci, autor nieznan, około 1874 r. (album: Bogucice, Załęże et nova villa Katowice, „Śląsk”, Katowice, 1993)

kilkanaście stopni. Było po czym się wdrapywać i było gdzie skakać. Marmurowe posadzki wyglądem przypominały szachownicę. Ściany zdobiły barwne malowidła i złocone sztukaterie. Na marmurowych kolumnach i przyściennych pilastrach z głowicami złotego koloru, uwagę Kurta przykuwały monogramy braci Goldsteinów, współwłaścicieli pięknego domu i wspólników firmy „tartacznej”. Miały w sobie coś tajemniczego, co przypominało iluminowane inicjały zdobiące karty renesansowych inkunabułów.

Wyjątkową frajdę sprawiało wejście na platformę pałacowego belwederu ze spiralnie zabudowanymi schodami i daszkiem na szczycie, czyli na pięciokondygnacyjną wieżę widokową, górującą ponad całą okolicą. Stamtąd mógł obserwo-

czony na południowoschodniej elewacji domu.

Rzeźbiarska kompozycja przedstawia trójkę młodych kobiet. Są wyobrażeniem *genius loci* tego domostwa. Oryginalna scenka rodzajowa to personifikacja opiekuńczego ducha mieszczańskiej rodziny Izraelitów kultuwujących tradycyjne wartości piękna, mądrości i pracowitości. Towarzyszy im trzech półnagich chłopców w wieku zdecydowanie przedszkolnym. W tej inscenizacji pełnią rolę alegorycznych *spiritelli*. Jako inspirujące i pomocne elfy, asystują swoim starszym siostronom aranżującym zabawę w plenerze lub lekcję szkolną.

Pierwszy od lewej stojący obok stylowej kolumny podtrzymuje lirę, od której jest niewiele większy. Młoda lirnica palcami potraça jej struny,

a drugą dłoń rozwija tajemniczy rulon (zapewne) z zapisem słów lub melodii. Siedząca obok, centralnie wyeksponowana sąsiadka, wspólnie ze swoim *spiritello* unoszącym płonąca pochodnię, wczytuje się w tekst otwartej księgi. Trzecia przysiadła obok kowadła. Wspiera na nim młotek jednocześnie sięgając po lokomotywę, którą reszkami sił przydzwigał jej dzielny asystent.

Osoby tego przedstawienia są zafascynowane atrybutami spopularyzowanymi przez wzorniki dawnych mistrzów pędzla i dłuta – partyturę, książką bądź młotkiem. Te przedmioty, łącznie z lirą i lokomotywą, mają urok dziecinnej zabawki prowokującej do życiowej aktywności i odkrywania sensu życia w dziedzinie sztuki, nauki i twórczości inżynierskiej.

Allegoryczna kompozycja to także dziękczynny hołd, jaki fundator Abraham Goldstein składa swej ukochanej małżonce Rozalii z Cassirerów, rodzicielce dziewięciorga pociech i najtroskliwszej opiekunce domowego ogniska. Nie można oprzeć się wrażeniu, że jest też swego rodzaju ilustracją wydarzeń z odległego dzieciństwa Kurta i jego rodzeństwa.

Tamte słoneczne dni życia były magiczną porą, w której Kurt odkrywał i tworzył swój świat, a w nim sam siebie – jeszcze chłopca, ale wkrótce młodego self-made mana tamtej epoki, której bóg zyszczeniem był już Benjamin Franklin.



Prof. Kurt Goldstein podczas Międzynarodowego Kongresu Neurologicznego w Paryżu w 1949

Pierwsze szczebelki pierwszej drabinki

Kariere uczniowską Kurt rozpoczął jako pierwszacy prywatnej elementarnej szkoły hebrajskiej w Katowicach. Liczyła ponad 200 uczniów i uczennic. Mieściła się przy ulicy Młyńskiej, nieopodal synagogi. Od marca 1876 roku, jej rektorem był dr Jacob Cohn, wybitny talmudysta, przybysz z Hamburga – pierwszy rabin tutejszej gminy wyznaniowej, a nauczycielami m.in. Abraham Weissmann, Braunschweiger, Willner.

7 wiosen liczący Kurt progi swojej pierwszej klasy lekcyjnej przekroczył w 1885 roku. Po ukończeniu 3 lat nauki zdał do quarty czwartej klasy, a po kolejnych pięciu zmierzał do świadectwa ukończenia gimnazjum. Uzyskał je na Wielkanoc roku 1898 w katowickim gimnazjum klasycznym. W tym terminie i przed tą samą komisją pedagogiczną, egzamin maturalny złożył także

Konstanty Wolny, po latach wybitny prawnik i polityk, pierwszy marszałek Sejmu Śląskiego w polskich Katowicach. Obydwał deklarowali wtedy, że będą studiowali medycynę.

wersytecie Wrocławskim i po odbyciu praktyk zawodowych, jako adwokat powrócił do Katowic i otworzył kancelarię. Klientów przyjmował w kamienicy Czwiklitzera u zbiegu dzisiej-

3. Verzeichnis der Abiturienten.										
Das Zeugnis der Reife erhalten										
Ostern 1898:										
Namen	Geburts-			Konfession bzw. Religion	Des Vaters		Besuchte		Studium oder sonstiger Beruf	Universität
	Tag	Jahr	Ort		Stand	Wohnort	das Gymn.	die Prima		
Demski, August	19. Juli	1877	Stein Kr. Rybnik	kath.	Olaschüttenpächter	Königshütte	8 J.	2 J.	Theologie	Breslau.
Bloch, Bruno	28. Sept.	1879	Kattowitz	jüd.	Kaufmann	Kattowitz	9 J.	2 J.	Maschinenfach	Charlottenburg.
Kralik, Hans	11. Juli	1879	Kattowitz	ev.	Pastor	Kattowitz	9 J.	2 J.	Bergfach	Berlin.
Fernbach, Bruno	26. Juli	1879	Zawodzie	jüd.	Kaufmann	Zawodzie	9 J.	2 J.	Maschinenfach	Charlottenburg.
Wernich, Adolf	13. Aug.	1877	Breslau	ev.	Oberbaurat		3 J.	2 J.	Rechts- u. Staatswissenschaft	Breslau.
Wolny, Konstantin	5. April	1877	Bujakow Kr. Zabrze	kath.	Schmied	Bujakow Kr. Zabrze	9 J.	2 J.	Heilkunde	Breslau.
Goldstein, Kurt	6. Nov.	1878	Kattowitz	jüd.	Kaufmann	Breslau	2 1/2 J.	2 J.	Heilkunde	Breslau
Riesefeld, Hans	8. Juni	1880	Czestochau R.-Polen	jüd.	Disponent	Kattowitz	9 J.	2 J.	Maschinenfach	Darmstadt.
Steinhoff, Ernst	19. Sept.	1878	Kattowitz	ev.	Hauptkassenbuchhalter	Kattowitz	9 J.	2 J.	Hüttenfach	Berlin.
Dolezych, Max	2. Juli	1877	Rosdzin	kath.	Ortsherber	KL Deobrowka	10 J.	2 J.	Rechts- u. Staatswissenschaft	München.
Thiele, Georg	18. Dez.	1878	Lipine Kr. Neutoben	ev.	Hütteninspektor	Bendzin R.-Polen	5 J.	2 J.	Rechtswissenschaft	München.
Kurpas, Aloys	19. Juni	1875	Gostin Kr. Pless	kath.	Holzhandler	Gostin Kr. Pless	9 J.	2 J.	Landmesser	Berlin.
Sluzalek, Hans	17. Mai	1879	Kattowitz	kath.	Lehrer	Kattowitz	9 J.	2 J.	Hüttenfach	Berlin.
Kaluza, Alfred	28. April	1878	Myslowitz	kath.	Kimmerer	Myslowitz	2 J.	2 J.	Maschinenfach	München.
Knobloch, Kurt	3. Dez.	1875	Glogun	ev.	Stationkassenwondan	Kattowitz	2 J.	2 J.	Hüttenfach	München.
Beyer, Walter	7. Juni	1878	Neudeok Kr. Tarnowitz	ev.	Buehalter	Kattowitz	10 J.	2 J.	Heilkunde	Freiburg.

Kurt i koledzy Abiturienti gimnazjum w Katowicach 1898, lista reprodukcja Sprawozdanie szkolne, archiwum ŚBC)

Nauczyciele i uczniowie zapamiętali Kurta jako chłopca towarzyskiego, raczej nieśmiałego, powszechnie lubianego, ale często pogrążonego w zamyśleniu. Chyba z tej przyczyny już wtedy nazywali go Profesorem.

Przyszedł na świat w 1878 roku. Urodził się w pięknej rezydencji, w której obecnie znajduje się Katowicki Pałac Ślubów. Jego ojcem był Abraham Goldstein, rocznik 1836 a matką, o 9 lat młodsza – urodzona w Katowicach – Rozalia z domu Cassirer, córka Markusa Cassirera i Jeanette Cassirer z domu Steinitz.

Abraham i Rozalia zostali szczęśliwymi rodzicami dziewięciorga pociech: pierworodnego Eugeniusza w roku 1866, najstarszej córki Gertrudy w 1870; Kurt urodzony w 1878 był dzieckiem siódmym z kolei.

Eugeniusz

Pierworodny – Eugeniusz – urodził się w Bytomiu; tak podają archiwalne sprawozdania katowickiego gimnazjum. Przyszedł na świat w ostatnim tygodniu lata 1864 roku. Jego tata liczył wtedy lat 28. Nie mieli jeszcze pięknej rezydencji. Mieszkali kątem u dziadków Cassirerów, rodziców mamy Rozalii.

Do pałacowych komnat na Załęskim Przedmieściu przeprowadzili się dopiero po 1874 roku, gdy Gienio był już uczniem Szkoły Hebrajskiej przy ulicy dziś nazywanej Młyńskiej. Po jej ukończeniu został wychowankiem Gimnazjum Klasycznego przy ulicy Przemysłowej (obecnie: 3 Maja) i tam na Wielkanoc 1882 zdał egzamin maturalny. Po studiach prawniczych na Uni-

wersytecie Wrocławskim i po odbyciu praktyk zawodowych, jako adwokat powrócił do Katowic i otworzył kancelarię. Klientów przyjmował w kamienicy Czwiklitzera u zbiegu dzisiej-

szej 3 Maja i Wawelskiej. Na krawędzi wieków mieszkał w swoich pokojach rodzinnej wili przy placu Wolności; w tych samych, w których, najpierw jako żółtodziób, a potem kawaler, nie tylko ze szkolnego obowiązku, ale i dla przyjemności czytywał Goethego i Schillera.

Po 1892 roku, rodzice Eugeniusza mieszkali już we Wrocławiu, a swoje katowickie apartamenty podnajmowali znanym osobistościom. Do 1903 roku sąsiadem młodego mecenasa był ojciec miasta Katowice dr August Schneider.

Po latach mecenas Goldstein wciąż był związany ze swoim gimnazjum. Jako czynny filantrop organizował działalność na rzecz fundacji wspomagającej ubogich i utalentowanych wychowanków. Gdy w 1896 r. szkoła świętowała srebrny jubileusz aktywnie brał udział w przygotowaniu i organizacji obchodów, ważnych dla całego miasta i powiatu. Kronikarze zapisali: „Na koniec adwokat Goldstein podziękował za żywy udział w uroczystości jubileuszowej i zakończył swoją przemowę toastem za powodzenie katowickiego gimnazjum”. W jubileuszowym bankiecie pod auspicjami magistratu osobiście uczestniczył wspomniany już Pierwszy katowicki burmistrz dr Schneider.

Przeprowadzka do Wrocławia

Pod koniec lat osiemdziesiątych XIX stulecia wielkie magazyny drewna Goldsteinów padły pastwą płomieni. Po kilku ogniowych katastrofach – ostatni w 1893 – Abraham i Józef postanowili pozbyć się feralnej majątności. Ostatnie łatwopalne składowisko zlikwidowali w 1904 r.

Z gromadką najmłodszych pociech „ewakuowali” się do Wrocławia, a jedyne w swoim rodzaju, renomowane lokale pięknego domu udostępniłi prominentnym sublokatorom.

Ich willa nietknięta pożogą wpadła w oko Konradowi Kühne, sędziemu okręgowemu pełniącemu funkcję prezesa Królewskiej Komisji dochodów i wymiaru podatkowego oraz Georgowi Lutterowi, nadleśniczemu katowickich lasów. Mieszkali w niej do 1894 r.

Potem, wyłącznym najemcą pałacowych apartamentów został August Schneider, pierwszy nadburmistrz Katowic. Rezydował tutaj do 1903.

Plac przed rezydencją Goldsteinów, wtedy Wilhelmsplatz, miał już europejską prezencję i był nazywany nowym Rynkiem (Neue Ring). To sympatyczne założenie nazywane też parkiem, podobnie jak niektóre pomieszczenia Goldsteinowskiego pałacu zostało ulokowane na planie heksagonu, który dla miłośników geometrii i kabalistów pozostaje trzonym magicznej gwiazdy Dawida.

Bracia Goldsteinowie wyprowadzili się do Wrocławia, gdzie w dalszym ciągu, już na wcześniejszej zagospodarowanej posesji (przy obecnej alei gen. Hallera), pod wspólnym szyldem prowadzili tartak parowy i skład drewna.

Od kilkunastu lat z powodzeniem prosperowały ich firmy w Częstochowie, wtedy administracyjnie należącej do imperium petersburskich carów. Od 1878 roku przy ulicy Stradomskiej 1 mieli tartak parowy zatrudniający ponad 50 robotników. Od 1882 byli też głównymi akcjonariuszami spółki „Stradom”. Ich współnikami byli kupcy i przedsiębiorcy warszawscy i śląscy. Zajmowała się produkcją szpagatu – cienkiego, ale mocnego sznurka skręcane go z włókien konopnych, popularnego wtedy wynalazku. Cieszył się ogromnym popytem nie tylko wśród tysięcy szewców, rolników i żniwiarzy, ale też w wielotysięcznych szeregach armii – nieustannie wojujących pod rozkazami pruskich Hohenzolernów oraz rosyjskich Romanowów.

Po roku 1892 przebudowali i rozbudowali popularną „szpagaciarnię” przy ulicy Stradomskiej 19 (nieopodal tartaku). W nowych halach zainstalowali nowoczesne maszyny przędzalnicze produkujące płótno i worki jutowe. Na przełomie wieków dawała zatrudnienie dla ponad 2 tysięcy mężczyzn, kobiet i dzieci. Funkcjonuje do dziś i cieszy się renomą w wielu krajach świata.

Od tamtej pory datuje się znajomość i współpraca Goldsteinów z kamiennogórskimi Grünfeldami.

Gertruda

Najstarszą siostrę Kurta – Gertrudę urodzoną nad Rozdzianką, poślubił Ludwik Grünfeld, współwłaściciel legendarnej tkalni, szwalni i przedzalni w Kamiennej Górze. Jej wyroby lniarskie miały nabywców na całym świecie. Miała firmowe galerie w Berlinie i we Wrocławiu. Była znana pod szyldem: „Falk Valentin Grünfeld”. Sławę zawdzięczała nie tylko wysokiej jakości swoich wyrobów, ale również architekturze oryginalnie zaprojektowanych hal fabrycznych, zupełnie niepodobnych do

nagminnie wtedy wznoszonych szarych i klockowych baraków.

Park maszynowy i magazyny Grünfeldowie urządzili w przestronnym pawilonie, którego fronton miał szerokość 120 metrów. Do wnętrza prowadziły szerokie drzwi i bramy z bogato zdobionymi portalami, a wysoko nad całą budowlą wznosiła się wieża zakończona stylową wręcz bizańtyńską kopułą majestatycznie górującą nad fabrycznym dziedzińcem i widoczną z dróg dojazdowych do sudeckiego miasteczka u stóp Gór Kruczych.

Podczas uroczystości weselnych Gertrudy i Ludwika, warszawscy goście wnoszący toasty za pomyślność katowickich Goldsteinów i kamiennogórskich Grünfeldów, powtarzali mickiewiczowskie: „Godzien jest pałac Paca, godzien Pac pałaca”.

Na początku nowego stulecia Gertruda z mężem i dziećmi przeniosła się do Berlina.

Jej rodzice mieszkali wtedy we Wrocławiu. Gdy w 1902 roku zmarł nestor Abraham Goldstein, osamotniona wdowa, zająca pani Rozalia Goldsteinowa z Cassirerów, przeprowadziła się do domu swej najstarszej córki nad Sprewą. Tam zmarła w 1911 r. i tam została pochowana.

Rodzinne sentymenty

O przeprowadzce do Wrocławia zadecydowały nie tylko przyczyny o charakterze ekonomicznym, ale także więzi, jakie łączyły panią Rozalię z jej starszym bratem Edwardem i jego rodziną, która nad Odrą zamowiła się przed 1874 rokiem. Nici sympatii łączyły również kuzynów – jej syna Kurta, z jej bratanikiem Ernestem – obydwaj byli wnukami dziadka Markusa Cassirera z Katowic.

Gdy Ernest rozpoczął studia filozoficzne, Kurt miał przed sobą jeszcze kilka ostatnich semestrów przed maturą. Opowiadki i ploteczki o akademickich przygodach, cztery lata starszego krewniaka stały się inspiracją dla zainteresowań Kurta. On także marzył o tym, aby studiować filozofię. Biografowie przypominają, że jeden semestr Kurt zaliczył na uniwersytecie w Heidelbergu. Potem jednak zauroczyła go medycyna. W okresie studiów na uniwersytecie wrocławskim bez reszty pochłonęły go sekrety neuroanatomii.

Goldstein i Cassirer, również po latach utrzymywali bliskie kontakty, gdy jako specjaliści w swoich profesjach poświęcali się pracy naukowej. Przez biografów Goldstein bywa nazywany „filozofem neuropsychologii”.

Na ścieżkę kariery lekarskiej wkroczył w 1903 roku, po ukończeniu studiów medycznych we Wrocławiu. Doktoryzował się pod kierunkiem urodzonego w Tarnowskich Górach prof. Carla Wernickego. W tym czasie zdał państwowy egzamin lekarski i rozpoczął praktykę.

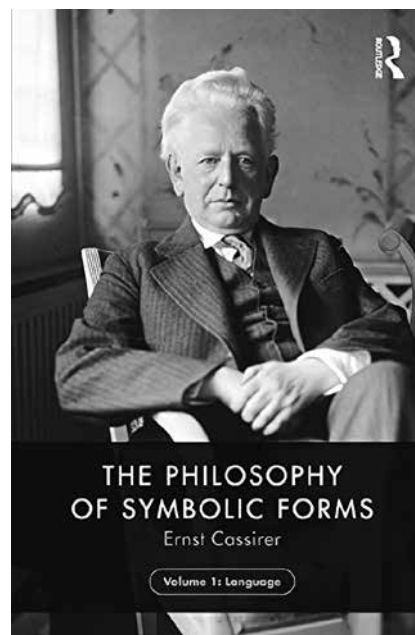
Nie można wykluczyć, że zburzenie atomistycznej wizji ludzkiego organizmu, a zastąpienie jej całościowo i funkcjonalnie ustrukturalizowaną koncepcją ludzkiego życia, Kurt zawdzięcza holistycznym poglądom lansowanym przez Ernesta.

„Goldstein uważał, że organizm jest jednolitą całością (dlatego jego teorię nazywa się „holizmem”) i błędem jest dzielenie go na „duszę”

i ciało. Chcąc zrozumieć mechanizmy funkcjonowania jakiejś części składowej organizmu, należy ustalić prawa, zgodnie z którymi funkcjonuje on jako całość” – pisze historyk psychologii Cezary W. Domański.

Paralele

Prof. Ernest Cassirer (1874–1945), jeden z filarów neokantowskiej szkoły marburskiej, za podstawę swojej filozofii przyjął twierdzenie: „ogół ma prymat nad elementem”, z czego wynika, że sam element nie ma znaczenia – znaczenie uzyskuje dopiero poprzez istnienie jako element całości. Kultura według Cassirera to świat „form symbolicznych”, a poznanie – to symboliczne przyswajanie zjawisk przez ludzki umysł, definiujący ten świat i własne doznania wedle paradygmatu – „nieokreślone przez określone”.



Prof. Ernst Cassirer portret i okładka jego dzieła *Filozofia form symbolicznych*

Zarówno holistyczna koncepcja badania procesów życiowych, jak i pojęcie samorealizacji, podstawowe pojęcia szkoły Goldsteinowskiej wskazują na podobieństwo elementarnych założeń metodologicznych filozofa Cassirera i neuropsychiatry Goldsteina:

Goldstein spostrzegł, że proces reagowania organizmu „nigdy nie jest wyczerpany w izolowanej reakcji, ale na różne sposoby inne obszary, a nawet cały organizm, są zaangażowane w reakcję”.

Jego zdaniem istota autoregeneracji polega na utrzymaniu organizmu w tak zwanym „średnim stanie pobudzenia”.

„Dla organizmu istnieje konieczność, aby „każda zmiana organizmu wywołana przez bodźce środowiskowe w określonym czasie równoważyła się ponownie, tak aby organizm powrócił do tego *średniego* stanu pobudzenia, który odpowiada jego istocie, jest *odpowiedni* do niego, i do niego wraca”.



Willa Goldsteinów – a raczej kamienica przy placu Wolności 12, stan obecny



Geschäftshaus des Berg- und Hüttenmännichen Vereins.

Karta pocztowa Willa Goldsteinów sprzed 1900 roku



Stary kościół w Haczowie



Nowy i stary kościół w Haczowie od strony szosy haczowskiej

Haczów? Czy wiecie, gdzie to w ogóle jest? Haczów leży w powiecie brzozowskim, na Podkarpaciu, można rzec po drodze w Beskid Niski, albo do Bieszczad. Niedaleko od szosy na Rzeszów. Wieś jak wiele innych na Podkarpaciu, aczkolwiek bogatsza niż wsie okoliczne.

Bogata nie tylko zasobnością gospodarzy, ale historią i – nomen omen – pieniądzem.

Haczów, a ściślej jego kościół, znalazł się na dwu i dwudziestozłotowych monetach wpuszczonych do obiegu w Polsce 13 września 2006 roku. Dlaczego dopiero dzisiaj, po latach piszę o tym? Bo wcześniej tych faktów nie znałem. Latem 2022 roku pojechaliśmy tam w odwiedziny do przyjaciół, znużonych życiem w mieście, w następstwie czego, pobudowawszy się na rodzicielskim gruncie przed ponad trzydziestu laty tam osiadłych.

W Haczowie stoi największy gotycki drewniany kościół w Polsce, a może i w Europie. Przez wiele lat uchodził również za najstarszą świątynię w kraju zbudowaną z nietrwałego materiału.

Obecna świątynia pod wezwaniem Wniebowzięcia NMP i św. Michała Archanioła jest pierwszym budynkiem sakralnym, jaki postawiono w tym miejscu. Niezwykły to przypadek, gdyż najczęściej mamy do czynienia z kolejną drewnianą świątynią, zbudowaną na miejscu poprzedniej – również drewnianej.

W XIV i XV wieku Haczów był dość sporą miejscowością. W 1352 roku Kazimierz Wielki zezwolił na lokację Haczowa na prawie magdeburskim. Dokument ten potwierdził Władysław Jagiełło w 1388 roku. Przypuszcza się, że właśnie wtedy zdecydowano o budowie świątyni.

Przytoczę dosłownie tekst z częściowo zatartej (co zaznaczam wielokropkiem...) tablicy przybitej do drewnianych belek ściany Haczowskiego kościoła.

„Stary kościół w Haczowie.

Dnia 7.11.1388 roku król Władysław Jagiełło potwierdził w czasie swego pobytu w Sandomierzu przywilej lokacyjny dla wsi Haczowa w Ziemi Sanockiej, wydany poprzednio przez Kazimierza Wielkiego. W dokumencie tym kościołowi poświęcono parę słów. Tych kilka słów starczyło, aby powstała legenda, która przybrała treść konkretną. Król Jagiełło ufundował beneficjum, królowa Jadwiga zbudowała kościół. Kościół ten spalili Tatarzy w roku 1624. Król Zygmunt postawił nowy kościół w latach 1624–1628. Ten nowy istnieje dotąd.

Legenda o budowie kościoła przez królową Jadwigę opiera się na drugiej legendzie (...) w drodze do Sanoka wóz jej utonął w błocie na terenie tzw. Bo-



foto: Janusz Plewniak

Skarb Podkarpacia

JANUSZ PLEWNIAK

rów należących wówczas do króla. Haczowscy chłopcy pomogli wydobyć powozy z błota albo z zasp śnieżnych. Jak mówi inny wariant legendy, również chłopcy haczowscy mieli dostarczyć chleby dla oddziału królewskiego, a na czele tej akcji stać miała rodzina chłopska Ekierów. Król w uznaniu dla akcji Haczowian nadał im owe Bory na własność.

Dokumenty stwierdzają, że jest coś prawdziwego w tej legendzie. Król Władysław IV w przywileju dla Ekiertów (...) wyraźnie potwierdza ich prawo do Borów. W Sanoku przebywał często Kazimierz W., stawia tu zamek, którego dalszą budowę prowadzili Jadwiga i Jagiełło. Król Jagiełło brał w Sanoku ślub z trzecią

żoną Elżbietą Pilecką. Tu też mieszkała jako wdowa królowa Zofia, a później królowa Bona. Stąd też wypadek „utonięcia w błocie czy śniegu” należał do prawdopodobnych wydarzeń.

Stary kościół Haczowski jest jako zabytek dawnej architektury ciekawy, toteż od dawna budzi zainteresowanie. Budowany jest na węgiel z belek modrzewiowych bez użycia gwoździ. Nawę główną i prezbiterium nakrywa wspólny dach wysoki na 11 metrów, wsparty na gzymsie o formach raczej gotyckich, zaś gzyms prezbiterium podpierają konsole grubo rzeźbione w maskarony. Nawy boczne są nieco niższe od nawy głównej. Na froncie ma kościół



Boczny ołtarz z XV-wieczną piętą

drewnianą wieżę o konstrukcji słupowej, wysoką na 25 metrów, zwieńczoną barokowym hełmem. Długość kościoła wynosi 25 m, wysokość wnętrza 9,60 m. Kościół jest orientowany.

Wiadomość o spaleniu kościoła Haczowskiego przez Tatarów uchodziła (...) za fakt historyczny (...). Haczowie spalili wieś, ludność zabrali w jasyr, ale kościoła nie spalili. Wskazuje na to także fakt, że lustratorzy królewscy z roku (...) nie wspominają nic o kościele. Również niektóre szczegóły budowli wskazują raczej na wiek XV niż na wiek XVI.

Trzeba było jednak podbudować dalszymi argumentami pochodzenie kościoła Haczowskiego z XV, czy nawet końca XIV w. W poszukiwaniach tych dopomógł przypadek. W lecie 1955 r. odkryto przypadkowo na ścianach odsłoniętych przez parafian, którzy przenieśli ołtarze do nowego kościoła, ślady starych malowideł. Po przebadaniu ich okazało się, że kościół posiada polichromię z końca XV wieku. Tym samym więc sam został zbudowany nie później niż w XV wieku.

W ten sposób kościół w Haczowie awansował do rzędu najstarszych i najcenniejszych zabytków budownictwa drewnianego w Polsce.

Kościół ten został uznany przez Ministerstwo Kultury i Sztuki za zabytek kultury i podlega ochronie państwa.

Urząd Parafialny w Haczowie”

Tyle informacji na drewnianej tablicy drewnianego kościoła. Losy historycznych opowieści o Haczowie troszkę odmieniły się, kiedy badania dendrochronologiczne ujawniły, że najstarszym drewnianym kościołem w Polsce jest prawdopodobnie świątynia w Tarnowie Pałuckim pod Poznaniem – kościół świętego Mikołaja; też z XIV wieku, acz być może kilka-kilkanaście lat wcześniejszy. Dotychczas w wielu opracowaniach sugerowano, że zbudowany w końcu XIV wieku, przyjmuje się, że w 1388 roku, kościół w Haczowie ma najstarszą metrykę... Czyli przyjmując możliwy błąd pomiaru, obie świątynie są podobnie leciwe.

Kościół w Haczowie, mimo że być może nie jest najstarszy, to jednak jest to jedyna tak duża świątynia z bogatym zespołem zachowanych średniowiecznych malowideł.

We wnętrzu kościoła zachowała się polichromia figuralna z 1494 roku. Najwięcej cennych malowideł znajduje się w prezbiterium, między innymi Sąd Ostateczny oraz scena Koronacji Matki Boskiej. Wiele z nich jest słabo widocznych. W nawie uwagę zwraca monumentalne przedstawienie olbrzyma św. Krzysztofa przenoszącego Chrystusa przez rzekę oraz veraikon – przedstawienie twarzy cierpiącego Chrystusa na chuście św. Weroniki.

Sztukę gotycką reprezentują także rzeźby, w tym Pieta z około 1400 roku, kopia cudownej figury Matki Boskiej Bolesnej (oryginał jest w nowym kościele tuż obok starego, na tym samym placu). Według legend ta pochodząca z około 1400 roku gotycka pieta „przybyła wodą” rzeki Wisłok, zapewne w czasie powodzi i zatrzymała się pod starym drewnianym haczowskim kościołem. Mieszkańcy umieścili figurkę w nowej świątyni. Figura została ukoronowana w 1997 przez papieża Jana Pawła II.

Kościół w Haczowie w 2003 roku został umieszczony na liście światowego dziedzictwa kulturalnego UNESCO z następującym uzasadnieniem: najstarszy, największy i najlepiej zachowany gotycki kościół drewniany konstrukcji zrębowej w Europie, praktycznie niezmienny pod względem konstrukcyjnym, z bogatym wystrojem malarskim i rzeźbiarskim; czytelnym nawarstwieniem form architektonicznych i dekoracyjnych od XV do XIX wieku.

Współcześnie kościół znalazł się na wizerunku monet 2- i 20-złotowych wyemitowanych przez Narodowy Bank Polski 13 września 2006 roku. Monetę o nominale 2 złote wyemitowano w nakładzie 1 000 000 sztuk, a dwudziestozłotówkę w nakładzie 64 000 sztuk. Monety te wchodziły w skład serii Zabytki Kultury Materialnej w Polsce. ■



Moneta z Haczowskim kościołem



MIĘDZY CISZĄ A HAŁASEM

MARIAN GRZEGORZ GERLICH

Paweł Pustówka, który pieśniom „całe życie zawdzięczał...”

Z coraz większą obawą obserwuję pewną, nawet coraz bardziej dominującą, tendencję zachodzącą w rodzimych badaniach regionalnych. Doceniam koncentrację i zafascynowanie pewnymi zjawiskami społecznymi i kulturowymi, typowymi zwłaszcza dla współczesności, ale też wybranymi zjawiskami znaczącymi dla czasu minionego. Jednak zarazem mój niepokój budzi to, iż coraz bardziej odchodzimy od badań i prezentacji dorobku wielu postaci zasłużonych na niwie badań tradycji, zwłaszcza tych określających naszą regionalną tożsamość, badań nad postaciami rejestrującymi dawne obyczaje, obrzędy, dawny kanon kulturowy, w tym choćby samorodne pieśni ludowe. Zarówno typowo chłopskie, jak i te będące wytworem tradycyjnych środowisk robotniczych. A przecież tego typu pieśni odzwierciedlają ludowy sposób myślenia, emocje, ale też śpiewają o panującym systemie wartości o sposobie pojmowania Dobra, jak i w konsekwencji piętnowania Zła... Dokumentują też banalną codzienność, jej rytm i specyfikę. Często były to perełki dawnego widzenia i definiowania świata, dawnej – jakby powiedział Włodzimierz Pawluczuk – „ontologii ludowej”.

I z całą pewnością do grona tych postaci usilnie – lub przypadkowo – spychanych do sfery niepamięci przynależy wielu. Ale na szczęście nie dotyczy to – zwłaszcza od pewnego czasu – Pawła Pustówki. Świadczą o tym teksty jemu poświęcone (np. w Śląskim Słowniku Biograficznym, czy np. na łamach Kalendarza Góleszowskiego). Na szczególną uwagę zasługuje jednak wydany w 2020 roku śpiewnik „Pieśni ludowe ze zbiorów Pawła Pustówki” pod redakcją dr Danuty Zoń-Ciuk. W słowie wstępnym jego wnuk, Ryszard Gabryś, wskazuje na rolę tradycji w realnej teraźniejszości. Pisze, iż zebrane przez dziadka pieśni miały służyć „pomnażaniu radości i kojąc tęsknotę za minionymi latami” a dziś, pisze dalej, „niechaj te ludów-

ki żyją i ozywają”; ozywają w nowych realiach, w rzeczywistości gdy już umarła owa tradycyjna kultura, ta której nosicielem było dawne chłopstwo i środowiska plebejsko-miejskie.

Ostatnio zaś ukazała się cenna płyta „Wziąłem te pieśni od ludu...”. Powstała w ramach projektu realizowanego przez Gminę Góleszów, który uzyskał wsparcie z Programu Polsko-Amerykańskiej Fundacji Wolności.

To działania ostatnich lat, godne i owocne. Spełnia się zatem marzenie folklorysty z Góleszowa. Przecież rok przed odejściem Paweł Pustówka wyznawał na łamach Głosu Ziemi Cieszyńskiej: „Pieśni zawdzięczałam, iż życie moje było jasne, pełne uroków, poszukiwań, radosnych wzruszeń, ale najwięcej cieszyło mnie to, że zapożyczone od ludu pieśniczki owe szły do tego ludu...”. Przypominam sobie apel folklorysty Jana Taciny wygłoszony na łamach Komisji Folklorystyczno-Etnograficznej Śląskiego Instytutu Naukowego końcem lat 80., aby zająć się badaniem dorobku Pustówki.

I po tych uwagach zwróćmy bliżej uwagę na biografię folklorysty. Pustówka urodził się 13 lipca 1879 we wsi Mnisztwo na ziemi cieszyńskiej, a zmarł 25 grudnia 1969 w Góleszowie. Pochodził z typowej dla owych czasów rodziny, typowej, ale zarazem tchniętej „genem” muzyki; wszak już ojciec grał na harmonii pedałowej. A tkwiły one dalej, poprzez wnuka Ryszarda i prawnuka Aleksandra, kompozytora i kontrabasistę. Powróćmy jednak do Pawła. Przyszły organista, nauczyciel i badacz folkloru uczęszczał do Ewangelickiej Szkoły Wyznaniowej w Cieszynie, a następnie do Szkoły Ludowej. W domu rodzinnym często urządzano wieczory muzyczne. W 1900 r. ukończył cieszyńskie Seminarium Nauczycielskie. Należał wtedy do krzewiącego oświatę ludową i polskość Stowarzyszenia „Jedność”. Od roku

1900 pracował w Brennej i Ustroniu Dobce, a w 1904 r. przeniósł się do Góleszowa Równi, gdzie pracował (do emerytury) w tamtejszej Szkole Powszechnej jako nauczyciel i jej kierownik. W okresie pracy nauczycielskiej był członkiem Cieszyńskiego Towarzystwa Pedagogicznego. Od 1904 roku, P. Pustówka przez ponad 55 lat pełnił funkcję organisty w góleszowskim Kościele Ewangelickim. Ale przede wszystkim, jak czytamy w jednym z opracowań, znaczącym elementem jego pracy pozostał zbiór pieśni kościelnych w czterogłosowej harmonizacji na organy – „Chorałnik do użytku Kościoła Ewangelickiego w Polsce”, wydany nakładem autora w Cieszynie w roku 1933.

W czasie pracy zawodowej Pustówka zbierał pieśni ludowe Śląska Cieszyńskiego. Opracował około 300 pieśni, 200 melodii oraz cyklów obrzędowych z recytacjami. Przygotował widowiska folklorystyczne, jak „Pod Czantorią” i „Pieśń o ludzie naszym”. I jeszcze wodewil „Wesele cieszyńskie” podług Jana Wałaskiego. Poza tym pisał do powstałego w 1907 roku „Zarania Śląskiego”, pisma powołałego przez inteligencję cieszyńską. Po śmierci popadł Pustówka, jak wielu regionalistów, w sferę zapomnienia, która na szczęście mija dzięki pasjonatom jak Iwona Franek, czy władzom samorządowym, szukającym korzeni ludziom „stela”.

„Zaglądam i ja nadal – wyznał mi niedawno Ryszard Gabryś – do dziadkowej, pełnej księżek i nut, które sprostawał z Wiednia i Krakowa, *trówy*, do druków i rękopisów, szczególnie kieszeniowego zapisnika z pieśniczkami, których był kolekcjonerem. Podejmuje ich intonacje i na pewno coś z ducha tej spuczyzny brzmi w serii moich utworach. Biegniemy sztafetą po coraz odleglejszych orbitach, lecz centrum, krew, Macierz, puls muzyczny pozostaje...”. Tak więc Pustówka trwa w zapisanych pieśniach i inspiracji twórczej.

Pamiętka

kulawy poeta czasem
można go było zobaczyć
pomiędzy słowami
jak zagłada w okna
opuszczonego domu
ale nie śmiał już wejść
pewnie bał się
słów okaleczonych jak on
przez czas szaleństwo i chorobę
trzeba by nimi powiedzieć
co zobaczył
całą tę wiotką bajkę snów
szybkich kroków w środku
gdzie światło schody i klamka
którą kradnie teraz
jak myśli
na pamiętkę

Ulica

mit ją wysłał głód mitu zatem w lustrach naga jak zawsze pierwsza
coś jak dziwnie niedomknięte okno przez te wszystkie lata dziwna
też linia pisma była bo przecież pisała mu przez okno alfabet twardy
kiedy tęsknił wszak wiele mówi ten co wieczór powie wtedy twarz
w śniegu prędko odciskał i stół i dom i wszystkie te białe prześcieradła
topniały nieużyte jak tyle im podobnych

Powitanie

wracam znad rzeki powiedziałaś w nocy
ja znów drzwi otwierałem śniąc mokrą
dziwne światło tak długie palce kładło
jakby tylko dotyk
opowiadać miał teraz umarłą

Widmo

łatwo stwierdzić co przedstawia ta fotografia
kim jest tych tych dwoje na tle
które kiedyś musiało być złote

całe moje życie upłynęło na walce z tym
smutkiem
zdaje się mówić mężczyzna
i zaraz jakby nasłuchiwał

ale zamiast odpowiedzi słyszy tylko wyso-
ki śpiew
nieistniejącej gwiazdy

lśni niemo w sodowym świetle
jak świeżo po deszczu

Zaraz będzie noc

poprawia wiersz zmienia twarz wiersza
patrzy mu prosto w oczy

ale oczy wiersza są zamknięte
może nigdy ich nie miał

w ślepym wierszu śpi kobieta
z otwartymi oczami

i widzi jak ona w tym śnie
odwraca głowę i płacze

jak nie chce już znać
ani jednego poprawionego słowa

znów wolno wykluwa się wieczór
płoną rękopisy zaraz będzie noc

Meksyk Ostateczny

coraz więcej śniegu
coraz mniej światła
wszystko w porządku
świat i śnieg

stary mężczyzna dotyka szyby
patrzy w skupieniu na dzień
dzień jest jak z blachy
nie wejdzie do pustego pokoju

na wzgórze wzdłuż doliny
ucieka znów blady chłopiec
widać jego ślady resztki słów

stary mężczyzna przez chwilę
biegnie za nim w milczeniu
potem uśmiecha się czeka

Siła rzeczy

dom stał przy torach oschły znak
jak się to wszystko skończy

siłą rzeczy nie pojmował drogi
ani tych
którzy brudzą tu ręce
ranią kolana robią dziury
w starych i nowych wierszach

krótco przed odjazdem nim załała
go krew beton zarósł trawnik
spieszył się modlić
pusty sliping żalu wszystkie
zdjęcia ze ścian
leciały już z nim do nieba

Nie bój się

kiedy oczy otwierasz od snu jeszcze
ciężkie masz powieki i ranek cię widzi
za mgłą przecież wiesz ja już w drodze
po omacku węższą głodnym snem
więc ręce ci drżą

tak jak usta bo gość przecież nieproszony
ale wszędzie się wciska oto kiedy stopą
chcesz pantofel namacać on też wszedł
i do palców się lepi pieszczotą

więc nie wracasz do łóżka tylko bosa
szukasz żeby zaprzeczyło lustro
nowej zmarszczki żeby potwierdziła
kratę lat

ale co to jak
on przez lustro miękko przeszedł
jego deszcz kropel tyle
każda kroplę ścierasz

nie bój się nie bój miła
tak przecież umiera

Listy na śniegu

zabrałem po śladach
mój śnieg bez słów
niemy czarny

teraz ty czytaj szron
okno i mgłę
linijka po linijce zagładaj
w nieruchome oczy

Mała mgła

w jej snu czarne żarna
jego snu zgorzel czarna

świeci lustro zielone
z trawy nakłada koronę

głowie białej cierniowej
gęstej ziemi podpowiedź

trzymają się mocno za ręce
tak płyną w królewskiej udręce

śpiewa im okno szpitalne
dalekich mórz zimne fale

swe dziecko po falach boso
w sen nieobuty już niosą

i małą mgłę znów do lustra
wbijają krzykiem ich usta

Spotkanie

wszystkie mroki świata przez nią
przemówiły wszystkie jego
światła

i nie miał już czego żegnać
bo oprócz niej nic nigdy
nie wyszło mu tutaj
naprzeciw

Obłok

więc nic
nikogo ?

nikogo

nie mogę na to patrzeć

nie patrz

wyjawisz mi swoją tajemnicę ?

nie mam żadnej

nic nie wiesz ?

nic

obłok przepływał nad nimi
łagodnie i delikatnie
jakby ich nigdy
nie było

Obcy ogień

list na który odmówiła
jakiegokolwiek odpowiedzi
wzgórza hotel jezioro
wulgarny wysiłek wspomnień

tej nocy znów będzie noc
tyle po tobie

zapadłe obrazy
dorobiony klucz

Fuga

teraz wiem bo chciałem pisać przed chwilą co było jasne
i znajdowałem słowa i układałem coś w rodzaju myśli
i samo się i na wzór myślało jak zawsze kiedy wchodzisz
czy wychodzisz z siebie ciał miłości albo innych znaków
na niebie i w ziemi

znowu szesnastoletni widzę jak bezszelestnie miały kości
dni słowa wszystkie głos twój w zębach żelaznych śpiewa
zostaje

Do portu

stary który stoi i widzi
gasnące światła
których nie zapomni
których nie zapamięta

światła płyną w powietrzu
proste spokojne i piękne

szli tędy wzdłuż ulic do portu
tam zatrzymali się i patrzyli
na morze w milczeniu

Głupcy

przyjaciółko kwiecie jak nie myśleć tobą
w głąb życia wbity strwożony nie mgłą
zza której słabo cię widać groby czarny ład
hojnie mi ciszę siejesz dzwonki smutku
drżą pasterko kwiecie obfity dziś w nocy
znowu wiedziałem nie wróci nie wróci! białe
po deszczu Gliwice maja chłodny uścisk
świecidło ciemne instytut onkologia nic? nikogo?
nikogo *do starości w samotność* słyszałem
to będzie to się nasuwa jak gwiazda
spokojna wycieka rozplywa Isolde życia wodo
żywa w życiu moim prawdziwa już nieobecna
obecna urojona Isolde pod warunkiem że wszystko
o niej kończy się słowem - była
zawsze blisko kiedy najdalej; ach Isolde kwiecie
wzniesiesz ogień, wiem
uśmiechnięci umarli mówią nam przez sen
głupcy!

Lonże i alonże w poezji Różewicza (nożyk profesora o! z 3 Appendiksy)

JERZY PASZEK

przepraszam za te fanaberie
językową kokieteryę
(robię to dla moich krytyków)

(Tadeusz Różewicz w 2002 r.)

Życie literackie przynosi miłośnikom słowa drukowanego, a obecnie także słów z „chmury” internetowej – liczne niespodzianki. Myślę, że nierzadkie bywają przyjaźnie pisarzy, które następnie ulegają metamorfozom (wrogość), by po jakimś czasie powrócić do rajskich początków i fascynacji. Ale spotkałem również bardziej skomplikowane i zawiłane struktury: wpływ starego poety, idola, na debiutanta, efebę (co powinno być chyba normą zachowań społecznych i intertekstualnych), po czym następuje faza zmiany dykcji staruszka, chcącego się odmłodzić i pisać tak, jak proponuje młodzież; ale czy jest też spotykana faza trzecia, gdy ukształtowany, dojrzały były efeb, chce rywalizować ze swoim mentorem, który opanował znakomicie warsztat najnowszych prądów i modnych chwytów artystycznych? Przejął się hasłem „najmniej słów”! A na to drugi: „Ale z przypisami”! Nb. *Appendix* Staffa w podtytule informuje: „Ala ma kota”...

Otóż myślę, że zauroczenie Tadeusza Różewicza „Starym Poetą”, czyli Leopoldem Staffem, osiągnęło II etap, a ostatecznie i III bazę! Mieszkaniec Gliwic i Wrocławia notuje w *Kartkach wydartych z „dziennika gliwickiego”* 21 X 1957 roku: „Umarła Matka. Umarł Staff. Mój stary przyjaciel. Mój Najlepszy przyjaciel. Nigdy od niego kropki goryczy nie wypilem. Dobry, uczynny, uważny – przy tym krytyk, kiedy trzeba. Kochany Człowiek. Odszedł. Stary Przyjacielu, zaprzyjaźniliśmy się jak brat z bratem – poeta z poetą”¹.

Staff rzeczywiście pomagał Różewiczowi, ale w tomach ostatnich (*Wiklinie* z roku 1954, w *Dziwięciu Muzach* z roku 1958) wyzyskał sposoby formułowania i formatowania tekstu poetyckiego, wniesione do polskiej literatury przez liryka o 43 lata, czyli prawie dwa pokolenia, młodszego. Najlepiej tę sytuację opisuje anegdota Gabriela Karskiego, zawarta w jego wspomnieniach pt. *W przymglonym lustrze* z roku 1970: „Mam z tym nie lada kłopot – oświadczył mi [Karskiemu] Staff, wskazując na biurku mocno pokreślony arkusik papieru: brulion nowego wiersza. – Starym nawykiem wciąż mi się pchają pod pióro rymy, w tym wierszu właśnie niepotrzebne, zbędnie dudni katarzynkowy rytm i maszerują strofy... a poza tym mazole się nad skreśleniem każdego zbytecznego słowa... // A gdy mu żartem podsunąłem: – Czy to może wpływ Różewicza? – uśmiechnął się i odrzekł: // – A jakbyś zgadł! Ale ja się nie wstydzę wpływów [...] Cóż, uczyć się należy zawsze, a kto wie, czy nie najskuteczniej... od własnych uczniów!”².

Pięknym dowodem przyjaźni Staffa i Różewicza jest fraszka Starego Poety, napisana w roku 1954, w której dowcipnie broni wartości poezji młodszego kolegi „po piórze” przed bezmyślnymi i bezczelnymi atakami mniej zdolnego literata (Jana Bolesława Ożoga):

Ażeby je ocalić przed zniszczeniem srogiem
Apollo je wydobyl z ognia swym ozogiem³.

I oto przechodzimy – zupełnie nieoczekiwanie i niesamowicie! – do III etapu, który nastąpił po 44 latach od wydania Staffowego *Appendiksu* do tomu *Dziwięć Muz* (aneks ten zawiera 20 miniatur lirycznych) w kończącym libellę *szara stręfa Appendiksie* (składającym się z 9 wierszy Staffa i tyłuż polemik Różewicza). Teraz (2002) efeb jest też Starym Poetą (bo ma 81 lat, których nie dożył Staff, umierający w 78 roku życia) i postanawia „przekomarzać się” z tak bliskim mu kiedyś twórcą. Zobaczymy wyrazisty i pogładowy przykład owego przyjacielskiego przegadywania się w konfrontacji 4-wersowej miniatury Staffa, znajdującej się zresztą poza *Appendiksem*, z 24-wersową wersją Różewicza. Oba utwory mają identyczny tytuł *Tołstoj*:

Tołstoj uciekł od smutku,
Miał wszystko, więc nie miał nic.
Idę radośnie w skwarze dróg,
Właściciel swego cienia⁴.

Riposta byłego ucznia, a obecnie już Starego Poety, wygląda na przypis uczonego szperacza biograficznego, a także na kogoś, kto radykalnie potrafi obniżyć wysokie loty olimpijczyka (choć w przebraniu wędrownika i ubożego piechura) i zaprezentować nam realia przełomu wieku XX i XXI w obrazie mody damskiej (sukienki „mini” – ta nazwa odgrywa zapewne ważną rolę w polemice, bo jest aluzją do słowa „miniatura”) i zachowań alkoholików spod budki z piwem („rzucić mięsem” to idiom dotyczący ‘przeklinania’):

Tołstoj uciekł
nie od smutku ale od Żony
Zofii Andr. (która przeszukiwała mu
kieszenie)

Idę bezradośnie ulicą Piękną
przez chmurę spalin

Tołstoj miał wszystko

Tołstoj uważał Hamleta
za poroniony płód Szekspira
Tołstoj szył buty w których
nigdy nie chodził

Tołstoj był (prawdopodobnie) bogiem
który pisał powieści i elementarze
ale zazdrościł Dostojewskiemu
że ten był człowiekiem
który zarabiał pisaniem na chleb

idę dalej ulicą Powstańców

nie jestem nawet właścicielem

swojego cienia
właśnie stoją na nim trzy dziewczyny
w „mini”
i jeden pijak który chce coś
wyrazić
ale tylko rzuca mięsem⁵

Polemika Różewicza ze Staffem zaciekawia czytelnika, bo były efeb, oczywiście, nie porzuca swoich interpunkcyjnych przyzwyczajęń, ale przede wszystkim sprowadza biografię młodopolskiego liryka do współczesnych – po prawie 100 latach bujnej i burzliwej historii – warunków, w których przyszło żyć pokoleniu „Kolumbów”. Dla mnie, po lekturze biografii rosyjskiego olbrzyma (Wiktor Szklowski: *Lew Tołstoj*), zdumiewające jest to, że polski poeta wspomina o faktach, których nie podnosi monografista w obszernej (s. 840) swej księdze. Nie wiadomo przecież, z jakich źródeł korzystał Różewicz, charakteryzując twórcę 90 tomów dzieł zebranych. Czy mówiąc o Tołstoju jako bogu (literatury?) nawiązuje do wyznań autora *Wojny i pokoju*, w których opisuje – cechując się „bezlitosną, absolutną pamięcią” (wedle słów Szklowskiego) – moment swoich własnych narodzin: „Jestem związany, chcę rozprostować ręce i nie mogę tego zrobić. Krzyczę i płaczę, i mnie samemu nieprzyjemny jest mój krzyk, ale nie mogę przestać”⁶? Czy pisząc o żonie powieściopisarza, przeszukującej kieszenie męża, ma na myśli nerwową kwerendę Sofii Andriejewny pod hasłem „gdzie jest ukryty testament” (bo mając dziewięcioro dzieci, a po śmierci Tołstoja zajmując się 38-osobową rodziną, zmuszona była błagać cara o comiesięczną rentę!)? Czy streszczając poglądy Tołstoja na dramaty Szekspira nie myli nasz poeta *Hamleta z Królem Learem*? A w którym ze swych 90 tomów (widziałem je w mieszkaniu mojej rusycystki, mgr Haliny Kroczkowej, w roku 1958!) wspomina o Dostojewskim, muszącym utrzymywać się z pióra (co nb. i tak było przecie wszystkim wiadomo!)? Domyślam się tylko, że autor polemicznego wierszyka hiperbolizuje i nieco koloryzuje informacje o rosyjskim bogu literackim (polskimi bogami poezji mieli być – jego zdaniem – Kazimierz Wierzyński i Leopold Staff⁷), tak samo jak zapewne nierealistycznym obrazem jest sugestia o dziewczynach, zawłaszczających nawet najdłuższy cień poety...

Nie ma takich problemów erudycyjnych przy kolejnych przekomarzaniach się i równocześnie przedrzeźnianiach jednego poety przez drugiego poety. Wystarczy spojrzeć na dwie konkurencyjne wersje fraszki pt. *Włos*. Oto propozycja Staffa (Ap I, 957):

Siadł gość nad zupy misą
I znalazł włos.
Więc woła w głos:
Ja wolę łysą.

Na to Różewicz strzela rymami „misą” – „moralistą” – „łysą” – „skandalistą” – „krzyknął” oraz neologizmem-kalamburem „dzupa”. Ciekawe, że łysą jest tu kucharka, jak gdyby z innej baśni, bo z *Łysej śpiewaczki* (1950) Eugène’a Ionesco, charakteryzująca się odpowiednimi dla jej fachu gabarytami (Ap II, 99):

Siadł gość nad zupy misą
I znalazł włos! ponieważ
był filozofem i moralistą
podzielił włos na czworo
potem krzyknął
wolę kucharkę łysą
ale z dużą dzupą
I tak został skandalistą

Podsumowanie: Różewicz „rozwadnia” lakoniczne liryki Staffa, przewidując, że w takiej formie będą mniej „olimpijskie” i bardziej strawne (gdy mowa o zupie!) dla współczesne-

go czytelnika. Dodaje wszakże realia, o których nie pomyślałby chyba Stary Poeta, czyli te, odnoszące się do „rzucania mięsem” czy do „dużej dzupy”. Staff mógłby się cieszyć i być dumny z uczestnictwa w tym boju, dwuboju, na aneksy poetyckie, tzn. *Appendix* z 1958 i 2002 roku. Ale trudno przypuszczać, że polubiłby wulgaryzację językową, do której ucieka się jego uczeń. Nie zapominajmy jednakże, iż młody Różewicz zaczął od satyry w tomiku *Echa leśne* (1944) bądź *W łyżce wody* (1946) – słynny poważny debiut wydrukowano dopiero później (*Niepokój*, 1947). Zresztą w oddziale leśnym nosił, jak to przypomniał po prawie półwieczu (licząc od daty ukazania się powielaczowego zbioru pierwszych jego utworów) pseudonim Satyr, co powtórzył w poemacie *nożyk profesora*⁸. Tak więc zamyka się III faza, bo przechodzimy do II etapu ewolucji twórczej autora *Uśmiechów* (1955, 1957, 2000). To ten okres, w którym Różewicz osiągnął wiek Starego Poety (ma 80 lat!) i zapada na podobną chorobę poetycką jak jego Mistrz, czyli na natręctwo niepotrzebnych rymów, rytmów i kalamburów (typu: „jakiś klapsydry klepsydry”, NP, 11; „Tadziem, Tadziem” [ta ziem?], NP, 18). Wiek jubileuszowy pozwala mu na gest odsłonięcia swoich mąk twórczych, czyli pracy nad czytającą kartką papieru. Dostaliśmy kilka tomów z wersjami brulionowymi wierszy poety: tak jest w *Płaskorzeźbie* z roku 1991 (26 wierszy i poematów w brulionie i w druku); również *nożyk profesora* konfrontuje wersję brulionową z wydrukowaną jednego, tytułowego, poematu (NP, 5-27, nlb. 45-71: brulion).

I tu powstaje filologiczny dylemat. Czy w lekturze utworu o nożu (nożyk sporządzony został z oderwanej obręczy beczki w obozie Gross-Rosen lub Sachsenhausen), ważne są obie wersje, zatem ta ze stronic 5-27 oraz ta z nlb. stronic 45-71? Czy można sobie pozwolić na lekturę tylko wersji drukowanej, czyli bez tej pochodzącej z fotografii wydruku komputerowego (wszak w *Utworach zebranych* – w tomie *Poezja 4* z roku 2006 – pominięto znane od 5 lat bruliony)? Zdania bywają, oczywiście, różne, a osąd, iż tylko tekst wielowarstwowy jest wart uwagi – wcale nie musi być decydujący. Prezentuje tę tezę Maria Prussak: „Graficzną formę *nożyka profesora* tworzy nałożony na wydruk komputerowy tekstu, nieidentycznego z tekstem drukowanym, przemyślany układ wprowadzanych różnym kolorem atramentu (czarnym i niebieskim w różnych odcieleniach) dopisków, wstawek i skreśleń, takich, spod których widać słowa, i zupełnie nieczytelnych [...]”. W ten sposób powstaje wielowarstwowa konstrukcja, w której istotna jest zarówno równoległość przekazu, jak i wielopłaszczyznowość nakładających się na siebie informacji⁹.

Adam Dziadek w swoim artykule o tomiku *nożyk profesora* zwraca uwagę na inny aspekt odczytywania pierwotnej wersji, czyli poematu pt. *Nożyk profesora* (z majuskułą w tytule!): „wersja z odrębnymi poprawkami w szczególnie sposób dopełnia wersję końcową. Dopiero w tej pierwszej można wyczytać coś, co nazwałbym historią powstawania poematu, tym bardziej, że to właśnie z tej wersji wynika, że poemat powstawał w przedziale czasowym 1950-2001. Pięćdziesiąt jeden lat pisanie wiersza, myślenie o wierszu i bycia w wierszu”¹⁰. Otóż jest to nieco inna perspektywa interpretacyjna (badanie genezy i ewolucji tekstu) niż pozycja Prussak, z której wynika, iż **musimy** pochylić się jednocześnie nad dwiema wersjami utworu Różewicza – zostawmy filologom to, co filologiczne, a zwykłym czytelnikom nie utrudniajmy lektury!

Oto moja wątpliwość. Przecież znamy dzieła literackie, posiadające dwie zupełnie odmienne redakcje. Tak jest z *Rękopisem znalezionym w Saragossie* Jana Potockiego czy Tołstoja *Wojną i pokojem* (raz z dialogami bohaterów po francusku, drugim razem z przetłumaczonymi przez samego autora kwestiami obcojęzycznymi). Mamy wszak i *Legendę* Stanisława Wyspiańskiego w dwu różnych redakcjach, tej z 1897 roku, i tej z roku 1904 (wchodzących do *Dzieł zebranych* pisarza do tomu I [1964] i VI [1962]). Powieści Waława Berenta miały nie tylko obszerne zmiany tekstu (wyrzucone rozdziały w *Ozi- minie*), ale nawet poprawki w tytułach: *Żywe kamienie* to pier-

wotnie była *Opowieść rybaka*. Nie wspominam tu dziejów najnowszych, kiedy pisarz niekiedy spełniał wszystkie polecenia i wymogi cenzury! Mamy też dwa (lub więcej) odmienne tłumaczenia dzieł Szekspira, a nawet olbrzymie powieści Dostojewskiego (*Bracia Karamazow*) bądź Joyce'a (*Ulysses*) bywają w niemalym trudzie translatorów dwukrotnie spolszczane... Nb. jak wynika z rozmowy Różewicza z profesorem historii sztuki, Mieczysławem Porębskim¹¹, poemat miał początkowo inny tytuł: „Robigus zjada żelazny nożyk”¹². A z faktu, iż profesor w lagrze pracował przy naprawie torów kolejowych wprowadza poeta ważny wniosek, że refren z wstrząsającym obrazem pociągów, jadących do obozów koncentracyjnych, posiadał nowe, wspaniałe uzasadnienie: „T. R.: Tam pociąg wchodzi jeszcze... // M. P.: No tak, no bośmy stale na tych torach pracowali. // T. R.: No właśnie i następna wersja to jest pociąg... Bardzo ładnie tam mi się to rozwija...”¹³.

Istnieje więc taka możliwość, iż każda wypowiedź autora o jego utworze byłaby dla tekstologów i historyków literatury ważna i decydująca. Jest to *casus* „wojenników” i „wojowników” w Trylogii Sienkiewicza (czy wszędzie wprowadzać archaizm, bo tak proponował pisarz¹⁴). A przecie i Różewicz w przeprowadzonym z nim przez Andrzeja Sapiję wywiadzie-rozmowie dodaje istotne wiadomości o brulionach, druku i pomysłach kompozycyjnych, dotyczących tomiku *nożyk profesora*. Czytamy tam: „Ale wiesz [zwrot do Porębskiego], ten wiersz chce się upodobnić do formy tego nożyka... On musi się, ten wiersz, w rzecz zmienić”¹⁵. Podobiznę nożyka widać na okładce tomiku (autorstwa Katarzyny Brodowskiej): Co to znaczy dla interpretacji? Wedle mnie m.in. jest to decyzja poety, by wiersz-przedmiot był jak najprostszy, czyli „ostrugany” z przypisków i brulionowych dodatków czy też kokietyryjnych (jak piszą Edward Balcerzan i Prussak¹⁶) skreśleń, tzn. takich, by wścibski czytelnik, widząc „Jedwabne” na wydruku tekstu, domyślał się, że autor zapoznał się ze słynną w swoim czasie książką Jana Tomasa Grossa o Jedwabnem¹⁷.

Zmierzam do tymczasowej konkluzji: Fakt, iż istnieje kilka wersji brzmienia tekstu danego utworu nie oznacza, że wszystkie te wersje są tak samo ważne i decydujące o losach dzieła czy jego recepcji. Przecież za życia Mickiewicza nie czytano *Epilogu* do jego arcydzieła, a jednak podziwiano ów klejnot literacki! Od roku 2015, gdy istnieją dwie polskie wersje *Rękopisu znalezionego w Saragossie*, także musimy się zdecydować, który przekład wybieramy (albo chcemy czytać po kolei obie wersje, albo nawet równocześnie je konfrontować i powolnie studiować, odwołując się jeszcze do redakcji oryginalnej, czyli francuskiej). Wszakże *Utwory zebrane* Różewicza ukazały się przed zgonem poety, więc to jego słowa zadecydowały o druku wersji jednowymiarowej! Autor do końca życia może zmieniać swe dzieło. A nie może za nas – czytelników – decydować, czy na refrenowe obrazy przejazdu pociągu do Treblinki lub Sobiboru wpadł jeszcze w 1950 roku (data pisania poematu to w NP, 71: „1950-2001”), czy po zapoznaniu się z wierszem Wisławy Szymborskiej z roku 1957, gdy wydała tom pt. *Wołanie do Yeti*. Liryk-ballada ma nagłówek *Jeszcze*; zawiera wpadającą w oko i ucho (aluzyjne więzi z *Lokomotywą* Tuwima!) strofę o pociągu wiozącym Żydów do obozu:

Tak to, tak, stuka koło. Las bez polan.
Tak to, tak. Lasem jedzie transport wołań
Tak to, tak. Obudzona w nocy słyszę
tak to, tak, łomotanie ciszy w ciszę¹⁸.

A przecie Szymborska już w roku 1948 ogłosiła 8-zwrotkowy liryk pt. *Transport Żydów 1943* z refrenem „Zwyczajem pierwszej nocy pociąg / stał długo – wszystkich nie przeczekał.”, w którym pojawiają się jeszcze „druga noc”, „trzecia noc” i „czwarta noc”, tym razem ostatnia: „O przyjsciu czwartej nocy człowiek / wyważył opór wagonu. / Pierś miał podartą – w piersi / przebaczenia nie było nikomu”¹⁹. Wiersz ten do roku 2014 nie był przedrukowywany! Ciekawe, czy mógł go czytać

Różewicz, mieszkający w roku 1948 w Krakowie, gdzie ukazywał się „Dziennik Polski”? A jeszcze ciekawszą jest odpowiedź na pytanie: Co oznacza owo „przeczekiwanie” pociągu z wagonami bydłocymi? Czy odnosi się do „przepuszczanych” ważniejszych, jadących na front, pociągów? Czy może o Żydów, którym „zmieciono [zmieniono] twarze w ciasną ciemność” (z pierwszej zwrotki). Chodzić może bowiem o to, że w tym transporcie nie wszyscy dożyli do dnia następnego! Słowniki języka polskiego pod hasłem *Przeczekać* podają dwa lub trzy znaczenia tego czasownika: 1. ‘przebyć [...] pewien czas na czekaniu’, 2. ‘poczekać [...] aż coś przeminie, przejdzie, skończy się, spełni się’, 3. ‘poczekać (czekać) na coś z większą wytrwałością niż inni, czekając zostać (zostawać) gdzieś dłużej niż inni’²⁰. Wydaje się, że i sens drugi, i trzeci mogą tu mieć uzasadnienie: transporty frontowe miały pierwszeństwo, ale i pozostawianie ludzi bez wody i chleba całymi dniami i nocami (wtedy ten czasownik miałby sens: nie wszyscy zginęli, choć hitlerowcy czekali na to: pociąg „chciał” przeczekać aż do momentu, gdy większość pasażerów nie doczeka się przyjazdu do fatalnej, ostatniej stacji) było sposobem na ich zabicie, na „przeczekanie aż się zamęczą”, o czym czytamy we wstrząsających relacjach ocalałych Żydów²¹.

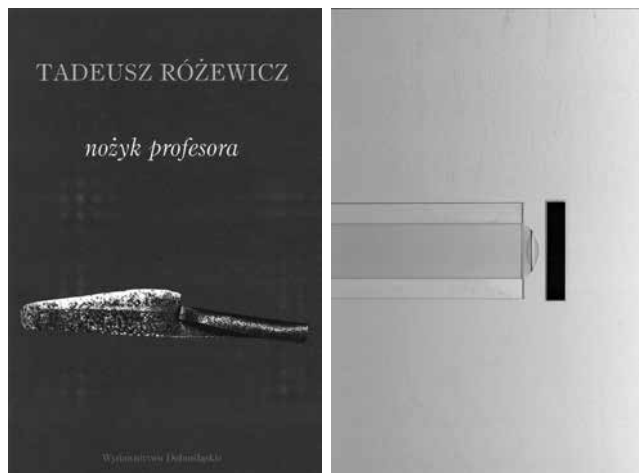
Czyli interpretacja literackich tekstów wymaga sięgnięcia po rozmaite wydawnictwa, tak artystyczne, jak i scienceficzne. Komentując *nożyk profesora*, gdy dojdzie się do końca cz. V poematu z linijkami „miejsce postoju oddziału nazywa się / ‘wysokie drzewa’” (NP, 25), to trzeba wiedzieć, iż w rzeczywistości 1943 i 1944 roku były to „Wysokie Sosny”²². A także to, iż mamy do czynienia z aluzją do tomu wierszy Staffa *Wysokie drzewa* z roku 1932. Ten jeden przykład wyjaśniania utworu poety przekonuje nas, że w zasadzie każde dzieło literackie jest wielowarstwowe. I dobrze jest znać bruliony oraz wywiady autora, bo potem wszystko (lub prawie wszystko!) daje się wyeksplikować.

W tym miejscu – gdy już padło słowo „eksplikować” – najwyższy czas na wyjaśnienia małych zagadek tytułu moich wywodów. Najpierw używam metafory alpinistyczno-poligraficznej, gdyż „lonża” to m.in. ‘krótka lina służąca do asekuracji podczas wspinaczki górskiej’²³, a „alonż” może tutaj oznaczać ‘rozkładaną wkładkę większą od kartek książki, zawierającą zwykle tablice, mapy, wykresy’²⁴ (nb. skrabiłsi słowa alonż używają w sensie ‘przedłużka, czego przykład to „akord” i „kord” lub „alonże” i „lonże”). Czyli chodzi mi o **odchudzenie** tekstu, czego przykładem jest Staffowski *Appendix* dodany do *Dziwięciu Muz* – liryki-miniatury, przewyciężające młodopolską grandilokwencję poety; w jakiejś mierze nawiązują one do Przybosiowego hasła „Najmniej słów”, które przyświecało i dominowało w sztuce poetyckiej Różewicza. Tenże twórca – przekomarzając się ze Starym Poetą – pokazał, iż potrafi również osiągnąć rozpasanie, saskie popuszczenie pasa, czego wymownym dowodem jest *Appendix* do tomu *szara strefa*. O tych dwu aneksach przede wszystkim piszę, zestawiając je ze sobą jako Ap I oraz Ap II.

A skąd podtytułowy *Appendix III*? Otóż w tomiku *nożyk profesora* na zasadzie dodatku-niespodzianki pojawia się po adnotacjach wydawniczych (NP, 44) nowa jakość poligraficzna, na żółtawym, zgrzebnym papierze, zatytułowana raz *nożyk profesora* (NP, 45), a zaraz potem (NP, 47) – *Nożyk profesora* (pokreślony wydruk komputerowy). Trudno się oprzeć wrażeniu, że znów mamy do czynienia z *Appendiksem*, w którym tekst jest „**otłuszczony**”, „**podtuczony**”, „**rozbuchany**”, „**obrośnięty sadłem**”, „**przybierający na wadze**”²⁵. Jest to ten „kokietyryjnie” (pomysł Balcerzana) pokreślony i zamazany nierządkiem tak, by nie dało się go odczytać, *Nożyk profesora*. Co innego „**odtluszczony**”²⁶, „**odchudzony**”, „**zeschuplonny**”, „**wyszczuplonny**”, „**tracący na wadze**” i „**pozbywający się nadwagi**”²⁷ poemat, z tytułem pisany małą literą! Zamiast mówić o „wielowarstwowym” i „jednowarstwowym” tekście z roku 2001, lepiej przeciwstawić jego wersję „oskrobaną”, **wiersz-rzecz**, wariantowi powiększonemu, utuczonemu, barokowemu, sporządzo-

nemu z okazji jubileuszu 80-lecia autora gwoździ radości czytelników, którzy mogą się tylko domyślać, czy Różewicz zamażał nazwisko Kornela Filipowicza (NP, 70, u dołu), czy było to jakieś inne nazwisko... Większości czytelników zapewne wystarczy wersja krótsza, a tylko nieliczni będą sięgać po libellę z roku 2001, przynoszącą tak ciekawe – dla wszelkiej maści szperaczy – detale i tajemnicze, kokietyryjne skreślenia i zamazania tekstu.

Dla mnie kwestią tajemniczą jest „oprawa fotograficzna” okładki *nożyka profesora*. Chodzi mi o to, czy poemat o artefaktach zaprezentowanych w tej libelli – nożyku obozowym Porębskiego oraz wagonie bydłowym, będącym pomnikiem ofiar holocaustu w Yad Vashem (fot. Jana Stolarczyka) – na



pierwszej i czwartej stronie okładki, którą zaprojektował Autor (zob. NP, 44), można potraktować jako wiersz o ekfrazie. Przypominam, iż jest to „utwór poetycki będący opisem dzieła malarskiego, rzeźby lub budowli”²⁸. Jeśli bowiem na stronie czwartej okładki mamy do czynienia z pomnikiem, to czy ten nożyk, wyrzeźbiony, wyczelowany, „skowany” (jak pisze Balcerzan) z obręczy metalowej beczki, nie ma prawa być także swoistym pomnikiem, zabytkiem, figurą wegetacji w lagrach i łagrach, w małych i ogromnych obozach koncentracyjnych? Tak więc nieśmiało proponuję, by do prawdziwej ekfrazy Różewicza, jaka pojawia się w tomie *szara strefa* – poemat *jest taki pomnik*²⁹ – dodać również prawdopodobną ekfrazę o nożyku obozowym, jako artefakcie nieprawdopodobnych zbrodni XX wieku.

Adam Dziadek, autor m.in. rozpraw o ekfrazie³⁰, w e-mailu z dnia 15.05.2015 do mnie zauważa, że nożyk jest „przedmiotem, który przykuł uwagę Różewicza i stał się źródłem wypowiedzi w całym tomie. Ekfrazą jest taką jednostką na wskroś intertekstualną, opiera się na rozwijaniu czegoś, co czerpie się od innych; w wielu definicjach słownikowych to właśnie się podkreśla, filologiczne znaczenie ‘ekphrasis’, to, że jest nastawiona na dialog, przejęcie i rozwinięcie myśli”.

Przypisy końcowe

- 1 T. Różewicz: *Utwory zebrane*. T. III. Proza 3. Wrocław 2004, s. 329. Zob. W. Wójcik: *Spotkania zagłębiowskie*. Katowice 2006, s. 50-61 (Różewicz: „Stary poeta” i „Nasz starszy brat”); J. Łukasiewicz: *Tadeusz Różewicz i Leopold Staff* (o „Appendiksie” w „szarej strefie”). W: Idem: *Ruchome cele*. Warszawa 2003, s. 56-68 (autor omawia inne utwory niż te, o których ja piszę).
- 2 G. Karski: *W przymglonym lustrze*. Łódź 1970, s. 150. Te wspomnienia cytują m.in.: T. Drewnowski: *Walka o oddech. O pisarstwie Tadeusza Różewicza*. Warszawa 1990, s. 122-123; Z. Majchrowski: *Różewicz*. Wrocław 2002, s. 116. Seria „A to Polska właśnie”.

3 Zob. M. Grochowska: *Różewicz. Rekonstrukcja*. [Cz.] I. Warszawa 2021, s. 383 (reprodukcja rękopisu w tomie *Różewicza to i owo* – Wrocław 2012, s. 75).

4 L. Staff: *Poezje zebrane*. T. II. Warszawa 1967, s. 915. Seria: „Biblioteka Poezji i Prozy”. Cytując liryki poety, używam skrótów Ap I.

5 T. Różewicz: *szara strefa*. Wrocław 2002, s. 93. Dalsze cytacje z tego tomiku oznaczam skrótem Ap II.

6 W. Szklowski: *Lew Tołstoj*. Przeł. R. Granas. Warszawa 1967, s. 19.

7 Z. Majchrowski: *op. cit.*, s. 45-46.

8 T. Różewicz: *nożyk profesora*. Wrocław 2001, s. 25. Cytaty z tego tomu oznaczam skrótem NP.

9 M. Prussak: „*Robigus zjada żelazny nożyk*”. „Teksty Drugie” 2014, nr 3, s. 64-65.

10 A. Dziadek: *Wiersze, historia i rdza*. „Arkusze” [poznanski] 2001, nr 9, s. 8-9.

11 Autorem m.in. tomu *Pożegnanie z krytyką* (Kraków – Wrocław 1983), w którym wyklejki intrologatorskie pokazują maszynopis referatu Porębskiego.

12 *Jak powstał „nożyk profesora”*. Rozmowa przygotowana przez A. Sapiję i T. Różewicza. Zapis z taśmy filmowej. „Gazeta Wyborcza” 2002, nr z 3 X 2002.

13 *Ibidem*.

14 Zob. J. Krzyżanowski: *Pasek i Sienkiewicz*. W: Idem: *W kręgu wielkich realistów*. Kraków 1962, s. 163 („w *Dziela*ch [Sienkiewicza] [„wojennik”] przywrócony wszędzie tam, gdzie jest w autografii”); A. Wilkoń: *O języku i stylu „Ogniem i mieczem” Henryka Sienkiewicza*. *Studia nad tekstem*. Kraków 1976, s. 144

15 *Jak powstał...*

16 E. Balcerzan: *Robigus skowany (wierszem)*. „Nowe Książki” 2001, nr 8, s. 23; M. Prussak: *op. cit.*, s. 61.

17 J.T. Gross: *Sąsiedzi. Historia zagłady żydowskiego miasteczka*. Sejny 2000.

18 W. Szymborska: *Jeszcze*. W: Eadem: *Wiersze wybrane*. Wybór i układ Autorki. Wydanie nowe, uzupełnione. Kraków 2012, s. 48.

19 W. Szymborska: *Transport Żydów 1943*. „Dziennik Literacki”. Dodatek do „Dziennika Polskiego” 1948, nr 17 z 25 IV – 1 V, s. 2. Cytuję za: K. Kuczyńska-Koschany: „*Jeszcze*”. *Jeszcze jeden przypis do wiersza Wisławy Szymborskiej*. „Pamiętnik Literacki” 2019, z. 4, s. 169.

20 *Uniwersalny słownik języka polskiego* pod red. S. Dubisza. Warszawa 2003, t. 3, s. 639, s. v. Przeczekać.

21 Zob. *Archiwum Ringelbluma. Antologia*. Wstęp: J. Leociak. Oprac. M. Janczewska, J. Leociak. Wrocław 2020. „Biblioteka Narodowa”; seria I, nr 334. Tu np. wspomnienia Jakuba Krzypickiego (1915-1943) z przejazdu do Treblinki (s. 554-559).

22 T. Różewicz: *Echa leśne*. Warszawa 1985, s. 5 (słowa odautorskiego *Wstępu* do przedruku utworów, które zostały powielone w roku 1944).

23 Zob. *Wielki słownik wyrazów obcych PWN* pod red. M. Bańki. Warszawa 2003, s. 757, s. v. Lonża III.

24 *Ibidem*, s. 46, s. v. Alonż II.

25 Zob. W. Broniarek: *Gdy Ci słowa zabraknie. Słownik synonimów*. Brwinów 2005, s. 525, s. v. Pogrubieć.

26 Cz. Miłosz: *Różewicz w roku 1996*. W: Idem: *Życie na wyspach*. Wybór i oprac. J. Gromek. Kraków 2014, s. 334-335 (język wierszy Różewicza przeszedł „kurację od tłuszczającą” i sprowadzony został „do samych mięśni”). Cytuję za: M. Grochowska: *op. cit.*, s. 327.

27 W. Broniarek: *op. cit.*, s. 405, s. v. Odchudzić się.

28 *Słownik terminów literackich* pod red. J. Sławińskiego. Wrocław 2000, s. 122 (autor hasła: J. Sławiński). Tom z serii „Vademecum Polonisty”.

29 Zob. A. Nawarecki: *Jan XXIII na cokole i w sercu poety. Wokół wiersza Tadeusza Różewicza „Jest taki pomnik...”* W zb.: *Janowe. Teksty i konteksty* pod red. I. Gralewicz-Wolny, J. Kisiel, B. Mytych-Forajter. Katowice 2020, s. 171 („Ironiczna ekfrazą brzydkiego pomnika”).

30 A. Dziadek: *Problem ekphrasis – dwa „Widoki Delft”* (Adam Czerniawski i Adam Zagajewski). „Teksty Drugie” 2000, nr 4.

Świąty poetyckie Rafała Wojaczka

ALICJA WOSIK

„Rafał Wojacek to poeta buntu, który w poszukiwaniu miłości zdążył w stronę ciemnej erotyki; poeta outsider, wyobcowany ze środowiska, nieakceptujący jego norm; poeta eksperymentator, osadzający swoje wiersze w tradycji literackiej i ją przekształcający; poeta, dla którego pisanie było mocowaniem się z życiem” – czytamy w programie Konferencji Naukowej Świąty poetyckie Rafała Wojaczka, która odbyła się 2 grudnia 2022 roku w Centrum Kulturalno-Edukacyjnym w Czerwonon-Leszczynach. *Outsider*, kaskader literatury, poeta przeklęty. Niezwykle utalentowany, wrażliwy, wykazujący się niecodzienną dojrzałością poetycką twórcą, który mimo krótkiego, niespełna dwudziestosekstoletniego życia, pozostawił po sobie rozległy dorobek artystyczny i zyskał miano jednego z najważniejszych polskich poetów powojennych. „[...] Otóż ten poeta, który eksperymentował z życiem, eksperymentował także z poezją” – mówił prof. Marian Kisiel podczas uroczystego otwarcia konferencji. Utwory Wojaczka spowite są bólem, cielesnością, brutalnością, (anty)religijnością i wciąż – po pięćdziesięciu latach od tragicznej, samobójczej śmierci – inspirują młode pokolenia badaczy, stanowiąc interpretacyjne wyzwanie. Wyzwanie to podjęli młodzi literaturoznawcy z Uniwersytetu Śląskiego, którzy biorąc na warsztat dorobek artystyczny mikołowskiego poety, sprostali próbie zmierzenia się z najbardziej nieoczywistymi, nieodkrytymi do tej pory wątkami, jakie można dostrzec w jego poezji, polemizując z literacką tradycją i kontekstami historyczno-literackimi oraz wykorzystując metodologię właściwe współczesnym teoriom kulturowym. „Dobrze jest czytać Wojaczka na nowo i dziś będą czytać licencjaci, ponieważ każda generacja ma swoją interpretację. [...] Każda generacja wchodzi z własną wizją literatury, z nowymi teoriami, nowymi pomysłami i wreszcie nową wrażliwością” – stwierdza prof. Marian Kisiel podczas przedstawiania prelegentów.

Jako pierwsza głos zabrała lic. Dominika Rudka, która wystąpiła z referatem o znamienym tytule *Lekcje anatomii doktora Wojaczka*. Tytuł, będący parafrazą *Lekcji anatomii doktora Tulpa* Rembrandta, nakreśla tematykę wystąpienia, które poświęcone było związkom poezji Wojaczka z barokową wizją świata. Swoje wystąpienie rozpoczęła słowami: „Znakomicie opisano już związki twórczości Rafała Wojaczka z dziedzictwem modernizmu, zwłaszcza francuskiego, myślę jednak, że warto przesunąć w przeszłość granicę czasową wyznaczającą ramy tradycji literackich bę-

dących źródłem jego inspiracji. Mam tutaj na myśli nawiązania do kultury przełomu wieków XVI i XVII, a zatem tego momentu w historii, w którym koegzystowały ze sobą przynajmniej trzy różne prądy: późnorennesansowy, manierystyczny oraz barokowy”. Autorka przybliżyła związki twórczości mikołowskiego poety z kulturą XVI i XVII wieku, poruszając tematykę ciała i jego związku z wszechświatem: „w poezji Rafała Wojaczka w osobliwym *pars pro toto* ciało jawi się jako miniatura planety, galaktyki, wszechświatów [...]. Ciało jest systemem, który może symbolizować także systemy nieograniczone”. Badaczka śledzi zmagania podmiotu lirycznego w *Piosence z najwyższej wieży* z istotnym dla myślicieli barokowych pytaniem: „Czym jest człowiek?”. Odpowiedzi poszukuje on w ciele, w tym wypadku kobiecym: „Tę erotyczną scenę sekcji zwłok spowijają mroki caravaggiowskiego *chiaroscuro* (w tradycji literackiej odpowiadałaby im zapewne antynomia *tenebrae – lux* [ciemności – światło] tak istotna dla poezji Mikołaja Sępa-Szarzyńskiego). *Theatrum anatomicum* w *Piosence z najwyższej wieży* jest jednak spektaklem jednego aktora oraz przeznaczone zostało dla jednej pary oczu – tej należącej do „cierpliwego oprawcy”. Nie ustaje on w próbach odkrycia tajemnicy kobiecego ciała („Bo ciągle wierzy że przeciw odnajdzie”). Referat lic. Rudki stawia na połączenie badań hermeneutycznych z intertekstualnym polem odniesień do kultury i tradycji – nie tylko literackiej.

Interpretacji *Piosenki z najwyższej wieży* podjęła się również lic. Aleksandra Szymańska, którą zawarła w referacie o tytule „*Męskość polega na tym, aby bić kobietę*”. *Przemoc w poezji Rafała Wojaczka*. Autorka zapowiada swoje rozważania interpretacyjne w następujący sposób: „Doświadczenie dwóch wielkich wojen w pierwszej połowie XX wieku, a następnie – w latach 60. i 70. – atomowa groźba sprawiły, że ukonstytuowały się traumatyzowane pokolenia, niemające żadnej nadziei dla siebie i dla świata. W takiej atmosferze przyszło dorastać i tworzyć wielu artystom, których dzieła nieraz dają dobitne świadectwo szarej, przemocowej codzienności. Jednym z takich artystów jest Rafał Wojacek – młody, nie zrównoważony i autodestrukcyjny mężczyzna żyjący w opresyjnym komunistycznym państwie i świecie, któremu grozi kolejna wojna. Bardzo wiele utworów autora *Sezonu* epatuje brutalnością i agresywnością, ukazuje brak zasad moralnych. W tym kontekście szczególnie interesujące wydają się wiersze *Piosenka o poecie*, *Piosenka odwrotnej strony*

medalu, *Piosenka z najwyższej wieży* oraz *Studium*, które tworzą niezwykle ciekawą historię przemocy, zainicjowaną przez fizyczne gnębienie dziecka, przechodzące w seksualny wymóg agresji zwieńczony cierpieniem ofiary. Zamierzam odrzucić pojawiające się w nich sygnały mówiące o poezji na rzecz umieszczenia w centrum przemocy fizycznej, częstokroć związanej z masochistycznym erotyzmem”. Lic. Szymańska ukazuje w swoim referacie przemoc, z jaką zmagają się i jaką zadaje podmiot liryczny utworów Wojaczka oraz zwraca szczególną uwagę na jej nierozdzielny związek z erotyzmem i sadomasochizmem. Dokonuje także pewnej analizy psychologicznej podmiotu autorskiego, spajając go z samym poetą – na co pozwalała koncept zastosowany w jednym z analizowanych wierszy: „Ujawnienie się mikołowskiego poety w *Piosence z najwyższej wieży* nadaje jej nieco osobistego, być może biograficznego wydźwięku. Pokazuje bowiem, jakie sceny oczami zdeintegrowanej wyobraźni mógł widzieć mikołowski poeta i jak ogromny ładunek przemocy mogły zawierać jego chorobowe wizje, które egzystują na kartach tomików”.

Po analizie piosenek, publiczność wysłuchała referatu o balladzie, która – jak udowodnia lic. Andrzej Handzlik w wystąpieniu zatytułowanym „*Bez nas go nie ma...*”. Lęk w jednej balladzie Rafała Wojaczka – jest interesującą dyskusją z jej romantycznym wzorem genologicznym. Autor podejmuje analizę utworu pt. *Ballada o lęku*, dostrzegając zależności między lękiem i Absolutem, które wybrzmiewają z utworu Wojaczka: „Mikołowski poeta nie tylko był świadom elementów tradycji zmieniających się na przestrzeni wieków, ale także zdawał sobie sprawę z roli, jaką odgrywały one podczas procesu twórczego. Przeniósł bowiem sposób myślenia charakterystyczny dla minionych epok na grunt swojej poezji. [...] Sposób myślenia o śmierci wyrażany w utworach stanowi nie tylko poetycką kreację, ale działa również jako ochrona przed lękiem wywołanym przez kwestie ostateczne. Jest swego rodzaju autoterapią, która polega na zmierzeniu się z nieoczywistym, a w konsekwencji przekroczeniu granicy ludzkiego rozumienia końca”. Handzlik stara się udowodnić, że nie sama śmierć jest przyczyną lęku podmiotu, a refleksja nad tym, „co czeka go po przekroczeniu mortalnej granicy”. Badacz potwierdza także złożoność klasyfikacji wierszy mikołowskiego poety jako religijne lub antyreligijne – w jego poezji nie istnieje jasny podział na strefę *sacrum* i *profanum* – jedna zawiera się w drugiej, polemizując one ze sobą.



Następne wystąpienie poświęcone było *Eklogom Rafała Wojaczka*, których próbę interpretacji podjęła lic. Alicja Wosik. Badaczka analizuje cykl eklog poety w oparciu o *Archetypy literatury* Northropa Fryęa, korzystając przy tym z kontekstu *Kalendarza pasterskiego* Edmunda Spencera. Za uważa, że sielankowość eklog i ich powiązanie z cyklem życia przyrody, w dorobku poetyckim Wojaczka, ustępują miejsca „fazie ciemności i rozkładu, zwiastującej śmierć, odrodzenie chaosu i klęskę”. Lic. Wosik zwraca uwagę na tematykę spajającą eklogi poety: „każda z eklog Wojaczka porusza w mniej lub bardziej jawny sposób tematykę porodu i macierzyństwa, nad którymi wisi widmo śmierci” – w *Ekłodze z Nie skończonej krucjaty* dochodzi do poczęcia, *Ekloga II* z tomu *Reszta krwi* opisuje proces oczekiwania na narodziny; treść *Eklogii II*, pochodzącej z tomu *Nie te czasy*, została zbudowana na archetypie porodu, z kolei ostatnia z analizowanych – *Ekloga z Notatek z celi śmierci* – ukazuje tragedię utraty dziecka. Autorka dochodzi do wniosku, że „chcąc doszukiwać się wpływu eklog Spensera na twórczość Wojaczka, *Ekloga z Notatek z celi śmierci* mogłaby stanowić zwieńczenie cyklu – jak *Listopad* i *Grudzień* Spensera, pełniąc funkcję eklogii żałobnej, w której na pierwszy plan wychodzi ostatnia z faz mitu Fryęa: archetyp zimy, śmierci, upadku bohatera; mit o umierającym-nienarodzonym Bogu”.

Ostatnim prelegentem był Wiktor Nogajczyk, który korzystając z dorobku No-

wej humanistyki, zdecydował się na interpretację i analizę ekofeministycznych wątków w poezji Rafała Wojaczka. Autor dokonuje podziału na wątki ekokrtyczne oraz feministyczne, których znaczenie syntezuje się w analizie dotyczącej symbolu Matki-Ziemi. „Tak jak nie można mówić harmonijnie o Wojaczku w ogóle, tak też rzeczą niemożliwą wydaje się jednolite ujęcie relacji podmiotu artystycznego wykreowanego przez poetę z naturą, środowiskiem czy całym ekosystemem. Kluczowe dla zrozumienia owego związku wydaje się zdanie z *Życiorysu* a ujęte przez artystę w cudzysłów: „Ziemia wolną mi była, niestety”. Ową parafrazę fragmentu z *Księgi Rodzaju* autor odżegnuje się od pozycji człowieka panującego nad pozostałymi gatunkami. [...] Owe „niestety”, stanowiące jakby westchnienie, wyraża swoistą tęsknotę za światem uporządkowanym, gdzie każdy człowiek pełni określoną funkcję [...]. Nie oznacza to, że poeta pragnie takiego świata. Jest w tym westchnieniu charakterystyczna dla Wojaczka autoironia, bowiem zdaje sobie sprawę z tego, że bycie poetą to stan zawieszenia między porządkiem a nieładem, bytem a niebytem i w końcu kulturą a naturą.” – mówi Wiktor Nogajczyk, udowadniając rolę równości człowieka i natury w utworach Wojaczka. „Antyanthropocentryczna krytyka Wojaczka nkreślona na początku artykułu zdaje się w tym miejscu wzmacniana o aspekt patriarchalny, wszakże oba te pojęcia wi-

zać można z pewnym sposobem myślenia o kobietach i istotach słabszych opierającym się na dominacji męskiej perspektywy jako tej reprezentującej ludzkość. Owa perspektywa nie osadza się jedynie na hierarchii, w której to mężczyznę stawia się na piedestale, wskazując „męskość” jako wzór do naśladowania, ale przede wszystkim na budowaniu przez męską część społeczeństwa charakterystycznej definicji „kobiecości” – rozwija badacz w analizie utworu *Jeszcze jestem kobietą*. Nogajczyk z niezwykłą wnikliwością odkrywa związki między naturą, kobiecością i religijnością w poezji autora *Sezonu*, uznając owe terminy jako kluczowe dla całego jego dorobku artystycznego.

Konferencja została zorganizowana przez Instytut Literaturoznawstwa Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach, Komisję Historycznoliteracką PAN – oddział w Katowicach, Miejski Ośrodek Kultury w Czerwionce-Leszczynach oraz Koło Naukowe Polonistów Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach pod opieką dr Katarzyny Niesporek-Klanowskiej. Poza prelegentami, w konferencji wzięli udział także pracownicy Instytutu: prof. Marian Kisiel, prof. Joanna Kisiel, prof. Ewa Bartos, prof. Paweł Majerski oraz dr Katarzyna Niesporek-Klanowska, Dyrektorka Miejskiego Ośrodka Kultury – Mariola Czajkowska oraz Burmistrz Czerwionki-Leszczyn – Wiesław Janiszewski.

Depozyt – to powieść z pogranicza „S.-F.” i kryminału wojenno-politycznego. Przynajmniej jego pierwsza część. Wiele osób na hasło „S.-F.” wzdraga się uważając gatunek za wymarły lub w najlepszym wypadku wtórny i mdły. Stanisław Lem przewraca się w grobie a znawcy i miłośnicy gatunku dostają czkawki porównując bezczelnie szwendające się smoki, nieletnich czarodziei, krwiożercze zombie i perfidne roboty-kanibale, z dorobkiem Mistrzów gatunku S.-F., cóż – *signum temporis*. Tym razem „S.-F.” to wytrych do rzeczywistych problemów współczesności. Tytułowy „depozyt” jest umownym określeniem niezwykłych przedmiotów znalezionych w pobliżu miejsca tzw. katastrofy tunguskiej. Odnalezione w 1908 roku, w tajdze przez Ewenków – rdzennych mieszkańców Syberii – dopiero w 1921 roku trafiły w ręce radzieckich wojskowych i naukowców. Starannie je ukrywano i badano dostępnymi choć prymitywnymi metodami. Ich pochodzenie, sposób wytworzenia i przeznaczenie pozostawały tajemnicą. W wojennym rozgardiaszu roku 1941 przejęli je Niemcy. I tu próby ich spożytkowania do celów militarnych okazały orzechem zbyt twardym do zgryzienia, nawet dla niemieckich uczonych. Niezależnie od noszonego munduru, paszportu i pochodzenia, w tłumie oddanych i posłusznych znajdowali się tacy, którzy rozumiejąc potencjalne zagrożenie tkwiące w znalezisku, ryzykując życiem podejmowali się sabotażu. Ukryć, zniszczyć, nie dopuścić do ich wykorzystania przez kogokolwiek – stało się dla nich najważniejszym zadaniem. Czy owe artefakty były celową przesyłką od Mądrzejszych Od Nas, mającą animować ludzkość w rozwoju, czy tylko kosmicznymi śmieciami porzuconymi na skraju Mlecznej Drogi? W ekstremalnych warunkach zwykłym ludziom przychodziło mierzyć się z wyborami na miarę greckiej tragedii. Rodzili się herosi i... dalej pozostawali ludźmi. Zwykle – niezwykle uczucia buzowały w ich sercach. Są więc i wątki uczuciowe, śląskie rozterki z czasów przymusowego wcielenia Ślązaków do Wehrmachtu i specyficzna śląska mentalność. Zdumiewająco ważną rolę w tym dramatycznym spektaklu odgrywały kobiety. Czytelnik znający Śląsk, a zwłaszcza jego najstarsze miasto – choć z pewnym trudem – zlokalizuje miejsce akcji. Autor sprawnie operując piórem to wodzi nas za nos, to zaskakuje i wciąga w wir wydarzeń. Co może łączyć gigantyczną eksplozję – nad syberyjską tajgą – sprzed ponad trzydziestu lat, ze starą kopalnią na Śląsku? Polską łączniczkę AK z niemieckim jeńcem wojenny? Rezydenta polskiej „Dwójki”

Depozyt

KSIĄŻKI

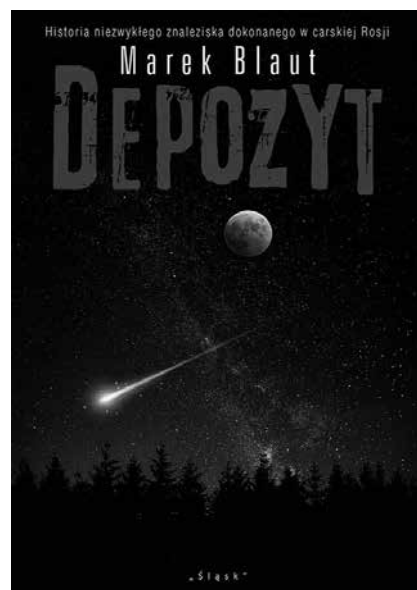
JAN GUTTA

ze zbaczającym z kursu satelitą szpiegowskim? Czy celowy wybuch w podziemnej kryjówce na powrót zamknie tę puszkę Pandory? Happy end w niemal hollywoodzkim stylu prawie przynosi ulgę. Ale nie kończy tej historii.

Druga część książki dzieje się niemal współcześnie. To opis rzeczywistości, to świat, który – jak nam się wydaje – znamy. Ze szkoły, z lektur, opowiadań starych ludzi, a w końcu z autopsji. Prozaiczny katar – nawet w wydaniu amerykańskim – może stać się przyczyną ciągu wydarzeń brzemiennej w skutki. Choć Autor swobodnie przenosi Czytelnika w odległe rejony świata – od Pekinu i Moskwy po Waszyngton i Tel Aviv, z sal narad i gabinetów Bardzo Ważnych Arcyłotrów w przestrzeń kosmiczną – to i tak znów wylądujemy na Śląsku. Bo to tu, w zawalonym i zapomnianym wyrobisku tkwią zmiażdżone skrzynki, których zawartość tylko dzięki przypadkowi „przemówi” na falach eteru i zostanie wysłuchana, a raczej podsłuchana bez zrozumienia treści przekazu. Obiekt zainteresowania wywiadów, potęga państw i pieniądza, z drugiej zaś strony kilkoro outsiderów. Mądrzejszych od gawiedzi, groźniejszych od żołdactwa. I tu znów kobiety odgrywają niepoślednią rolę. Czy ktokolwiek – w czasach tak skomercjalizowanych i egoistycznych – zaprzętać będzie swój umysł, poświęcać czas, zdrowie i bezpieczeństwo w poczuciu odpowiedzialności za – pardon – za ślepią, egoistyczną ludzkość? Bohaterowie książki dochodzą do pesymistycznego wniosku, że homo sapiens jest za głupi by posługiwać się „depozytem” we właściwym celu. Choć tkwią w nim potencjalne możliwości, o których nie śniło się w filozofom, to nie

fizyka, medycyna, chemia czy astronomia będą priorytetem a możliwości militarne. Kto miałby powstrzymać polityków, wojskowych i szaleńców przed zniewoleniem świata lub – co gorsza – przed wysadzeniem go w powietrze? A trzeźwo patrząc, tylko za okno – przed jego galopującą dewastacją i zniszczeniem, które się dzieje przy karygodnej, samobójczej bezczynności mieszkańców globu? Przypominają się rozterki *Fizyków*. Przy okazji Autor zadaje pytania, na które lepiej pochopnie nie odpowiadać. Bo prościej odwrócić wzrok i spokojnie żyć jak inni. Książkę napisano przed napaścią Rosji na Ukrainę. Niespodziewanie Putin i jego żołdacy dopisali prolog do *Depozytu*. Cywilizowany świat A.D. MMXXXII to szerokie spektrum zbrodni, ślepej furii, zniszczenia i podłości – jaką nam zafundowała putinowska Rosja i jej umundurowani bandyci. Zaskoczyli uśpioną Europę i świat. Ba, nie brak łajdaków i durni popierających tę konkwestę. Profetyczna wizja Autora okazała się prawdopodobna. Byli, są i będą na Ziemi ludzie, dla których przemoc i zbrodnia są narzędziami niezbędnymi dla zdobycia władzy, bo to ona jest nadrzędnym celem. Alternatywny scenariusz nakreślony przez buntowników – na pozór szalony – daje do myślenia. Czy to nie oni mają rację, chcąc sparaliżować świat zmierzający ku zagładzie? Choćby i cena była koszmarem? ■

Marek Blaut, *Depozyt. Historia niezwykłego znaleziska dokonanego w carskiej Rosji*, Wydawnictwo Śląsk, Katowice 2022, s. 294.



Najnowsza powieść Zyty Rudzkiej *Ten się śmieje kto ma zęby* kreśli portret kobiety silnej i twardo stąpającej po ziemi. Ironiczna, pewna siebie, często ordynarna i wulgarna Wera chwytą czytelnika za rękę i zabiera w podróż w celu... znalezienia butów dla zmarłego.

Wdowa po Dżokeju Karolu kolejno odwiedza wszystkie „stacje”, aby wyprowadzić swojemu mężowi pogrzeb. Nie jest to jednak melancholijna i pełna refleksji historia o żałobie, a czytelnik nie dowie się jak należy sobie z nią poradzić. Chociaż Wera powraca pamięcią do wspomnień z mężem, przeżyli bowiem wspólnie wiele pięknych lat, nie zamierza rozpaczać, lecz cieszyć się z odzyskanej wolności. Do „wzorowej” wdowy wiele jej brakuje i otwarcie się do tego przyznaje.

Płacz nie towarzyszy jej również podczas utraty własnego biznesu „Wera. Zakład fryzjerski męski”, który cieszył się dużą popularnością. Jak sama wspominała: „Płakać nie płakałam. Ja już mam tyle lat, że mi się nie chce udawać”.

Odbывая ową podróż w celu nie tylko zakupu butów, ale również garnituru, zorganizowania pogrzebu, mszy, powiadomienia rodziny czy też sprzedaży na bazarach Dżokejowych pucharów z zawodów, Wera wspomina swoje dawne miłości, odwiedza je po latach, próbując sprzedać złoty zegarek po swoim ojcu, by zdobyć fundusze na uroczystość. Retrospektywność powieści stwarza realistyczny obraz życia fryzjerki. Czytelnik powoli zaczyna rozumieć postać, strona po stronie utożsamiać się z nią, myśleć jak ona.

Rozmowy z dawnymi kochankami są krótkie, przerywane wdychaniem dymu papierosowego, a niejednokrotnie kończone ostrymi komentarzami fryzjerki. Wera jest pyskata i dosadna. Taka wszystkim się podoba, wzbudza zaciekawienie, intryguje: „Pani Wero, pani jest narowista. Niech pani uważa, ja takie dziewczyny lubię” – mówił jej mąż, z którym dopiero co się poznała.

Bohaterka żyje po swojemu, kocha tego, kogo tylko zapragnie, prześpi się z tym lub z tą na zapleczu zakładu, który lub która wzbudzi jej zainteresowanie. Czytelnik dowiaduje się o jej zawiłych relacjach z otoczeniem oraz, czasem bezdusznym, podejściem do otoczenia, co może wskazywać na to, że Wera sporo w życiu przeszła. Nie zamierza popadać w rozpacz z powodu życiowych potknięć, których miała mało. „[...] stąd jej siła. Spotykam ciągle takie kobiety – chciałam oddać im głos” – mówi autorka.

Opowieść nie jest podzielona na rozdziały, księgi czy też części. Tym samym brakuje spisu treści. Książka jest jednak posegmentowana na fragmenty, które można umownie nazwać „cichymi rozdziałami”. Sprawia to, że histo-

Buty dla nieboszczyka

KSIAŻKI

NATALIA ZIENTEK

ria jest niczym nieprzerwanym ciągiem wydarzeń, a czytelnik jedynie domyśla się, że fryzjerka tylko łapie oddech, by za chwilę kontynuować swój monolog.

Sama okładka już wzbudza zaciekawienie i może być niezrozumiała dla kogoś, kto rozpoczął lekturę. Jak połączyć śmierć męża i finansowanie pochówku z dwoma nagimi kobietami przedstawionymi w akcie miłosnym na okładce? Otóż Wera może osiąść kogo tylko chce, a chodząc po swoich dawnych miłościach odwiedza również płęć żeńską. Wiele nie można w tym temacie zdradzać, dalsze tłumaczenia będą bowiem zakrawały o spoiler.

To, czym od teraz będzie dla czytelnika tajemnicą poliszytna, jest ukryta wiadomość umieszczona na matowym papierze. Całą okładkę pokrywają błyszczące nożyczki. Oczywiście to nawiązanie do profesji głównej bohaterki, a dostrzec ten szczegół można tylko obracając okładkę. Trzeba przyznać, że to bardzo interesujące i sprytne rozwiązanie.

Tak jak Weronika może być dla niektórych gorsząca ze względu na wulgarność i potoczność, tak samo niektórym mogą sprawić trudność w odbiorze dialogi. Forma powieści na charakter monologu, a więc wypowiedzi bohaterów są wplecione w opisy i połączone z myślami głównej bohaterki. Widać płynne przejście między jedną wypowiedzią a drugą. Nie zastosowano standardowej interpunkcji używanej się przy wprowadzaniu dialogów, co jest kolejną cechą, dzięki której książka się wyróżnia.

Powieść można potraktować jako eksperyment językowy. Mąż-niebosz-



czyk był zawodowym dżokejem, zastoso-
wano więc sporo porównań nawiązu-
jących do jazdy konnej. Porównania do
profesji Weroniki – fryzjerstwa – także
są dostrzegalne: „Ja się nie spowiadam.
Książdz z taką fryzurą do konfesjonau,
niech bóg broni”. W wypowiedziach
można dostrzec czarny humor, ironię,
a potoczność, wulgaryzmy i ostry styl
Wery nie każdemu może odpowiadać.
Szczególnie widać, że główna bohater-
ka uwielbia łączyć swoich rozmówców za
słówka. Kiedy druga strona podchodzi
do niej z troską, jak na przykład księża
w kancelarii parafialnej lub Żyd Dawid,
ona odpowiada, krótko, oschle, preten-
sjonalnie. Jednak jest w tych wszystkich
wypowiedziach dostrzegalny humor,
którego w zasadzie nie powinno być –
w końcu Wera została wdową.

Czytelnik może się podczas tej lek-
tury świetnie bawić, śmiać się z żartów
Weroniki oraz zabawnych porównań,
czasem oburzyć na fryzjerkę, jej śmia-
łe przemyślenia i czyny po to, by osta-
tecznie się z nią utożsamiać. To niesamo-
wicie bogaty i ciekawy portret kobiecej
osobowości, który pozostawia pewien
niedosyt. Momentami chciałoby się spo-
tkać Werę w rzeczywistości, porozma-
wiać, wymienić poglądy. Kobiet silnych
i twardo stąpających po ziemi jest coraz
więcej. Może uda się odnaleźć jedną z ta-
kich Wer, a wyprawa po buty nie będzie
już nigdy taka sama. ■

Zyta Rudzka, *Ten się śmieje, kto ma zęby*, Wydawnictwo WAB, Warszawa 2022, s. 256.



Bezdenne głębia

KSIAŻKI

PIOTR SKOWRONEK

Kiedy myślę o ostatnim tomiku Marzeny Orczyk-Wiczkowskiej stają mi przed oczyma dwa wiersze naszych klasyków, ba! noblistów – Czesława Miłosza i Wisławy Szymborskiej. Pierwszy to *Przypowieść o maku* z cyklu *Świat (Poema naiwne)*, zaś drugi jest filozoficzną refleksją *Może to wszystko*, pomieszczoną w tomie *Koniec i początek*. Nie będę ich cytował, bo z pewnością stanowią niezbywalny składnik naszych poetyckich doświadczeń, zwrócę jedynie uwagę na „sposób” postrzegania w nich świata. Miłosz widzi go niejako „od dołu”, „spodu”, Szymborska „od góry”, „kosmicznie”. Spojrzenie Orczyk-Wiczkowskiej to do dwóch poprzednich płaszczyzna styczna, której wektor pozycji lokuje nas w przestrzeni „pomiędzy”: „góra dół/ zamienione miejscami// jad, jadelit, cor, covid/ wszystko odwrócone// w kropli. Studni, oku/ co widzisz?/, wznosisz się czy spadasz?” Trochę tak, jakby Pascalowska „trzcina” unosząc się na powierzchni na przemian patrzyła to w głąb morskiej otchłani, to w bezmiar kosmicznej przestrzeni. Owa perspektywa „zawieszenia” otwierająca nam oczy na patrzenie w głąb siebie szczególnie widoczna w autoportrecie podmiotu lirycznego zbudowanym z pytań, który otwiera tom: „czy jest tam coś/ oprócz otwornic i ukwiałów? Zasadlających otchłani/ neuronów, głęboko/ w *limen insulae?* / a tam, wysoko, w tyglu mgławic./ gdzie spalają się/ wodór i hel,/ ziele pustką/ kosmiczne oko?/ skąd płynnie głos,/ natrętny jak tykanie zegara?/ czyj wykrzykuje rozkazy./ sprzeczne i nie do odrzucenia?/ co z tym, który nocą/ śpiewa we mnie,/ za dnia powtarza:/ jest – nie ma, jest – nie ma?/ głupia uparta papuga.”

Ale nie tylko „pomiędzy” jest osią świata poetyckiego Orczyk-Wiczkowskiej, drugą jej składową stanowi czas odmierzany skalną biologiczno-ontycznych przeobrażeń, rodzenia się i umierania, walki, pojawiania i znikania, po których pozostają *Ślady*: „płatki i pyłki, skrzydło pazia królowej./ pałki i pieńki, stróżka krwi pomiędzy./ płytki i płotki, literówki jak śmierć./ plody, plamy, plotki – samosiejki./ pola pale, pule. dużo, coraz więcej. / byli tu, są ślady. place, plecy, palce./ wyrwane paznokcie i hasła jak drzazgi./ pomniki na linii ognia. na dnie rdzeń rdzy./ cel, pall” W poetyckiej strategii autorki *Rannych pieśni* widać wyraźną predylekcję wobec eufonicznej warstwy wypowiedzi, wyczuwanie na słowo, jego zestroje brzmieniowe, paronomazje. Zupełnie jakbyśmy nurkowali, a każdy dźwięk „wyłowiony” z ciszy brzmiał osobno i dosadnie.

Poetka nazwała swój tom *abisal*. Egzotyczne to słowo o greckiej proveniencji oznacza „bezdenną głębię, otchłani”, w której zanurzamy się raz po raz. Jej najbardziej nieosiągalną, określaną przez geologów morskich częścią jest punkt zwany Nemo „oceaniczny biegun nieodstępności”. Domyślcie się zapewne, że swoje imię przyjął on od znanego bohatera powieści Juliusza Verne’a.

To miejsce na ziemi najbardziej skryte, do którego wejść nie sposób. Nie dotyczy to jednak poetyckiej penetracji owego „zakamarku” duszy i wyobraźni. Strefa głębinowa, do której zaprasza nas Marzena Orczyk-Wiczkowska w swojej książce, tym różni się od rzeczywistości, że nie mieści w żadnej ze sfer głębokościowych mórz, oceanów i głębokich jezior – napisał w skrzydełkowym blurbie Paweł Lekszycki. Tam – dodał – strefę absalną cechują: ubóstwo pokarmowe, brak światła i niskie temperatury. Poetycka przestrzeń *Abisalu* należałoby natomiast przedstawić zgoła odmiennie – tutaj ciemne, wątle światło skanuje obszary o bardzo wysokim współczynniku ciepłoty, co – w połączeniu z niezwykłym emocjonalnym ciśnieniem – daje efekt piorunujący.”

Wydaje się, że nadrzędną kategorią owego „emocjonalnego ciśnienia” jest niepokój. Poetka patrząc z dystansem, docierając w najbardziej odległe miejsca i czasy widzi siebie, nas i świat jak wyraziła to w jednym z wierszy *in statu nascendi*, bowiem: „jeden obrót drogi mlecznej/ z pozycji układu słonecznego/ zajmuje około dwustu pięćdziesięciu/ milionów lat. w międzyczasie/ nasze listopady i grudnie./ polityka, wirusy oraz orbitek,/ który dobrze wpływa na krążenie/ i nie obciąża stawów”. W dostrzeganym paradoksie istnienia nie brak zatem i subtelnego poczucia humoru, kiedy kosmiczne krążenie zamienia się w zbieżny z nim ruch naszego ciała i to na przestrzeni zaledwie ośmiu wersów. Orczyk-Wiczkowska ciągle daje nam do zrozumienia, że jesteśmy częścią przyrody, którą, co tu dużo mówić, ignorujemy, traktując absolutnie przedmiotowo. Tymczasem przypominają nam o niej nie tylko nasze atawizmy, ale każda próba spojrzenia poza granice antropocenu w światy obecne i niedostrzegalne, tak samo efemeryczne jak nasz własny:

„królowe bentosu,/ otwornice, szkarłupnie./ *greta oto* – mata hari/ wśród motyli,/ sarna z młodymi/ na skraju lasu./ bracia Messner/ idący w dół/ żebrem mummery’ego,/ mummery kierujący się/ w stronę lodowca rakhiot,/ moja matka, maria/ z domu jarzęcka./ ze snopkiem żyta pod pachą./ ja przy fortepianie, dziesięcioletnia./ gamy rozbieżne, flesze,/ miraż, mandale./ z piasku, z ciała i lodu, na mgnienie, na zew.” To fascynujący ciąg nanizanych na oś czasu istnień. Rozpoczyna go egzotyka bentosu, która na moment „mgnienie” zaledwie oddaje głos ludzkim mirażom. Niepokój trwania owych sekwencji różnorodnych losów podkreślają przetrwanie, a ich egzystencjalną równość nazwy własne pisane jak pospolite. Poetka uczy nas uważności spojrzenia, odziera z rutyny poznania. Jej wiersze drżą, a my razem z nimi, przy czym są wewnętrznie spójne, można powiedzieć nawet hermetyczne, a efekt pulsowania, wibracji wyłania się z całości. Ów sposób patrzenia na świat, poetycką dykcję, jej tempo i artykulację w modelowy sposób prezentuje wiersz zatytułowany *skalowanie*, w którym błyskawiczne fazy przemiany zaskakują swoją raptownością i tajemniczością. Utwór jest dynamiczny, wartki, a przy tym tak zwarty, że wysupłanie zeń osobnych nitek jest praktycznie niemożliwe. To jedna z mocniejszych cech poezji. Wydaje się, że spadamy niczym ptak z urwisk czasu i przestrzeni, aż nasz wzrok odnajduje poszukiwany punkt, czasem podkreślony zaskakującym stwierdzeniem czy swoistą puentą: „(to jedyne pewne schronienie, jakie znam), „nie ma ciebie człowieku. mimo to słyszę cię. / słyszysz?”

Marzena Orczyk-Wiczkowska, *Abisal*, Wydawnictwo Biblioteki Śląskiej, Katowice 2022, s. 48.

O czym pisać po śląsku i to na scenę? Zapewne o *szybcie na grubie*, kluskach śląskich, a jeżeli podniosłe, to o powstaniach. Można też zdecydować się na konwencję kabaretową rodem z serialu *Święta Wojna*, pokazując niemożność porozumienia – językowego i mentalnego – między hanysem a gorolem. Laureaci i laureatki jedenastej edycji Konkursu na Jednoaktówkę po Śląsku, organizowanego przez Katowice Miasto Ogrodów oraz Imago Public Relations, udowodnili, że potrafią posłużyć się oczywistymi motywami, jednak w sposób nieoczywisty. Potrafią też się bez nich obyć, kreując postacie i sytuacje wykraczające poza stereotypy o Śląsku oraz jego mieszkańcach – zindywidualizowane, a zarazem uniwersalne.

Pierwsze miejsce zdobyła *Ôdskocznia Achima* Bożeny Donnerstag. Podobnie jak w poprzednich edycjach konkursu, autorka obrała za temat sztuki więź starego człowieka z młodzieżą. Tytułowy Achim żyje bardziej przeszłością niż teraźniejszością – wszyscy jego bliscy są już na cmentarzu – i pozostaje wierny tradycji. Przychodząc codziennie do restauracji w Akademii Muzycznej, by słuchać – nie zawsze udanej – gry studentów, staruszek przypomina sobie wspólne muzykowanie w domu rodzinnym. W przeciwieństwie do wielu swoich rówieśników, Achim nie zrzędzi z powodu zmienności obyczajów i mód. Mimo że dziwi się *kołoczkom z pudlingiem*, bo jego matka takich nie piekla, postanawia ich skosztować, kiedy zaś Paula, młoda kelnerka, wita się z nim archaicznym *Szczynść Boże*, jest autentycznie wzruszony. Przyjaźń Achima z Paulą i jej kolegą Alanem urywa się już po pierwszym takcie. Kiedy pewnego dnia staruszek nie pojawia się w restauracji, domyślamy się, że zmarł.

Jednoaktówki uhonorowane drugim i trzecim miejscem – *Kosmiczno rajza* Mateusza Czyby oraz *Ôstatni elwer* Irka Widery – nawiązują do stereotypowych przedstawień Ślązaków, lecz zarazem je przekraczają. Mimo ogromnego ładunku humorystycznego, skłaniają też do refleksji. Bohaterami Mateusza Czyby są górnicy mający pomoc w kolonizacji Marsa. Jak to zwykle bywa w opowieściach science fiction, misja nie przebiega zgodnie z planem, pojawiają się też podejrzenia, że któryś z górników jest cyborgiem zaprogramowanym na *godka*. Czy można jednak odmówić człowieczeństwa – oraz śląskości – cyborgowi, który nie zdawał sobie sprawy, kim jest? Sztuka Irka Widery stanowi natomiast parodię środowiska warszawskich dziennikarzy sportowych, ich językowych potknięć, snobizmu oraz uprzedzeń wobec śląskich piłkarzy – i Ślązaków w ogóle. Zarazem skłania do zastanowienia nad rolą szczęścia – czy może przypadku – w budowaniu kariery i prestiżu.

Wśród autorów wyróżnionych tekstów znalazły się trzy kobiety oraz czterech mężczyzn. W ich przypadku płęć implikuje odmienną wrażliwość, skłaniającą do sięgnięcia po odmienną tematykę. Wyróżnione panie – podobnie zresztą jak laureatka pierw-

Meluzyny i melomani

KSIAŻKI

szego miejsca – przedstawiły historie, które mogłyby się zdarzyć w różnych miejscach i czasach. Ponieważ jednak zdarzyły się na Śląsku, występujące w nich postacie *godajom*. Kolejnymi wspólnymi cechami wyróżnionych żeńskich jednoaktówek są kameralność oraz skupienie na trudnych relacjach rodzinnych. Jest to o tyle ciekawe, że na Śląsku dłużej niż w innych regionach Polski hołdowano konserwatywnemu modelowi rodziny – pełnej, nierozzerwalnej, opartej bardziej na szacunku dzieci do dorosłych oraz żony do męża, aniżeli na autentycznych uczuciach, a przede wszystkim „piorącej brudy w domu”. W *Sekretnym żywobyciu ôd Melanie K.* Monika Kassner nawiązała do średnio-wiecznej, francuskiej legendy, pokazując – z dużą dawką humoru, lecz również goryczy – rozwód i spór o opiekę nad dziećmi między żoną ukrywającą, że raz w miesiącu przemienia się w meluzynę, a mężem, który odkrył jej tajemnicę. Joanna Sodzawiczny w monodramie *Syneczek* również skłania odbiorców do śmiechu – lecz znacznie częściej do wzruszenia – opisując trudny samotnego macierzyństwa, a później syndrom pustego gniazda. Natomiast w *Ciotce Tili* Lidii Michalskiej na próżno szukać komizmu. Sztuka porusza temat przemocy w rodzinie – zarówno fizycznej, jak i psychicznej – pokazując, jak często pozory mylą i jak trudne – czasami niemożliwe – okazuje się przebaczenie, nawet na łożu śmierci.

Akcja *Ciotki Wichty* Krzysztofa Kokota, podobnie jak akcja *Ciotki Tili*, rozgrywa się w szpitalu, lecz jej wymowa diametralnie się różni. Jest to bowiem czarna komedia o pomyłkowym zawiezieniu śpiącej staruszki do prosektorium w trakcie pospiesznego przerabiania oddziału geriatrycznego na covidowy, co jednak ostatecznie wychodzi bohaterce na dobre. Pozostali wyróżnieni panowie poruszyli znacznie trudniejsze tematy. Wojciech Szwiec w *Gañbie* sportretował ostatniego – przed pierwszą wojną –



WERONIKA GÓRSKA

śląskiego kata, co stało się pretekstem do rozważań nad moralną stroną kary śmierci. Natomiast *Rak* Aleksandra Lubiny oraz *100 lat Horsta Polloka* Petera Wiescholeka biorą na warsztat tragiczną śląską historię i niejednoznaczność tożsamość, typową dla mieszkańców pogranicza, będącego przedmiotem nieustannych sporów terytorialnych.

Teksty zaprezentowane w antologii *Ôdskocznia Achima. Jednoaktówki po Śląsku* okazują się bardziej różnorodnie pod względem zaprezentowanej tematyki i stojącej za nią wrażliwości od prac będących pokłosiem poprzednich edycji konkursu. Ich autorzy i autorki – często biorąc udział w konkursie rok w rok – coraz śmielej patrzą nie tylko wstecz, ale też wokół i przed siebie. Nie idealizują lokalnej tradycji, lecz zadają jej trudne pytania i wchodzą z nią w polemikę. Coraz częściej też – zwłaszcza panie – wcale się do niej nie odnoszą, przynajmniej nie bezpośrednio. Inspiracją dla pisania po śląsku okazuje się nie tylko sama śląskość, lecz ludzkie losy zarazem zindywidualizowane i uniwersalne, a także konwencja science fiction, czarnej komedii czy legendy pochodzącej spoza Śląska.

Nagrodzone prace dowodzą nie tylko talentu literackiego laureatów i laureatek, ale też tego, że *godka* jest na tyle plastyczna, by móc poruszać z jej pomocą każde zagadnienie. Posiada ogromny potencjał humorystyczny, lecz potrafi również wzruszać, przerażać, skłaniać do egzystencjalnych rozważań. Wciąż się rozwija, reagując na nowe zjawiska. Dlatego najwyższy czas, by zyskała status oficjalnego języka. ■

Ôdskocznia Achima. Jednoaktówki po Śląsku, red. Waldemar Szymczyk, Imago Public Relations i Katowice Miasto Ogrodów, Katowice 2022, s. 136.

Józef Ligęza

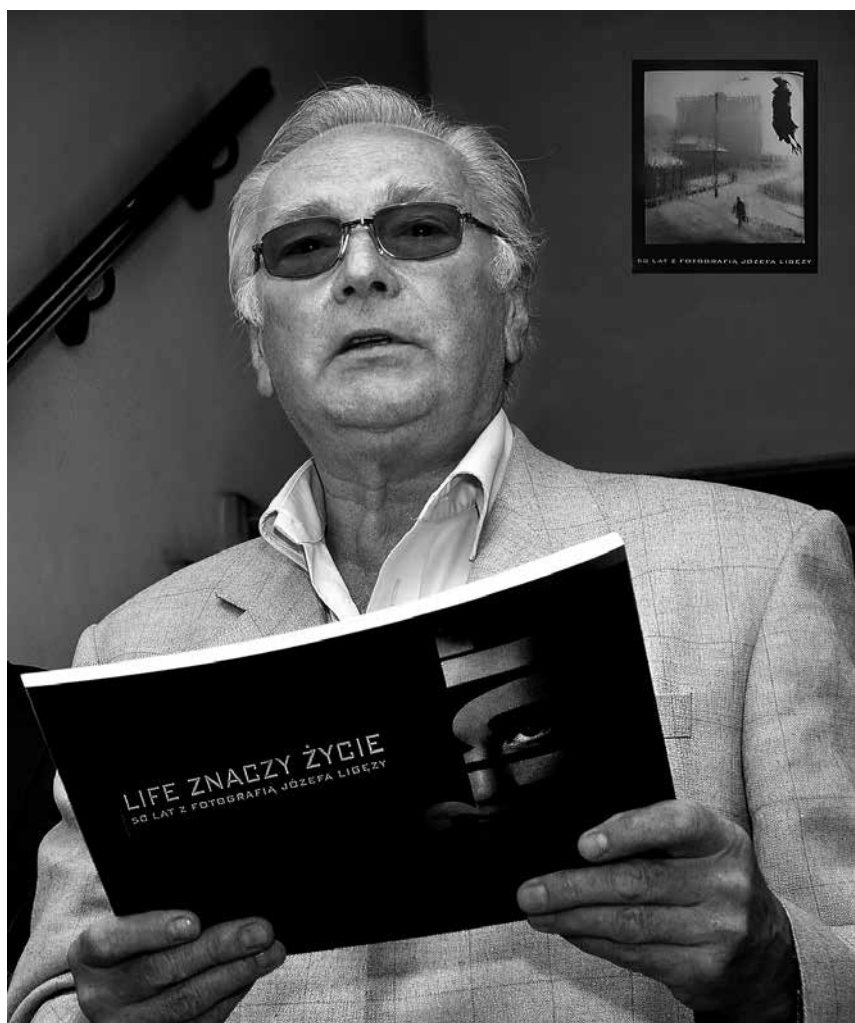
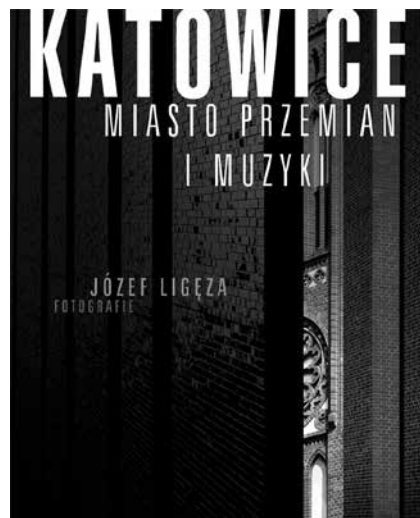
Człowiek zawsze stał w centrum moich zainteresowań, bo tworzył silną więź z miastem i jego historią. Staralem się żeby każda fotografia czegoś uczyła, coś wyjaśniała, ułatwiała zrozumieć nasze zagmatwane losy. Fotografia pozwala też uwierzyć w nieustanny postęp, bo może zatrzymać czas. Dzięki niej dostrzegamy, jak zmienia się nasze otoczenie, gdzie są jego piękne strony, a gdzie rejony zagubione.

Fotografia jest sztuką obserwacji, pozwala przyglądać się światu z bliska. Dlatego nie wyobrażałem sobie nie być tam, gdzie Katowice z centrum przemysłu ciężkiego, dzięki udanej rewitalizacji, stawały się kulturalnym liderem śląskiej aglomeracji.

Często stosunek do własnego życia wpływa na nasz sposób postrzegania miejsca zamieszkania. Być może dlatego bliska mi jest fotografia żywa, bez nakazów, chwilowej mody, w zgodzie z fotograficzną estetyką, w poszukiwaniu techniki i kadru. Szukam sensu i emocji a nie tylko formy. Szukam tego, co niesie życie. Kiedy kieruję aparat w stronę fotografowanego obiektu, interesuje mnie to, do kogo adresuję obraz i czy jego realizm będzie czytelny.

Do miesięcznika wybrałem kilka fragmentów secesyjnych katowickich kamienic. To między innymi urok tych kamienic, spowodował, że już w roku 1957 Katowice na zawsze stały się moim miastem. ■

(fragment wstępu do albumu *Katowice miasto przemian i muzyki* Józefa Ligęzy. Projekt graficzny art. plastyk Wojciech Smolarski)



fol. Marek Wesolowski

Józef Ligęza podczas wystawy w Muzeum Śląskim z okazji jubileuszu 50 lecia pracy artystycznej w roku 2008

Józef Ligęza jest z wykształcenia ekonomistą. Ukończył w 1962r. Wyższą Szkołę Ekonomiczną w Katowicach. W czasie studiów zorganizował pierwszą swoją wystawę, prezentując codzienne studenckie życie. Po ukończeniu studiów pracował w przemyśle, na różnych stanowiskach kierowniczych. Przez 17 lat był aktywnym członkiem Katowickiego Towarzystwa Fotograficznego, które ukształtowało jego postawę artystyczną. W tym czasie zgłębiał sztukę fotografii, mógł publicznie prezentować swoje prace i rywalizować w konkursach w kraju i za granicą. Zdobył ponad 100 nagród, medali i wyróżnień, w tym 25 nagród głównych oraz prestiżowy Złoty Medal Międzynarodowej Federacji Sztuki Fotograficznej (FIAP). Otrzymał Medal 150-lecia Fotografii (1839–1989), jest stypendystą Ministerstwa Kultury. W roku 1985 został umieszczony w Międzynarodowej Encyklopedii Fotografów, wydanej przez szwajcarską oficynę Editions Camera Obscura. W tym samym roku Federacja FIAP w Barcelonie przyznała mu za osiągnięcia twórcze honorowy tytuł: artysta AFIAP. Jego prace znajdują się w zbiorach wielu muzeów w kraju i za granicą. Od 1977 roku jest członkiem Związku Polskich Artystów Fotografików. Autor wielu wystaw indywidualnych i przeszło 270 wystaw zbiorowych. Wydał cztery autorskie albumy o mieście Katowice, w którym do chwili obecnej mieszka. Nadal poświęca wiele czasu dla młodzieży, której pracami fotograficznymi żywo się interesuje. Z wdzięcznością wspomina Edwarda Poloczka i Alfreda Ligockiego – swoich mentorów oraz piękne lata spędzone w Katowickim Towarzystwie Fotograficznym. To właśnie Alfred Ligocki w katalogu „Formy i ludzie” (1988r.) napisał o nim, że „odznacza się wręcz nieprawdopodobną aktywnością twórczą”. Wydany w roku 2019 album (265 str.) „Katowice miasto przemian i muzyki”, zdobył w roku 2021, Złoty Medal na Międzynarodowej Wystawie Fotograficznej BIFA w Budapeszcie, w kategorii książka/dokument. Natomiast w roku 2022, na Międzynarodowej Wystawie Fotografii TIFA w Tokio – Brązowy Medal. Również w roku 2021 na Międzynarodowej Wystawie IPA w Nowym Jorku, uzyskał dwa certyfikaty honorowe. Ciągłe przypomina, że promocja miasta Katowice w świecie, w którym od 65 lat mieszka, daje większą przyjemność, od zdobywanych medali i wyróżnień. Nadal aktywny mimo upływu lat.



*Secesyjne zdobienia kamienicy u zbiegu
ulic Młyńskiej i Pocztowej. Rok 2012.
Fot. Józef Ligęza, fotografia z albumu
„Katowice miasto przemian i muzyki”*



Kamienica na rogu ulic: Świętego Jana i Staromiejskiej. Fot. Józef Ligęza, fotografia z albumu „Katowice miasto przemian i muzyki”



Elementy secesyjne kamienicy u zbiegu ulic Stawowej oraz 3 Maja. Rok 2017. Fot. Józef Ligęza, fotografia z albumu „Katowice miasto przemian i muzyki”



Kamienica przy ulicy Stefana Batorego. Fot. Józef Ligęza, fotografia z albumu „Katowice miasto przemian i muzyki”

Odejście pięknego człowieka

PIOTR GRELLA-MOŻEJKO

Kilkakrotnie w moim życiu spotkałem osoby, które można było bez zastrzeżeń określić jako wyjątkowe, dobre, godne podziwu. Barbara Buczkówna, Ewa Synowiec, Marcin Błażewicz, Edward Bogusławski, Donald Erb (amerykański kompozytor, który kochał Polskę, nie tylko polską muzykę), Alfred Joel Fisher (kompozytor kanadyjski pochodzenia żydowskiego, także pełen sympatii dla nas, naszej historii, naszego dorobku kulturowego), Stanisław Moryto, Bogusław Schaeffer – wszyscy oni wywarli na mnie ogromny wpływ, ich odejście było nieodmiennie bolesne, bo tyle nauczyłem się od nich, bo tyle im zawdzięczam. Takim wyjątkowym, dobrym, godnym podziwu człowiekiem był Tadeusz Sierny.

Poznałem go w roku 2018, kiedy to spacerując po centrum Katowic i przyległych kwartałów zaszedłem na ulicę Ligonja. Nagle poczułem instynktowną potrzebę wejścia do redakcji *Śląska*, iżby przedstawić się redaktorowi naczelnemu – może zgodziłby się na nawiązanie współpracy? Przemiała pani przy wzbudzającym zaufanie biurku powiedziała, iż redaktor jest nieobecny i powinien wrócić w ciągu dwu godzin – był na ważnym zebraniu. Kontynuowałem więc przechadzkę, by po rzeczonym czasie udać się ponownie do redakcji. Wrócił, był w swoim biurze. Przyjął mnie bardzo grzecznie, ale i ostrożnie. Jednak wkrótce przełamaliśmy lody, czego rezultatem była jedna z najbardziej interesujących rozmów w jakich miałem przyjemność kiedykolwiek brać udział. Dyskutowaliśmy o polskiej prozie i poezji, uwarunkowaniach politycznych, a przede wszystkim o muzyce. Zaproponowałem pismu współpracę jako człowiek niejako „z zewnątrz”, niezwiązany z żadną grupą, będący zatem w stanie pisać w miarę obiektywnie i nie pomijać tych, o których się nie pisze, a którzy zasługują na uznanie. Podałem dla przykładu kilka nazwisk artystek i artystów, którzy mimo pozytywnej roboty, jaką wykonywali, znajdowali się poza sferą zainteresowania mediów artystycznych. Zapewniłem też, iż obce są mi uprzedzenia środowiskowe, które zawsze prowadzą do fałszowania obrazu tego, co dzieje się w sztu-

ce danego regionu. Moja propozycja musiała mu się spodobać, gdyż wyraził zgodę na tę – tak dla mnie istotną – współpracę. Z przyczyn osobistych, emocjonalnych, chciałem rozpocząć od przypomnienia sylwetki mojego byłego nauczyciela kompozycji, śp. Profesora Edwarda Bogusławskiego, co przyjął entuzjastycznie – jak stwierdził, niewiele się o Bogusławskim pisało, niewiele się jego muzyki wykonywało, więc temat był jak najbardziej odpowiedni.

Jeszcze tego samego popołudnia napisałem ten tekst, wysłałem do redakcji i... otrzymałem odpowiedź negatywną. Według Tadeusza był to tekst zbyt osobisty, on zaś wolał, jak mi doradził, coś bardziej zrównoważonego, skoncentrowanego raczej na dorobku kompozytora niż na jego cechach charakterologicznych i na moich z nim kontaktach. Do dziś przechowuję ten list elektroniczny jak świętość – tyle w nim było bezinteresownej zachęty, pozytywnej uwagi, a wszystko napisane z pewną surowością, ale była to surowość bardzo przyjazna, zachęcająca do dalszej pracy, a przy tym przyprawiona szczyptą uroczej ironii. Kiedy przedłożyłem nową wersję tekstu, otrzymałem chyba najkrótszą odpowiedź elektroniczną jaką można sobie wyobrazić: „Drukujemy”. Tak zaczęła się moja współpraca ze *Śląskiem*.

Po kilku miesiącach pisania miałem zaszczyt – bo według mnie był to zaszczyt – przejść na mniej formalny sposób zwracanie się do niego; zaczęliśmy zwracać się do siebie po imieniu. Przyjąłem to jako dowód koleżeńskości zaufania oraz akceptacji mojej osoby jako jednego z autorów. Potem znalazłem się na liście stałych współpracowników, co też przyczynuje się za naprawdę wielki honor.

W ciągu lat znajomości kilkakrotnie mieliśmy okazję rozmawiać na istotne tematy. Tadeusz był oczywiście bardzo zajęty, lecz kiedy nadarzyła się okazja nie miał nic przeciwko wymianie dłuższych listów. Największą przyjemność sprawiały mi te, w których pisał na temat moich tekstów uznanych za „kontrowersyjne”. Co ciekawe, zawsze brał moją stronę i zachęcał do dalszego pisania, zachęcał, abym nie schodził z raz obranej drogi – według Tadeusza prasa arty-

styczna usiana była tekstami bezkrytycznie pochwalnymi, a to, twierdził, było bezproduktywne, jałowe.

Sam pisał świetnie i zawsze kilkakrotnie – tak! – czytałem każdy artykuł wstępny jego autorstwa. Czytając je bardzo dużo się nauczyłem; teksty owe są, dosłownie, kopalnią wiedzy o Śląsku i jego wyjątkowości, tak w ujęciu historycznym, jak i współczesnym. To, co mówił, liczby i przykłady, które przytaczał, okazywały się niezwykle pożyteczne w mojej własnej pracy badawczej, powiem, że nie tylko pożyteczne, ale również inspirujące.

Podobał mi się jego stosunek do muzyki. Mianowicie powiedział mi kiedyś, że jako słuchacz najbardziej cenił muzykę Chopina, z którą się utożsamiał, i którą kochał. Nie przeszkadzało mu to wszakże rozważać o muzyce późniejszej, także najnowszej – nie dziwota więc, iż jako współautor wziął udział w książkowym projekcie poświęconym Witoldowi Szalunkowi, twórcy, którego cenił i lubił. Może to i sprzeczność: z jednej strony Chopin, z drugiej Szalunek; moim zdaniem udział Tadeusza w tym wręcz niezbędnym wydawniczym przedsięwzięciu świadczy wszakże o jego otwartości, gotowości na podejmowanie inicjatyw nietypowych, a przy tym ambitnych – zawsze w imię dobra śląskiej kultury.

Trudno było Tadeusza nie lubić. W rozmowach z ludźmi zespołu redakcyjnego wielokrotnie podkreślał jego profesjonalizm, który tak ładnie, wręcz elegancko, potrafił łączyć z uprzejmością i tolerancją. Był konkretny, nie lubił owijać w bawełnę, a jednocześnie tę konkretność, rzeczowość, potrafił wyrażać w jakiś sobie tylko właściwy, bezkonfliktowy sposób. Jednym słowem miał styl, miał klasę.

Tadeusz Sierny naprawdę opuścił nas u szczytu swoich możliwości twórczych, naprawdę opuścił nas o wiele za wcześnie. Pozostawił po sobie imponujący dorobek; pod jego kierunkiem *Śląsk* nie tylko przetrwał różne gwałtowne nawałnice, ale i niebawem umocnił swoją pozycję wśród czołowych krajowych publikacji. Brakuje mi Tadeusza. Będzie mi go brakować. Odszedł piękny człowiek.

Lew Tołstoj *O miłości*

WYBRAŁ I PRZEŁOŻYŁ MARIAN KISIEL

Można kochać w sobie tylko tego, który jest jednym we wszystkich. Kochać tego, który jest jednym we wszystkich, to znaczy kochać Boga.

1
„Nauczycielu, które przykazanie w Prawie jest największe?” On mu odpowiedział: „Będziesz miłował Pana Boga swego całym swoim sercem, całą swoją duszą i całym swoim umysłem. To jest największe i pierwsze przykazanie. Drugie podobne jest do niego: Będziesz miłował swego bliźniego jak siebie samego. Na tych dwóch przykazaniach opiera się całe Prawo i Prorocy”.

Mt 22, 36–40

2
Ludzie żyją nie dlatego, że myślą o sobie, ale dlatego, że jest w nich miłość. Jakby Bóg nie chciał, aby ludzie żyli osobno, a potem nie objawił im tego, czego każdy z nich potrzebuje dla siebie, ale chciał, aby żyli razem, a potem objawił im to, czego wszyscy potrzebują dla siebie i dla innych.

Ludziom wydaje się, że żyją, dbając o siebie, ale żyją dzięki miłości. Gdyby w ludziach nie było miłości, nie urosłoby żadne dziecko i żaden człowiek nie pozostałby przy życiu.

3
Ludzie żyją miłością. Miłość do siebie jest początkiem śmierci, miłość do Boga i ludzi – początkiem życia.

4
Bóg jest miłością: kto trwa w miłości, trwa w Bogu, a Bóg trwa w nim. – Nikt nigdy Boga nie oglądał. Jeżeli miłujemy się wzajemnie, Bóg trwa w nas i miłość ku Niemu jest w nas doskonała. – Jesliby ktoś mówił: «Miłuję Boga», a brata swego nienawidził, jest kłamcą, albowiem kto nie miłuje brata swego, którego widzi, nie może miłować Boga, którego nie widzi. – Umiłowani, miłujmy się wzajemnie, ponieważ miłość jest z Boga, a każdy, kto miłuje, narodził się z Boga i zna Boga. Kto nie miłuje, nie zna Boga, bo Bóg jest miłością. – Kto trwa w miłości, trwa w Bogu, a Bóg trwa w nim.

1 List św. Jana, z rozdz. 4.

5
Jeśli człowiek nie może przebaczyć swojemu bratu, nie kocha go. Prawdziwa miłość jest nieskończona i nie ma takiej liczby zniewag, których nie wybacz, jeśli jest prawdziwą miłością.

6
Kochać tego, kto nas nie kocha, to nie kochać. Prawdziwa miłość jest tylko wtedy, kiedy kochamy w człowieku tego samego Boga, jaki jest w nas. Tą miłością kochamy nie tylko swoich bliskich, nie tylko tych, którzy nas kochają, ale kochamy także nieprzyjrzanych, złych ludzi, którzy nas nienawidzą. Aby kochać takich ludzi, musimy pamiętać, że ten, z którym mamy do czynienia, kocha siebie tak samo, jak my kochamy siebie, i że w nim mieszka ten sam Bóg, co w nas. Jeśli będziemy o tym pamiętać, zrozumiemy, jak powinniśmy go traktować. A jeśli zrozumiemy, będziemy Go kochali, a jeśli będziemy Go kochali, to ta miłość da nam więcej radości niż miłość tych, którzy nas kochają.

Miłość nie jest zasadniczym początkiem naszego życia. Miłość jest następstwem, a nie przyczyną. Przyczyną miłości jest świadomość w nas samych boskiego, duchowego pierwiastka. Ta świadomość domaga się miłości, tworzy miłość.

Miłość do ludzi daje prawdziwe, nieodłączne dobro wewnętrzne, łączące człowieka z innymi ludźmi i z Bogiem.

1
Nikt nie może przeszkodzić w duchowym rozwoju człowieka, prócz niego samego. Ani słabość fizyczna, ani niezdolność umysłowa nie mogą być przeszkodą w rozwoju natury duchowej, ponieważ rozwój natury duchowej opiera się na powiększaniu miłości, a nic nie może przeszkodzić temu powiększaniu.

Lucy A. Mallory

2
Człowiek rozumny kocha nie dlatego, że jest mu tak wygodnie, ale dlatego, że w samej miłości znajduje dobro.

3
Nie żałuj przeszłości; cóż dobrego jest w żalowaniu? Kłamstwo mówi: bądź zepsuty; prawda mówi: tylko kochaj. Oddal od siebie wszystkie wspomnienia. Nie mów o przeszłości; żyj w świetle miłości, a wszystko inne niech przemienie.

Mądrość perska

4
Zapytano chińskiego mędrca: „Czym jest nauka?” Odpowiedział: „Poznawaniem ludzi”. Zapytano go: „Czym jest cnota?” Odpowiedział: „Miłością do ludzi”.

5
Człowiek nie może osiągnąć szczęścia, ponieważ im wyższe są jego aspiracje do szczęścia doczesnego, tym mniej są one możliwe do osiągnięcia. Spełnienie obowiązku też nie może dać szczęścia. Spełnienie to daje spokój, a nie szczęście.

Tylko boska, święta miłość i zjednoczenie się z Bogiem dają prawdziwe dobro, ponieważ jeśli ofiara stała się radością – stała, rosnącą, niezakłóconą radością – to dusza ma zapewnione nieprzerwane dobro.

Amiel

6
Spróbuj pokochać tego, którego nie lubieś, osądzałeś, kto cię obraził. Jeśli Ci się to uda, wówczas doświadczysz zupełnie nowego, wspaniałego uczucia radości. O razu zobaczysz w tej osobie tego samego Boga, który mieszka w tobie. Tak, jak po ciemności światło świeci jaśniej, tak w tobie, gdy uwolnisz się od braku miłości, światło Bożej miłości będzie świecić mocniej i radośniej.

7
Czuję w sobie moc, która z czasem odmieni świat. Ona nie naciska ani nie dławi, ale czuję, jak powoli i nieodparcie mnie wciąga. I widzę, że coś mnie przyciąga, tak samo, jak ja nieświadomie przyciągam innych. Przyciągam ich, a oni mnie, i dążymy do nowego połączenia.

I zapytałam tę moc, która była we mnie: „Kim jesteś?”

A ona odpowiedziała: „Jestem miłością, władczynią nieba i chcę być władczynią ziemi”.

„Jestem najpotężniejszą ze wszystkich mocy niebieskich i przybyłam po to, aby uformować społeczeństwo przyszłości”.

Fanny Crosby

8
Jak matka, nie bacząc na swoje życie, pielęgnuje i chroni dziecko, swoje jedyne dziecko, tak samo niech każdy człowiek pielęgnuje i chroni w sobie przyjazne uczucie do wszystkich, co żyje.

Metta Sutta

Brak lęku, spokój i radość, jakie daje miłość, są tak wielkie, że dobra ziemskie darowane przez miłość (miłość do ludzi) są niewidoczne dla człowieka, która poznał wewnętrzne dobro miłości.

*

Czym jest prawdziwa miłość, wie tylko ten, kto kocha ludzi nieprzyjaciół, wrogich. Dowodem prawdziwej miłości jest miłość do nieprzyjaciół.

1

Kochać człowieka, który nas kocha, który nam się podoba, można miłością człowieczą; ale wroga można kochać tylko miłością Bożą. Kochając miłością człowieczą, można przejść od miłości do nienawiści; ale Boża miłość nie może się zmienić. Nic, nawet śmierć, nie może jej zniszczyć. Ona jest istotą duszy.

2

Jeśli dobrze czynicie tym tylko, którzy wam dobrze czynią, jaka za to dla was wdzięczność? I grzesznicy to samo czynią. Jeśli pożyczek udzielacie tym, od których spodziewacie się zwrotu, jakaż za to dla was wdzięczność? I grzesznicy grzesznikom pożyczają, żeby tyleż samo otrzymać. Wy natomiast miłujcie waszych nieprzyjaciół, czyńcie dobrze i pożyczajcie, niczego się za to nie spodziewając. A wasza nagroda będzie wielka, i będziecie synami Najwyższego; ponieważ On jest dobry dla niewdzięcznych i złych. Bądźcie miłosierni, jak Ojciec wasz jest miłosierny.

Lk 6, 33–36

3

Wy zaś miłujcie tych, którzy was nienawidzą, a nie będziecie mieli wroga.
Didache, czyli Nauka dwunastu apostołów, przeł. Józef Jankowski.

4

Słyszeliście, że powiedziano: Będziesz miłował swego bliźniego, a nieprzyjaciela swego będziesz nienawidził. A Ja wam powiadam: Miłujcie waszych nieprzyjaciół i módlcie się za tych, którzy was przesładują; tak będziecie synami Ojca waszego, który jest w niebie; ponieważ On sprawia, że słońce Jego wschodzi nad złymi i nad dobrymi, i On zsyła deszcz na sprawiedliwych i niesprawiedliwych.

Mt 5, 43–45

Jeśli Bóg zrównuje wszystkich ludzi i nie dzieli ich na złych i dobrych – a On zna ludzkie serca – to jak my, nie wiedząc, co dzieje się w ludzkich sercach, możemy ich dzielić – i jednych kochać, a innych nie.

5

Nadmierne faworyzowanie jakichś ludzi, błędnie nazywane miłością, jest tylko sadzonką, na której może być zaszczerpiona prawdziwa miłość i wydać swój owoc. Ale tak jak sadzonka nie jest jabłonią i nie rodzi owoców lub wydaje gorzkie owoce, zamiast słodkich, tak sam faworyzowanie nie jest miłością i nie daje ludziom dobra, ale stwarza jeszcze większe zło.

6

Kiełek miłości, delikatny, kiedy się pojawia i nietykalny, jest wtedy potężny, kiedy rośnie.

Wszystko, co ludzie zechcą z nim zrobić później, będzie dla niego tylko gorsze.

Jedynie, czego on potrzebuje, to tylko tego, żeby nic nie zakrywało przed nim słońca rozumu, dzięki któremu wzrasta.

7

Najdoskonalszym człowiekiem jest ten, który kocha swoich bliźnich i czyni im dobro, niezależnie od tego, czy są dobrzy, czy zli.

Mahomet

8

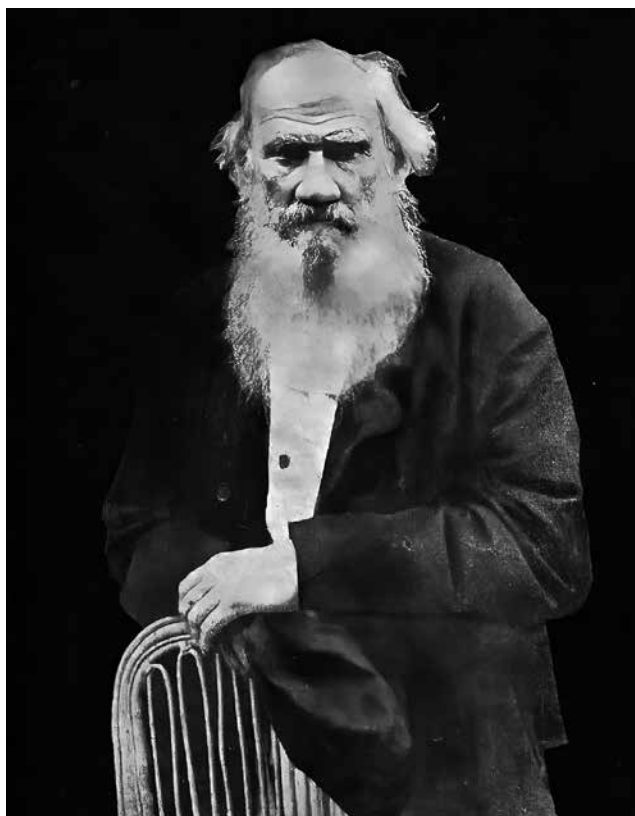
Przeciwstawiaj łagodność zepsuciu; ostry miecz nie jeden raz przecina miękki jedwab. Delikatnymi słowami i życzliwością można słonia poprowadzić na nici.

Sadi z Szirazu

Ileokroć ktoś cię obraża i czujesz na niego gniew, staraj się pamiętać, że wszyscy ludzie są synami Bożymi i że bez względu na to, jak bardzo kogoś nie lubisz, nie powinieneś przestawać go kochać jak brata, takiego jak ty, Bożego syna.

*

Kochać Boga, to znaczy kochać to najwyższe dobro, jakie tylko możemy sobie wyobrazić.



Lew Tostoj – ostatnie zdjęcie przed śmiercią

1

Często się mówi: nie rozumiem miłości do Boga. Lepiej byłoby powiedzieć: nie rozumiem żadnej miłości bez miłości do Boga.

2

Prawdziwa miłość do Boga jest uczuciem moralnym, opartym na jasnym zrozumieniu najwyższej doskonałości. Tak więc miłość do Boga jest tym samym, co miłość do cnoty, sprawiedliwości, dobra.

William Ellery Channing

3

Człowiek, który posiadał doskonałą znajomość prawa, ale nie wie, czym jest miłość do Boga, podobny jest do klucznika, któremu dano klucz do drzwi wewnątrz, lecz nie dano mu do zewnętrznych.

Talmud

4

Wypełniać Boże przykazania trzeba z miłości do Boga, a nie ze strachu przed nim.

Talmud

5

Kim człowiek czuje w swojej duszy, tym, w istocie, jest jego Bóg; albo jest dobry, kochający i sprawiedliwy, albo jest mściwy, gniewny i zły.

Lucy A. Mallory

6

Jeśli kochasz człowieka, nie kochając w nim Boga, czyli dobra, to taką miłością gotujesz sobie rozczarowanie i cierpienie.

7

Ten, który mówi, że kocha Boga, lecz nie kocha bliźniego, ten oszukuje ludzi. Ten zaś, który mówi, że kocha bliźniego, lecz nie kocha Boga, ten oszukuje samego siebie.

Tylko doskonałość jest godna miłości.

Aby doświadczyć doskonałej miłości, musimy albo przypisać doskonałość niedoskonałemu obiektowi naszej miłości, albo kochać doskonałość – Boga.

*

Uczucie, które rozwiązuje wszystkie sprzeczności ludzkiego życia i daje największe dobro człowiekowi, jest znane wszystkim ludziom. Tym uczuciem jest miłość.

1

Jak pokonać zły nastrój? Najpierw pokorą: skoro znasz swoją słabość, to po co się denerwować, gdy inni ją wytykają? Jest to niemile z ich strony, ale mają rację. Następnie rozumowaniem: w końcu jesteś tym, kim byłeś i jeśli szanujesz siebie, musisz tylko zmienić o sobie zdanie; brak szacunku dla bliźniego pozostawia nas takimi, jakimi byliśmy. Najważniejsze zaś jest przebaczenie: tylko ono jest jedynym sposobem, aby nie nienawidzić tych, którzy wyrządzają nam zło i obrażę, aby czynić im dobro, zwyciężyć swój gniew życzliwością; nie zmienisz ich przez to zwycięstwo nad swoimi uczuciami, ale okiełznasz siebie.

Amiel

2

Jaka jest cena oczu, w których nie ma dobroci? Życzliwość jest prawdziwym bogactwem. Dobytek posiadają i dobrzy, i zli. Zostań na prawdziwej ścieżce, myśl i bądź dobry; choćbyś poznał zasady wszystkich doktryn religijnych, tylko dobro da ci radość. Ten, kto ma w swojej duszy dobro, nigdy nie wejdzie w sferę ciemności i smutku. Żadne zło nie spotka tego, który jest dobry i służy wszelkim istotom.

Tirukkural

3

Miłość niszczy śmierć i zmienia ją w puste widmo; zmienia życie z bezsensu w coś sensownego i z nieszczęścia czyni szczęście.

4

Zatrute żądło może wyjąć z rany tylko balsam cichego i łaskawego miłosierdzia. Dlaczego ulegać rozdrażnieniu przez ludzką złośliwość, niewdzięczność, zawiść, nawet podstęp? Oskarżeniom, skargom, karom nigdy nie będzie końca. Najprościej – wymazać wszystko. Urazy, wyrzuty, pretensje buntują duszę. Trzeba mieć lekarstwo na to zło. Ogień oczyszcza wszystko w świecie zewnętrznym; miłość – w świecie duchowym.

Amiel

5

Jeśli jesteś świadomie niezyciwy dla wszystkich, będziesz często nieświadomie okrutny dla wielu.

John Ruskin

6

Miłość wybawia człowieka z siebie, z jego osoby, i dlatego, jeśli osoba cierpi, miłość wybawia ją od cierpienia.

7

Im mniej miłości, tym bardziej człowiek narażony jest na mękę cierpienia; im więcej miłości, tym mniejsza jest ta męka; życie zaś w pełni rozumne, którego cała aktywność przejawia się tylko w miłości, wyklucza możliwość jakiegokolwiek cierpienia. Męka cierpienia to tylko ból, jakiego doświadczają ludzie próbujący zerwać łańcuch miłości, który łączy ludzkie życie z życiem świata.

Kiedy jest ci ciężko, kiedy boisz się ludzi i siebie, kiedy myli ci się rozumowanie z działaniem, powiedz sobie: „Będę kochał tych, z którymi łączy mnie życie”, i staraj się to robić, a zobaczysz, że wszystko minie, złagodnieje, rozplącze się, a ty nie będziesz niczego oczekiwał, ani bał się.

*

Miłość jest przejawem boskiej istoty, której nie zna czasu, dlatego miłość objawia się tylko w teraźniejszości, teraz, w każdym momencie teraźniejszości.

1

W ogóle kochać to znaczy czynić dobro. W ten sposób wszyscy rozumiemy miłość i nie możemy jej rozumieć inaczej. A miłość to nie tylko słowo, ale

działanie skierowane ku dobru innych. Jeśli człowiek decyduje, że lepiej dla niego jest powstrzymać się od wymagań prawdziwej, najmniejszej miłości, w imię innego, przyszłego przejawu większej miłości, to oszukuje albo siebie, albo innych i nie kocha nikogo poza sobą. Nie ma miłości przyszłej, miłość jest tylko obecną teraźniejszością. Człowiek zaś, który nie okazuje miłości w teraźniejszości, nie ma miłości.

2

Nie zwlekajmy z tym, aby sprawiedliwymi, współczującymi, rozważnymi wobec tych, których kochamy; nie czekajmy, aż oni lub my zostaniemy dotknięci chorobą lub zagrożeni śmiercią. Życie jest krótkie i może nie być zbyt wiele czasu, aby ucieszyć serca naszych towarzyszy w tym krótkim fragmencie. Spieszmy się być dobrymi.

Amiel

3

Ukryj się przed nieszczęśliwym, któremu pomagasz: niech cieszy się z dobra, nie znając imienia swego dobroczyńcy.

z Myśli pobożnych

4

Pomagaj biednemu, nie starając się dociec przyczyn jego ubóstwa, żebyś nie odkrył czegoś, co może osłabić twoje zaangażowanie.

z Myśli pobożnych

5

Bądź dobry, nawet jeśli świat cię potępia. To lepsze niż być chwalonym i dalej czynić zło.

Lodi

6

Nauczanie Ewangelii zawiera w sobie prostą wiarę, a mianowicie wiarę w Boga i cześć dla Niego, albo, co na jedno wychodzi, posłuszeństwo wobec Jego prawa. Całe zaś Jego prawo dotyczy tylko jednego: miłości bliźniego.

Kochać bliźniego jak siebie samego, to znaczy być posłusznym prawu i być szczęśliwym w jego przestrzeganiu, i odwrotnie, gardzić i nienawidzić bliźniego, to popadać w gniew i upór.

Spinoza

7

Istnieją dwa rodzaje miłości.

Według jednej, po prostu kocham ludzi, nie znając miłości do jednej we wszystkich ludziach duchowej istoty.

Według drugiej, to co kocham we wszystkich ludziach, to jedyna we wszystkich ludziach duchowa istota.

Różnica między ta i inną miłością polega na tym, że w pierwszym przypadku będę kochał ludzi tylko dotąd, dopóki będą oni mi przyjaźni.

W drugim zaś przypadku, kiedy będę kochał w ludziach ich istotę, jedyną w nas wszystkich, będę kochał ludzi również wtedy, kiedy będą wobec mnie nieprzyjaźni.

W pierwszym przypadku będziemy zmieniać obiekty naszej miłości, nasze żony, przyjaciół, mężów itd.; podobnie jak ludzie, których kochamy, ciągle się zmieniają, zmieniają się tak samo nasze uczucia do nich.

W drugim przypadku, wraz z własnym rozwojem moralnym, będziemy coraz bardziej kochać tę boską duchowość, którą coraz wyraźniej rozpoznajemy we wszystkich ludziach.

Fiodor Strachow

Bardzo to bolesne wciąż przypominać sobie, że mogłeś dokonać, ale nie dokonałeś dzieła miłosierdzia, że nieodwracalnie pozostawiłeś bez pomocy kogoś, kto oczekiwał jej od ciebie, a siebie pozbawiłeś radosnej świadomości spełnienia powinności.

*

Nie ma innej miłości niż ta, która oddaje swoją duszę za przyjaciół. Miłość tylko wtedy jest miłością, kiedy jest ofiarą z siebie. Kiedy człowiek zapomina o sobie i żyje życiem tego, kogo kocha – tylko taka miłość jest prawdziwa i tylko w takiej miłości znajdujemy dobro, nagrodę miłości. I tylko przez to, że w ludziach jest taka miłość, świat ma sens.

K S A L S

MIESIĘCZNIK
SPOŁECZNO -
KULTURALNY

II edycja Konkursu o Nagrodę Dramaturgiczną im. Tadeusza Różewicza

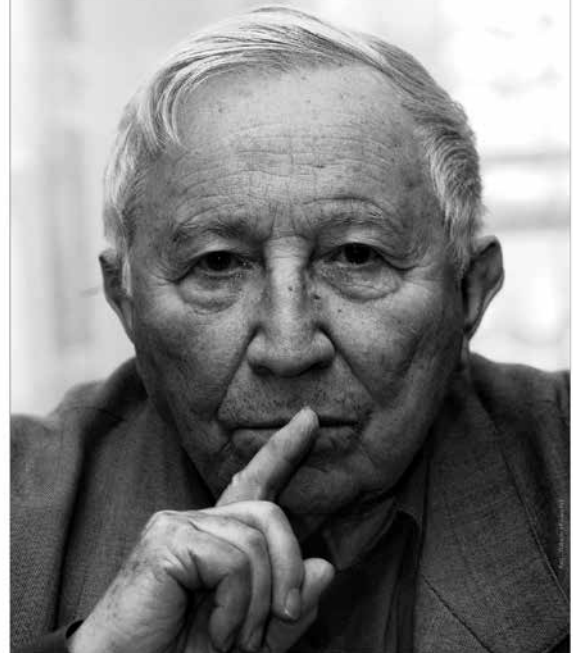
Przypominamy, że podczas listopadowej uroczystości w Teatrze Miejskim w Gliwicach ogłoszono otwarcie II edycji Konkursu o Nagrodę Dramaturgiczną im. Tadeusza Różewicza. Termin nadsyłania utworów upływie 20 marca 2023 r. Laureatką pierwszej edycji Konkursu jest Małgorzata Maciejewska, która za sztukę „Feblik” otrzymała nagrodę w wysokości 50 000 zł.

Nagroda Dramaturgiczna im. Tadeusza Różewicza ma na celu wspieranie twórców piszących dla teatru oraz promocję najbardziej wartościowych zjawisk zachodzących we współczesnej dramaturgii polskiej. Jurorami Konkursu są Małgorzata Sikorska-Miszczuk, Zyta Rudzka, Beniamin Bukowski, Roman Pawłowski i Paweł Szkotak. Do II edycji mogą zostać zgłoszone utwory dramatyczne przeznaczone do wystawienia w teatrze, napisane w języku polskim przez autorów posiadających w swoim dorobku przynajmniej jeden wcześniej opublikowany (z nadanym numerem ISBN) utwór literacki i/lub wystawiony na scenie teatru repertuarowego. Zgłaszany do Konkursu tekst nie może być wcześniej publikowany, ani wystawiony w formie sztuki teatralnej. Autorów prosimy o zapoznanie się z aktualnym regulaminem Konkursu, w którym Organizatorzy uwzględnili uwagi zgłaszane przez uczestników poprzedniej edycji. Ewentualne pytania prosimy kierować do sekretarza Konkursu na adres: sekretarz@nagrodarozewicza.pl.

Konkurs o Nagrodę Dramaturgiczną im. Tadeusza Różewicza składa się z trzech etapów. W etapie pierwszym Komisja Kwalifikacyjna dokona wstępnej oceny nadesłanych tekstów (termin nadsyłania zgłoszeń: 20 marca 2023 r.), wybierając spośród nich 20 utworów, przekazując je do dalszej oceny Kapitulie Nagrody. W etapie drugim, spośród utworów zarekomendowanych przez Komisję Kwalifikacyjną, Kapituła Nagrody wybierze trzy teksty, kwalifikując je do finału Konkursu (ogłoszenie finalistów nastąpi do 30 września 2023 r.). Rozstrzygnięcie konkursu nastąpi do 30 listopada 2023 r. Więcej informacji: www.nagrodarozewicza.pl i www.teatr.gliwice.pl

NAGRODA
DRAMATURGICZNA
IM. TADEUSZA
RÓŻEWICZA

II EDYCJA



Nabór tekstów do 20.03.2023 r.

teatr
miejski
w gliwicach

PAŃSTWY
REPUBLICZNY
MIEJSCA
KULTURY
GOSPODARSTWA
KRAJOWEGO

www.nagrodarozewicza.pl



Jego bronią było słowo

AGNIESZKA ZIELIŃSKA

Alfred Jesionowski przygotował prawie 500 publikacji. Był związany z „Polskim Radiem”, czasopismami katolickimi 20-lecia międzywojennego. Walczył o powrót „Śląska do Macierzy”. Po wybuchu II wojny światowej był żołnierzem podziemia. Aresztowany przez gestapo w 1944 r. prawdopodobnie zginął podczas „Marszu śmierci”. Później jego postać zatarła komuna, był dla niej niewygodny. Dopiero teraz, po raz pierwszy po II wojnie światowej, ukazuje się książka Alfreda Jesionowskiego „Przymierze z książką. Krytyka literacka, publicystyka i proza z lat 1929–1945”. Jej redaktorami są dwaj profesorowie UJ w Krakowie, Maciej Jan Urbanowski i Olga Płaszczewska (prywatnie wnuczka dziennikarza).

Niesłusznie zapomniani

– Urodził się w roku 1902 w Wielkopolsce, w Mogilnie. Był synem nauczyciela, a znany był przede wszystkim jako publicysta związany z różnymi organami prasy śląskiej, głównie „Prosto z mostu” – tak o swoim dziadku Alfredzie Jesionowskim mówiła niedawno na antenie radiowej „Dwójki” polonistka prof. Olga Płaszczewska UJ w Krakowie.

– Alfred Jesionowski – to jedna z niesłusznie zapomnianych postaci 20-lecia międzywojennego – podkreśla Monika Kobyłańska, rzecznik prasowy IPN Katowice, wydawcy książki prezentującej postać i dzieła Jesionowskiego pt. „Przymierze z książką”.

Alfred Jesionowski był autorem pierwszego polskiego opracowania literatury o tematyce plebiscytowej i badaczem literackich stosunków niemiecko-polskich. Aktywnie uczestniczył w życiu literackim II Rzeczypospolitej. Pisał dla „Prosto z Mostu” i „Kultury”. Był ceniony jako wnikliwy krytyk literacki i katolicki publicysta. Pozostawił po sobie ponad 500 publikacji. Jako dziennikarz prowadził popularne audycje na temat literatury i sztuki w „Polskim Radiu”.

– Aresztowany przez gestapo w 1944 roku, zaginął bez wieści, a pozostawione przez niego pisma – ze względu na ich nieprzystawalność do realiów Polski po roku 1945 – znane są jedynie wąskiej grupie specjalistów – dodaje Monika Kobyłańska. – Publikacja „Przymierze z książką” to pierwsza powojenna edycja najważniejszych prac Jesionowskiego: krytyczno-literackich, pedagogicznych, translatorskich, porównawczych, poświęconych sztuce, dotyczących „sprawy polskiej na Śląsku”. W tomie zamieszczono m.in. pionierskie opracowanie „Plebi-

scyt i powstania śląskie w polskiej literaturze pięknej” (Katowice 1938 r.). Po raz pierwszy ukazuje się też autobiograficzne opowiadanie „Przerwane zapiski”, którego pełną wersję odnaleziono podczas pracy nad prezentowanym wyborem tekstów. Całość znacznie rozszerza wiedzę na temat dziedzictwa II Rzeczypospolitej, które ukazuje z perspektywy jego aktywnego współtwórcy.

Nauczyciel, dziennikarz, patriota

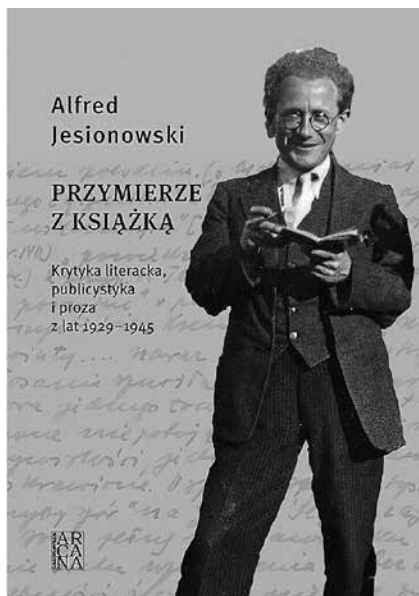
Alfred Jesionowski przyszedł na świat 27 stycznia 1902 r. w rodzinie Wojciecha i Marii z domu Mensch. W 1920 r. ukończył Gimnazjum Jana Kasprowicza w Inowrocławiu. Studiował romanistykę i germanistykę na Uniwersytecie Poznańskim (studia ukończył w 1928 i 1929 r.). Od 1926 r. pracował w Państwowym Gimnazjum im. Adama Mickiewicza w Lublińcu. Uczył łaciny, greki, języka niemieckiego i francuskiego. Był także opiekunem I Męskiej Drużyny Harcerskiej im. Tadeusza Kościuszki działającej przy szkole (jego biografię możemy znaleźć np. na stronie internetowej ZHP w Lublińcu). W 1932 r. został przeniesiony do Państwowego Gimnazjum w Mikołowie. Tu otrzymał tytuł – profesora (przysługujący nauczycielom, którzy ukończyli studia i pracują na stałe przez minimum 3 lata). Rok później przenosi się do Państwowego Gimnazjum im. Bolesława Chrobrego w Pszczynie. Nie zapomina o harcerzach – udziela się w Kole Przyjaciół Harcerstwa, działającym przy szkole. W latach 1934–1939 współpracuje wraz z grupą nauczycieli szkół średnich z Instytutem Śląskim. Ostatni rok przed wybuchem wojny pracował w Państwowym Gimnazjum w Mysłowicach.

Jesionowski jako dziennikarz prowadził ożywioną korespondencję z pisarzami, poetami i krytykami literackimi swojej epoki, wśród których byli: Maria Dąbrowska, ks. Emil Szramek, Emil Zegadłowicz, czy Gustaw Morcinek – z którym łączyła go przyjaźń. Bibliografia publikacji Jesionowskiego była tak bogata, że w 1939 r. został odznaczony Srebrnym Wawrzynem Polskiej Akademii Literatury. Jak podaje „Śląski Słownik Biograficzny” – Alfred Jesionowski „jako najczęściej drukowany poza Śląskiem krytyk regionalny przyczynia się znacznie do spopularyzowania literatury śląskiej”.

Na początku września 1939 r. wraz z wycofującymi się żołnierzami i ludnością cywilną opuszcza Mysłowice, by dotrzeć do Krakowa, gdzie zamieszka.

Przeżycia, które mu towarzyszą, opisuje w niedokończonej powieści. Do dziś zachowało się jej pierwsze 70 stron, które aktualnie – znajdują się w „Bibliotece Śląskiej” w Katowicach. W Krakowie utrzymuje się z dawania korepetycji z niemieckiego, jest też zatrudniony jako tłumacz w Zakładzie Ubezpieczeń Społecznych. Zwołuje odprawy z grobem współpracowników, ze służbą kurierską, organizuje przetrzuty ksiązek na Górnym Śląsku.

Jest też zaangażowanym żołnierzem podziemia. Pod pseudonimem „Szymon” (kryptonim „310”) służy w Śląskim Biurze Szkolnym Sekcji Zachodniej Departamentu Informacji i Propagandy Delegatury Rządu (jest referentem terenowym). Ze względu na doskonałą znajomość niemieckiego, uczestniczy w tzw. akcji „N”, polegającej na przygotowywaniu antyhitlerowskich materiałów propagandowych, przeznaczonych dla Niemców i mających sprawiać wrażenie, że pochodzą z niemieckiego ruchu oporu. Jest także szefem propagandy. Na skutek niewyjaśnionej „wspły” w oświęcimskiej komórce podziemia, z którą utrzymuje kontakty, wraz z sekretarką Danutą Gruszkowską („Barbara”) oraz łącznikiem Adamem Niezabitowskim („Hanys”) zostaje aresztowany 1 marca 1944 roku. Z więzienia przy ul. Montelupich w Krakowie zostaje przewieziony do Katowic, skąd po uciążliwym śledztwie trafia do „Breslau-Fünfteichen” (Miłoszyce), filii obozu „Gross-Rosen” (Rogoźnica). Jesionowski zginie prawdopodobnie w styczniu 1945 roku podczas ewakuacji obozu, znanej jako „Marsz śmierci”. ■



W roku 2029 jedno wybrane miasto w Polsce zostanie Europejską Stolicą Kultury i na 12 miesięcy wypełni się wyjątkowymi wydarzeniami kulturalnymi i projektami społecznymi. Górnośląsko-Zagłębiowska Metropolia podejmie grę o ten tytuł. Z korzyścią nie tylko dla środowisk kulturalnych, ale wszystkich mieszkańców.

Na Europejskiej Stolicy Kultury skoncentrowana jest uwaga całej Europy. Ambitny program kulturalny, jaki proponuje w roku obchodów, przyciąga odwiedzających z całego kraju i Europy. Wywołuje też większe zainteresowanie mediów, w tym także zagranicznych. W ten sposób wyróżnione miasto buduje swój pozytywny wizerunek, nie tylko w swoim kraju, ale na poziomie całego kontynentu.

Historia projektu Europejskiej Stolicy Kultury jest długa. Sięga bowiem roku 1985. Wtedy po raz pierwszy swój pomysł wyróżnienia tym prestiżowym tytułem wybranego miasta zrealizowała grecka minister kultury Melina Mercouri.

Od tego czasu, co roku jedno miasto z Europejskiej Wspólnoty Gospodarczej, aktualnie z Unii Europejskiej, było mianowane na 12 miesięcy Europejską Stolicą Kultury. A ponieważ Unia rozrastała się o nowe kraje, od 2001 roku już dwa miasta w dwóch różnych krajach otrzymywały ten tytuł.

Kraje, w których wybiera się ESK, zmieniają się cyklicznie, dlatego tytuł ESK świętowaliśmy w Polsce już dwukrotnie – w 2000 roku w Krakowie i w 2016 roku we Wrocławiu.

Trzecia szansa przed polskimi miastami otworzyła się na rok 2029. Konkurs, w którym zostanie wybrane, właśnie został ogłoszony przez Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

Same korzyści

Łatwo wyobrazić sobie, jakie korzyści niesie ze sobą tytuł. Obchody roku ESK to ogromna szansa dla laureata tego konkursu. Także mieszkańcy, włączeni w obchody roku ESK nie tylko jako odbiorcy, ale współtworzący jego program, lepiej postrzegają swoje miasto i zwiększają poczucie przynależności do niego.

Tłumy odwiedzających i publiczność wydarzeń to ogromna korzyść dla lokalnej gospodarki. Goście śpią w hotelach, korzystają z restauracji i lokalnego transportu. W belgijskim mieście miasto Mons – ESK 2015 – obliczono, że każde wydane jedno euro przyniosło pięć euro zysku. Wrocław z samej tylko sprzedaży biletów, akredytacji i gadżetów związanych z tytułem zanotował 42 mln zł przychodu.

Katowice chorążym GZM

Konkurs o tytuł Europejskiej Stolicy Kultury skierowany jest do miast i tylko ono może starać się o jego uzyskanie. Jednak historia pokazuje, że może go zdobyć organizacja zrzeszająca miasta i gminy. Najlepszym przykładem był tytuł ESK dla niemieckiego Essen w 2010, które to miasto stało się swego rodzaju „chorążym” całego Zagłębia Ruhry. To przykład szczególnie inspirujący, biorąc pod uwagę podobieństwa między Zagłębiem Ruhry a Gór-



fol. Arkadiusz Ławrynowicz

Muzykodrom – warsztaty dla dzieci (projekt instytucji Katowice Miasto Ogrodów)

Metropolia Europejską Stolicą Kultury 2029?

nośląsko-Zagłębiowską Metropolią, choćby industrialne dziedzictwo i gęstość zaludnienia.

W przypadku Metropolii, rolę chorążego kandydatury przyjął miasto Katowice. We współpracy z Sosnowcem, który zadba o niezbędną równowagę tego, co zagłębiowskie, przygotowany zostanie wniosek aplikacyjny, który należy złożyć do Ministerstwa Kultury do 15 września 2023 roku.

Kultura dla mieszkańców

Kandydatura Katowic i Metropolii może wyznaczyć nowy rozdział historii konkursu ESK. Na tytuł ma szansę silny organizm, który choć podzielony na 41 odrębnych miast, stanowi tak naprawdę jedną całość.

Wspólna jest najnowsza historia, ale i wyzwania przyszłości. Sama wspólnota metropolitalna nie jest jeszcze w pełni zakorzeniona w świadomości mieszkańców. Niewątpliwie kultura może stać się jednym z czynników budujących wspólną świadomość, a nawet tożsamość. Kultura, która jest polem spotkania się ludzi, pozwala lepiej się poznać, zniwelować podziały, wyzwolić poczucie wspólnotowości.

Program Europejskiej Stolicy Kultury jest w pierwszej kolejności skierowany do mieszkańców i to oni będą także współtworzyć kandydaturę Metropolii. Kluczem do sukcesu jest partycypacyjność. Dlatego tworzeniu aplikacji będą towarzyszyć pogłębione badania mieszkańców

Metropolii. W ten sposób nie tylko poznamy potrzeby tych, którzy biorą udział w życiu kulturalnym. Równie ważni będą ci, którzy w nim nie uczestniczą. To nowość – po raz pierwszy zbadane zostaną powody braku uczestnictwa, a wnioski posłużą do tego, żeby zbudować i poszerzyć metropolitalną publiczność.

Kandydatura w wymiarze artystycznym ma w pełni wykorzystać lokalny potencjał. Podkreślić, że twórcy z Metropolii działają już w europejskim obiegu i powstaje szansa, by ten obieg zintensyfikować. Ale obok wymiaru artystycznego kandydatura Katowic i Metropolii będzie miała równie silny aspekt społeczny. Będzie oparta na przekonaniu, że poprzez projekty kulturalne możemy pogłębiać spójność społeczną. To będzie także kandydatura zrównoważona i nastawiona na rozwiązywanie ekologiczne i promująca transport zbiorowy.

Katowice startowały już w konkursie o tytuł ESK, walcząc o tytuł w roku 2016. Wtedy miasto dotarło do finału konkursu, który ostatecznie wygrał Wrocław. Mimo braku ostatecznego sukcesu, już sam proces starań przyniósł spektakularne efekty. Miasto zyskało zupełnie nowy wizerunek na zewnątrz. Mieszkańcy uwierzyli w jego potencjał. Działania kulturalne nabrały nowego rozmachu i wymiaru.

Teraz niepowtarzalna szansa otwiera się także przed Metropolią.

(Łuk)



FILMOWE ŚRODY
w MEDIATECE

KARNAWAŁ
Z CATHERINE
DENEUVE

styczeń – luty 2023, środy, godz. 18.00



Miejska
BIBLIOTEKA
Publiczna w Sosnowcu

wstęp wolny

Aula Zagłębiowskiej Mediateki
Sosnowiec, ul. Kościelna 11
www.biblioteka.sosnowiec.pl



tytuły filmów